POLSKIE SAMOOBRONY
Bohaterska obrona przed banderowcami

PERŁA ALBIONU
Kompania, która dała Londynowi dominację

POWSTANIE TAMBOWSKIE
Jak rosyjscy chłopi wszczęli rebelię przeciw Leninowi

NR 2(132)/2024 LUTY 2024

CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

Ludobójstwo UPA w cieniu Wołynia

ZBRODNIA GALICYJSKA

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031
9 772299 951509 02>

Michał Rachoń w swoim sztandarowym porannym programie rozmawia z zaproszonymi gośćmi o bieżących wydarzeniach i najważniejszych tematach ostatnich godzin w polskiej polityce.

REPUBLIKA

#JEDZIEMY

@michalrachon

Od poniedziałku
do piątku

7:35

w Telewizji Republika

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

eprasa.pl 45fa4c575

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI ORLE PIÓRO:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Smykowce, woj. tarnopolskie, 1931 r.

Starosta tarnopolski Tomasz Malicki przemawia podczas poświęcenia Domu Towarzystwa Szkoły Ludowej

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Włoczyk

Nie tylko Wołyń

Horror Wołynia zawładnął wyobraźnią Polaków, którzy chcą spoglądać w nasze dzieje. Opisów tego, co ukraińscy nacjonaliści wyrabiali wówczas z Polakami, nie da się wymazać z pamięci. Swoje zrobił też doskonały film Wojciecha Smarzowskiego, dzięki któremu to ludobójstwo przebiło się do zbiorowej świadomości naszego społeczeństwa. W cieniu Wołynia dochodziło jednak do innych masakr na Polakach. Pół roku po „krwawej niedzieli" banderowcy rozpętali falę masowych, dzikich mordów w trzech województwach leżących na zachód i południe od Wołynia: we lwowskim, w tarnopolskim i stanisławowskim. Właśnie obchodzimy 80. rocznicę tamtych masowych zbrodni.

Dlaczego zbrodnia galicyjska znalazła się w cieniu Wołynia? Jak to możliwe, że po całym tym niewyobrażalnym piekle banderowskich mordów, które spadły na polskich mieszkańców Wołynia, w sąsiednich regionach doszło do powtórki ludobójstwa? Dlaczego Polskie Państwo Podziemnie nie zareagowało w adekwatny sposób? Na pytania te odpowiada w swojej książce dr Damian Karol Markowski. Wywiad z autorem „W cieniu Wołynia" otwiera blok tekstów poświęconych zbrodni galicyjskiej.

Jak podkreśla dr Markowski, teoretycznie antypolska akcja w Galicji Wschodniej miała przybrać nieco mniej brutalny charakter niż na Wołyniu. Pierwotne plany zakładały, że zamordowani zostaną „jedynie" dorośli mężczyźni, co przerazi resztę polskiej ludności i zmusi ją do wyjazdu na zachód. Praktyka okazała się jednak inna – nacjonaliści z Ukraińskiej Powstańczej Armii, a także bywało, że ukraińscy sąsiedzi Polaków, okazali się równie bestialscy jak na Wołyniu. Nasi rodacy z Galicji Wschodniej ginęli okrutną śmiercią, a jeżeli udawało im się uciec, to pozostawiali za sobą trupy bliskich i spalone domy.

Wspomnijmy też z wdzięcznością zmarłego na początku stycznia ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, odważnego kapłana, który – także na naszych łamach – głośno dopominał się o pamięć o Polakach pomordowanych przez banderowców. ©℗

eprasa.pl 45fa4c575c

/ TEMAT NUMERU

.6 DAMIAN KAROL MARKOWSKI
Piekło zbrodni galicyjskiej

.12 TOMASZ STAŃCZYK
Miski na polską krew

.16 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Polska samoobrona przeciwko UPA

.20 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Koniec świata na Kresach

eprasa.pl 45fa4c575c

/ CZASY I LUDZIE

.24 SŁAWOMIR KOPER
Piastówna na tronach wikingów

.28 ANNA SZCZEPAŃSKA
Pomylona ekspedycja Stanleya

.32 JAKUB OSTROMĘCKI
Widmo atomowej zagłady

.36 JAKUB WOZIŃSKI
„Cud" na sterydach

.40 MACIEJ PIECZYŃSKI
Podziemne państwo „pacanów"

.44 PIOTR TYLUS
Męczennica rewolucji

.47 PIOTR SEMKA
Żegnam cię jak Irlandię

.50 LESZEK LUBICKI
Tajemnica śmierci Kiejstuta

.54 MAREK GAŁĘZOWSKI
Major Kruk-Strzelecki musi odejść

.58 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Perła Albionu

.62 ŁUKASZ CZARNECKI
Afrykański książę i Kościuszko

/ CO CZYTAĆ

.66 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Donald de Bourbon

.71 PIOTR SEMKA
Zaczarowany świat Zakopanego w PRL

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 MIKOŁAJ IWANOW
Tambowscy chłopi przeciw Leninowi

.76 MICHAŁ MACKIEWICZ
Myśliwce, tankietki, pepance

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Sposób na drobnicę

/ POD PRĄD

.80 JACEK BARTOSIAK, PIOTR ZYCHOWICZ
Polski nie stać na słabość

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI, MACIEJ JASIŃSKI
Bitwa pod Warką

REKLAMA

Wydawnictwo Wektory
Fakty, o których inni milczą... idee, które inspirują...
www.WydawnictwoWektory.pl
tel.: 693-977-999
451-555-513

Dowody spisku przeciwko religiom i rządom Europy
John Robison

Klasyczna praca poświęcona roli tajnych stowarzyszeń w kreowaniu polityki europejskiej. Autor mając rozliczne kontakty w sferach naukowych, politycznych i literackich, ukazuje proces przejmowania wolnomularstwa przez niemiecką sektę iluminatów założoną przez Adama Weishaupta.

Tragedia Ukrainy. Od Malezyjskiego boeinga do wojny.
Kees van der Pijl

Jest to pierwsza praca naukowa dotycząca zamieszek na Ukrainie i tragicznego zestrzelenia MH17, która kwestionuje zachodni konsensus dotyczący tych wydarzeń, podkreślając geopolityczny i ekonomiczny kontekst impasu Zachodu z Rosją, blokiem BRICS oraz walk o dostawy energii do UE.

Przyczyny Upadku Polski. Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta
ks. Walerian Kalinka

Jedna z najbardziej wnikliwych i opartych na rozległych źródłach książek ukazujących przyczyny upadku Polski w XVIII wieku. Ksiądz Walerian Kalinka, jeden z twórców krakowskiej szkoły historycznej, współpracownik Zamojskich i Czartoryskich, autor monumentalnego dzieła Sejm Czteroletni, pisał swoją książkę w przekonaniu, że Polacy nie potrzebują romantycznych mitów i kojących baśni, ale prawdy – nawet jeśli miałaby ona być trudna do zaakceptowania.

eprasa.pl 45fa4c575c

Rodzina Karpiaków z Latacza. Ocaleni i zamordowani FOT. IPN

Wywiad / Z dr. Damianem Karolem Markowskim, autorem książki „W cieniu Wołynia. »Antypolska akcja« OUN i UPA w Galicji Wschodniej 1943–1945"

rozmawia Piotr Włoczyk

Piekło zbrodni galicyjskiej

– Galicję Wschodnią w 1943 r. zamieszkiwała dobrze zorganizowana ludność polska, która liczyła ponad milion osób. Największe miasta – Lwów, Tarnopol i Stanisławów – były zdominowane przez Polaków. Ukraińscy nacjonaliści, chcąc „wyczyścić" te ziemie z polskości, mieli tu więc dużo trudniejsze zadanie niż na Wołyniu – mówi historyk

eprasa.pl 45fa4c575c

Dowódcy UPA w Tarnopolskiem
FOT. DERŻAWNYJ ARCHIW TERNOPILSKOJI OBLASTI

PIOTR WŁOCZYK: Napisał pan książkę o ludobójstwie, które – jak sam pan to określa w tytule – znalazło się w cieniu Wołynia...

DR DAMIAN KAROL MARKOWSKI: Wołyń był pierwszy, więc siłą rzeczy przyciągnął najwięcej uwagi ówczesnych władz polskich i społeczeństwa. Z tego samego powodu poświęcono mu najwięcej miejsca w polskiej historiografii. Słowo to stało się bardzo pojemnym terminem, pod który można było – oczywiście upraszczając – podciągnąć wszystko, co w trakcie drugiej wojny światowej stało się między Polakami i Ukraińcami. W mojej książce staram się pokazać, że zbrodnie dokonane na Polakach w Galicji Wschodniej powinny być traktowane odrębnie, ponieważ miały własną charakterystykę.

Chociaż geograficznie region ten sąsiaduje z Wołyniem, to jednak w czasie drugiej wojny światowej pod względem składu narodowościowego Galicja Wschodnia różniła się od niego w sposób diametralny.

Mówimy tu o wschodniej części województwa lwowskiego, całym województwie tarnopolskim i stanisławowskim, które od 1941 r. aż do zakończenia okupacji niemieckiej weszły w skład tzw. Dystryktu Galicja Generalnego Gubernatorstwa. Obszar dotknięty masowymi mordami był więc ogromny – od Karpat do Wołynia i od Zbrucza aż do Sanu.

Na Wołyniu Polacy stanowili w momencie wybuchu wojny zaledwie 16 proc. ludności. Z kolei Galicję Wschodnią w 1943 r. zamieszkiwała dobrze zorganizowana ludność polska, która liczyła ponad milion osób (ok. jednej trzeciej wszystkich mieszkańców tych terenów). Największe miasta – Lwów, Tarnopol i Stanisławów – były zdominowane przez Polaków. Ukraińscy nacjonaliści, chcąc „wyczyścić" te ziemie z polskości, mieli tu więc dużo trudniejsze zadanie niż na Wołyniu.

Masowe mordy na polskiej ludności Galicji Wschodniej rozpoczęły się w połowie stycznia 1944 r. W jaki sposób banderowcy przygotowywali do tego „grunt"?

Pierwsze uderzenia na Polaków w Galicji Wschodniej dokonane zostały jeszcze pod koniec czerwca 1943 r., gdy Wołyń spływał już krwią. Atakowano pojedynczych przedstawicieli polskich elit, którzy mogliby organizować opór – m.in. duchownych, przedwojennych urzędników i wojskowych. Równolegle zaczynają też ginąć leśnicy z całymi rodzinami. Banderowcy zamierzali przerzucić ciężar walki partyzanckiej z Wołynia do Galicji Wschodniej i dążyli do tego, by lasy były wolne od ludzi, którzy mogliby przeciwstawiać się antypolskiej akcji.

Kiedy ukraińscy nacjonaliści podjęli decyzję o przeniesieniu do Galicji Wschodniej masowych mordów?

Ta decyzja w pewnym sensie dojrzewała. Początkowo pojawiały się pomysły, by Polaków wypędzić. Ostatecznie jednak – kluczowy głos miał tu Roman Szuchewycz – na konferencji OUN-B w sierpniu 1943 r. we wsi Złota Słoboda banderowcy doszli do wniosku, że antypolska akcja zostanie przeniesiona do Galicji Wschodniej. Jesienią tego roku Roman Szuchewycz wizytował zrewoltowany Wołyń i widział, że na wielkich przestrzeniach panują Ukraińcy. Stwierdził, że chciałby widzieć podobne rezultaty na terenie Galicji Wschodniej. Zanim jednak OUN-B i UPA przystąpiły do masowych mordów, Szuchewycz analizował materiały, które spływały do niego z „terenu" w związku z „mniejszymi" antypolskimi akcjami, takimi jak mordy na całych rodzinach.

Banderowcy badali reakcje dwóch czynników: niemieckich okupantów i samej ludności ukraińskiej. Zależało im na wciągnięciu ludności miejscowej w działania antypolskie, podobnie jak miało to miejsce na Wołyniu. Ostatecznie zdecydowano, że na terenie Galicji Wschodniej podstawową antypolską siłą będą odziały UPA i bojówki Służby Bezpieczeństwa OUN, ale takie, które nie pochodziły z terenów, gdzie miano dokonać czystki. Dlaczego? Obawiano się, że zbyt wielu Polaków zostanie uratowanych przez ukraińskich sąsiadów.

Teoretycznie antypolska akcja w Galicji Wschodniej miała przybrać nieco mniej brutalny charakter niż na Wołyniu – początkowo planowano mordować jedynie

Pomnik nagrobny Omeliana Polowego, dowódcy UPA w Tarnopolskiem – Tarnopol, i Romana Szuchewycza, głównego dówódcy UPA – w Krakowcu FOT. DAMIAN KAROL MARKOWSKI (L), COMMONS WIKIMEDIA/NEOVITAHA777

dorosłych mężczyzn, żeby cała reszta przerażonych Polaków uciekła na zachód.

A jak wyglądała praktyka?

Często palono całe wsie, wyrzynając wszystkich mieszkańców bez względu na płeć i wiek, czyli realizowano „scenariusz wołyński".

Jak to możliwe, że po tym, gdy Wołyń spłynął polską krwią, podobne rzeczy zaczęły się dziać na południu, gdzie Polacy byli silniejszym żywiołem? Dlaczego polska społeczność Galicji Wschodniej nie była przygotowana na „scenariusz wołyński"?

Polskie podziemie w Galicji Wschodniej miało 11 miesięcy, by się na to przygotować – w lutym 1943 r. doszło do wymordowania mieszkańców kolonii Parośla, co uważa się za początek rzezi wołyńskiej. Kluczową rolę odegrały tu dwa czynniki. Polska społeczność na tamtych terenach nie podchodziła jednorodnie do informacji płynących z Wołynia. Rzeczywiście na południe płynął potok uchodźców, którzy opowiadali przerażające historie, ale w Galicji Wschodniej wciąż między Polakami i Ukraińcami toczyło się w miarę normalne życie. Oczywiście nie brakowało złych emocji, trwał „konflikt korespondencyjny" – walka na donosy, o stanowiska w okupacyjnych urzędach, ale jednak przemoc nie była zjawiskiem powszechnym. Polakom z Galicji Wschodniej mogło się więc wydawać, że u nich taki scenariusz się nie powtórzy. Drugi czynnik to prowadzona przez dowództwo AK polityka oszczędzania sił w oczekiwaniu na rozpoczęcie akcji „Burza" wraz z równoległym

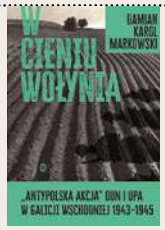

DAMIAN KAROL MARKOWSKI
„W CIENIU WOŁYNIA »ANTYPOLSKA AKCJA OUN I UPA W GALICJI WSCHODNIEJ 1943-1945«"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

bagatelizowaniem siły ukraińskiej partyzantki.

Dlaczego AK nawet po masowych mordach na Wołyniu wciąż nie brała na serio zagrożenia ze strony banderowców?

Faktycznie ciężko to zrozumieć. W polskich raportach padały zdania, że banderowcy to tylko partyzantka chłopska, która niewiele może zrobić. Tymczasem była to doskonale zorganizowana partyzantka dysponująca mocnym zapleczem terenowym w postaci sieci cywilnej OUN. Polskie podziemie do samego końca nie zdawało sobie sprawy ze stopnia, w którym zostało rozpracowane przez ukraińskich wywiadowców. Kiedy w Galicji Wschodniej zaczęła się masowa antypolska akcja, ciosy w pierwszej kolejności spadały na dowódców AK, którzy byli eliminowani jeden po drugim. Banderowcy doskonale orientowali się też, gdzie AK miała swoje magazyny broni. W ten sposób nierzadko w ich ręce wpadało jednorazowo kilka karabinów maszynowych i kilkanaście pistoletów maszynowych. Jeden taki przejęty magazyn wystarczyłby do uzbrojenia niemałej bazy samoobrony. Inna rzecz, że takie ośrodki polskiego oporu zaczęły

RYS. MARZENA WŁOCZYK

ZBRODNIE UKRAIŃSKICH NACJONALISTÓW W GALICJI WSCHODNIEJ

Miejsca masowych mordów na Polakach

Główne bazy polskiej samoobrony

STOLICE WOJEWÓDZTW

eprasa.pl 45fa4c575c

powstawać dopiero po rozpoczęciu masowych zbrodni.

Co było galicyjskim odpowiednikiem „krwawej niedzieli" z Wołynia?

Okres Świąt Wielkanocnych 1944 r. Miało wówczas dojść do kulminacyjnej fali ataków na polskie ośrodki, które ostały się na galicyjskiej prowincji. Okazało się jednak, że większość ataków banderowców została odparta przez polskie samoobrony. Z kolei do części ataków w ogóle wówczas nie doszło, ponieważ napastnicy stwierdzili, że wobec rosnącej skali polskiego oporu poniosą zbyt duże straty. Gdyby bazy samoobrony powstały wcześniej, liczba ofiar na pewno byłaby mniejsza.

Dlaczego wybrano akurat ten okres?

Z tego samego powodu, dla którego na Wołyniu banderowcy wybrali niedzielę 11 lipca. Ukraińscy nacjonaliści spodziewali się zastać Polaków świętujących. To miało być miażdżące dla Polaków uderzenie. Paradoksalnie okazało się, że to właśnie pierwsze masowe napady, do których doszło w styczniu i lutym, były bardziej zabójcze niż planowana na Wielkanoc kulminacja, podczas której zginęło w kwietniu ok. 2,8 tys. Polaków. Jest to ogromna liczba, ale ukraińscy nacjonaliści liczyli zapewne, że zabitych zostanie wówczas znacznie więcej ludzi. Do tego czasu ewakuowano już część polskiej ludności z mniejszych wiosek i przysiółków.

Powszechnie uważa się, że Polskie Państwo Podziemne nie zdało wówczas egzaminu. Dlaczego tak to wyglądało?

Powodem były wspomniane już całkowite zlekceważenie przeciwnika i równoległe dogmatyczne trzymanie się planów akcji „Burza", w sytuacji, gdy galicyjska prowincja spływała już polską krwią.

Kościół we wsi Buszcze został spalony podczas napadu UPA. Stan po częściowym odnowieniu FOT. DAMIAN KAROL MARKOWSKI

Armia Krajowa działała dwutorowo, jeżeli chodzi o Galicję Wschodnią. Do poziomu komend okręgów, które znajdowały się we Lwowie, Tarnopolu i Stanisławowie, wszystko odbywało się według linii „warszawskiej", która z kolei wiernie realizowała wytyczne płynące z Londynu. Tu dotykamy wielkiej polityki. Armia Krajowa miała przeprowadzić akcję „Burza" – wielką demonstrację wojskową wymierzoną w Niemców, która miała przekonać Moskwę, że na Kresach wciąż jest Polska i po wojnie nic się w tej sprawie nie zmieni. Natomiast na niższych szczeblach struktur AK i Delegatury Rządu na Kraj wielka polityka była daleko w tle, a na pierwszym planie było zabezpieczenie własnych rodzin i wspólnot sąsiedzkich.

Żołnierze z terenu nie mogli zrozumieć, jak to możliwe, że „góra" powstrzymuje ich przed zwalczaniem banderowców, skoro ich najbliżsi mogą zaraz zginąć?

Tak, dowódcy w terenie pisali do przełożonych: „Na co czekamy, skoro banderowcy chcą zabić nasze rodziny?". Żołnierze na niższych szczeblach apelowali do dowódców, że nie ma co czekać na realizację akcji „Burza", tylko trzeba się bronić tu i teraz. „Wyposażenie naszej ludności w broń zadecyduje o jej losach" – czytamy w jednym z meldunków. W mojej książce polemizuję z mocnym oskarżeniem o to, że AK w ogóle nie włączyła się w obronę polskiej ludności. To nieprawda, ponieważ AK-owcy na niższych szczeblach angażowali się w ochronę ludności cywilnej i organizowali bazy samoobrony. Wraz z narastaniem zagrożenia coraz większa część oddziałów przystępowała do organizowania baz samoobrony i wyciągano z magazynów broń, która miała czekać na akcję „Burza". Punkty oporu w wioskach powstały późno, ale jednak nie na tyle późno, by Ukraińcy mogli swobodnie przeprowadzić odpowiednik „krwawej niedzieli" z Wołynia. Część samoobron działała na bazie struktur AK, ale część była stworzona całkowicie oddolnie, przez mieszkańców wsi.

Musimy rozumieć, że na terenie Galicji Wschodniej AK-owcy znajdowali się między młotem i kowadłem. Z jednej strony chcieli bronić swoich wsi, swoich rodzin, a z drugiej strony byli przecież żołnierzami, którzy muszą przestrzegać rozkazów. Druga strona nie miała takich dylematów. Dowództwo AK do samego końca starało się, by nie doszło do wybuchu pełnoskalowej wojny partyzanckiej pomiędzy Polakami a Ukraińcami, ale ta wojna i tak została Polakom wydana.

Kwestie polityczne sprawiały, że dowództwo AK wzywało Polaków z Galicji Wschodniej do pozostania w swoich wioskach, bez względu na zagrożenie ze strony banderowców. Chodziło o to, by nie osłabiać obecności Polaków na Kresach. Te rozkazy szły z bezpiecznych miast… Doszło nawet do sytuacji, gdy dwa polskie oddziały partyzanckie siłą przetrzymywały polskich mieszkańców wsi tylko po to, żeby ci ludzie nie wyjechali w bezpieczniejsze rejony.

To były przypadki jednostkowe?

Tak, ale jednak dochodziło do nich, co jest trudne do pojęcia. Jeden z członków takiego oddziału wspominał

Jedna ze zbiorowych mogił zamordowanych Polaków z Hanaczowa FOT. DAMIAN KAROL MARKOWSKI

eprasa.pl

potem, że polska ludność ich nienawidziła...

Jak na zbrodnie na Polakach reagowali Niemcy?

Zachowywali się oni w tym temacie bardzo różnie. Gdy w trakcie antypolskiej akcji ginął Niemiec, ich reakcja była bardzo brutalna. Pacyfikowali całe ukraińskie wioski, sprowadzali w tym celu specjalne oddziały składające się z Kałmuków, którzy gwałcili ukraińskie kobiety i mordowali mężczyzn. Tylko od listopada 1943 r. do maja 1944 r. w wyniku niemieckich kontrakcji na działania ukraińskiej partyzantki, które dotykały niemieckiej administracji okupacyjnej, zginęło co najmniej 1,5 tys. ukraińskich cywilów.

Natomiast w przypadku mordów na Polakach, gdy nie było ofiar po stronie niemieckiej, okupanci znacznie rzadziej uciekali się do brutalnych środków. Zazwyczaj ograniczali się do zebrania relacji świadków i sfotografowania ciał ofiar i miejsc zbrodni.

Gdy nie było broni, niektórzy zdesperowani Polacy z Galicji Wschodniej zwracali się do Niemców.

Do pierwszych takich przypadków zaczęło dochodzić już w lutym 1944 r. Stało się jasne, że trzeba mieć jakąkolwiek broń, by móc się obronić. Choć część niemieckich urzędników i oficerów sił bezpieczeństwa była skłonna wydać broń Polakom, by uspokoić sytuację na zapleczu frontu, to jednoznaczne weto postawiły struktury AK wyższego stopnia. Przykładowo komendant Okręgu AK Tarnopol stwierdził, że każdego Polaka, który przyjmie broń od Niemca, każe zastrzelić za zdradę. Widać tu kompletne niezrozumienie sytuacji ludności polskiej żyjącej poza miastami, która walczyła o przetrwanie.

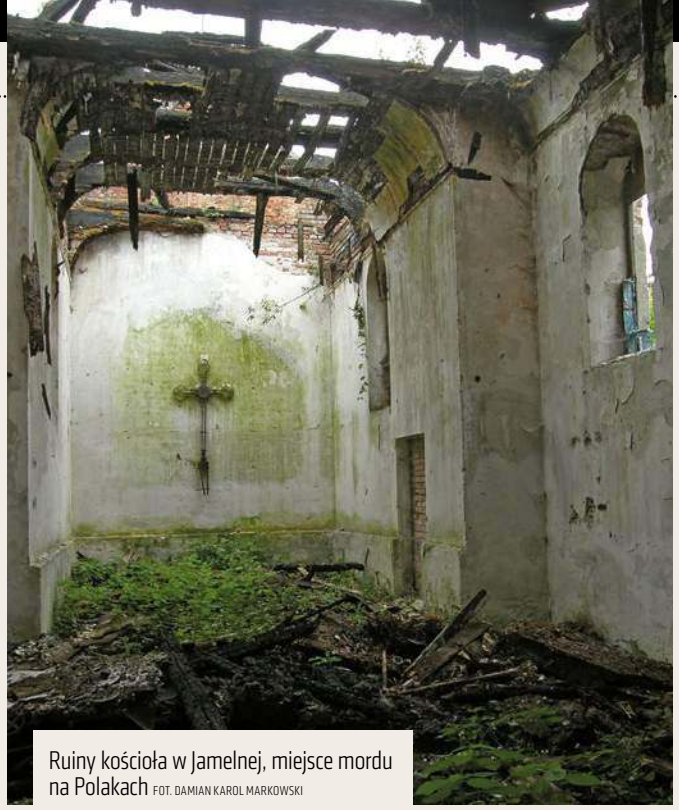

Ruiny kościoła w Jamelnej, miejsce mordu na Polakach FOT. DAMIAN KAROL MARKOWSKI

Wśród baz samoobrony w Galicji Wschodniej nie brakuje zaskakujących historii. Jak się bronili Polacy z Buszcza?

Buszcze to wieś leżąca na południe od Brzeżan. Polacy żyli tam przez lata obok Ukraińców bez większych konfliktów. Pierwszy napad ukraińskiej partyzantki miał miejsce na początku 1944 r., zginęło wówczas kilkadziesiąt osób. Co pewien czas banderowcy atakowali wieś, zabijając czasem jedną, a czasem kilka osób. Wiadomo było, że kwestią czasu jest, gdy polska część wsi zostanie całkowicie zniszczona. W XVII w. zbudowano w Buszczy na małym, ale pięknym wzgórzu kościółek obronny, który miał służyć do ochrony przed najazdami Tatarów. W 1944 r. ta świątynia posłużyła do obrony przed Ukraińcami. Grupa Polaków zabarykadowała się w środku i trwała tam kilka tygodni, ostrzeliwując się przed napastnikami. W tym czasie większość Polaków zdołała opuścić wieś, natomiast ci, którzy pozostali w kościele, zostali bestialsko zamordowani. Do dziś na sklepieniu świątyni widać ślady po tamtym pożarze.

Czy którąś z baz samoobrony można nazwać galicyjskim Przebrażem?

Takim miejscem był bez wątpienia Hanaczów, duża polska wieś (na 2 tys. mieszkańców żyło tam tylko kilkunastu Ukraińców) w powiecie przemyślańskim. Hanaczowianie już wcześniej przeszli do historii. Gdy bowiem w 1943 r. Niemcy likwidowali getto w Przemyślanach, mieszkańcy wsi przyjęli do siebie uciekinierów żydowskich. Starszyzna wioski stwierdziła, że bez względu na potencjalne kary Żydom należy pomóc. Potem ci uciekinierzy chwycili za broń i wspomogli samoobronę.

W lutym 1944 r. doszło do pierwszego ataku na Hanaczów. Padło co najmniej 120 ofiar po polskiej i żydowskiej stronie, ale wieś się obroniła. Jej centrum przekształcono w twierdzę – wokół budynków szkoły, plebanii i kościoła zorganizowano trójkąt obronny. Jeżeli linie obronne w innych częściach wioski zostałyby rozbite, to ludność miała się skupić w tym trójkącie. W razie ostateczności przygotowano oddział kosynierów, który miał się bronić w drzwiach kościoła. W kwietniu 1944 r. dwie doborowe banderowskie sotnie uderzyły ponownie, ale obrońcom udało się odeprzeć atak, m.in. dzięki odsieczy oddziału AK z Przemyślan.

2 maja 1944 r. niemiecka ekspedycja karna otoczyła Hanaczów i zrównała go z ziemią. Na szczęście tydzień przed tym uderzeniem oddziały AK ewakuowały prawie całą ludność wsi do niedalekiej bazy samoobrony w Biłce Szlacheckiej.

Co w kwestii mordów na Polakach zmieniło przejście frontu?

1 września 1944 r. pojawił się rozkaz dowódcy grupy UPA Zachód Wasyla Sydora ps. Szełest, by wstrzymać akcję antypolską, czyli zaniechać mordów. UPA chciała w ten sposób poprawić swój wizerunek wobec mocarstw zachodnich, które były przecież sprzymierzone z Polską. Rozkaz „Szełesta" nie wpłynął jednak trwale na zmianę sytuacji. Zbrodni wcale nie było mniej, a jesienią doszło nawet do ich ponownej kulminacji. Gdy Sowieci wyrzucali Polaków na zachód, ukraińscy nacjonaliści postanowili w tym „pomóc", organizując kolejną falę czystek. Rozpoczęły się one w listopadzie 1944 r. i trwały aż do wiosny 1945 r. Związek Sowiecki toczył z ukraińskim nacjonalizmem walkę na śmierć i życie. UPA była zwalczana, ukraińskie wioski pacyfikowane, a ich ludność represjonowana, ale w oczywisty sposób terror rozpętany przez banderowców sprzyjał Sowietom – tym

eprasa.pl 45fa4c575c

łatwiej było komunistom „przekonać" Polaków, by wyjechali na Zachód.

Ile ofiar pociągnęła za sobą zbrodnia galicyjska?

Podczas okupacji niemieckiej zamordowano co najmniej 14 tys. Polaków z Galicji Wschodniej. Ciężko podać tu dokładną liczbę, ponieważ część ofiar zabita została w okresie przejściowym, gdy przez tamte tereny przetaczał się front. Całościowy bilans ofiar ludobójstwa w Galicji Wschodniej zamyka się według mnie w liczbie 31,5 tys. Na podstawie moich najnowszych wyliczeń, bardziej aktualnych od tych, które podałem w książce, znamy już nazwiska 18 tys. ofiar. Spośród nich ponad 9 tys. to kobiety i dzieci.

Jak bardzo krwawy był odwet Polaków?

Akcje odwetowe rozpoczęły się już w 1943 r., gdy pojawiły się pierwsze pojedyncze zbrodnie banderowców w Galicji Wschodniej. Odwet był początkowo sprawnie zorganizowany, tzn. AK uderzała nie w cywilnych Ukraińców, ale w rozpoznanych członków OUN i UPA. Sytuacja diametralnie zmieniła się na początku 1944 r., gdy rozpoczęły się masowe mordy na Polakach. Lwowski kedyw dokonał wówczas „rajdu" po ukraińskich miejscowościach, mordując kilkaset osób. Część żołnierzy Kedywu ubrana była w niemieckie mundury... Nie dość, że zamordowano wtedy całkowicie przypadkowych Ukraińców, to przy okazji zginęło kilkudziesięciu Polaków, którzy myśląc, że to atak UPA, podali się za Ukraińców. Lokalne struktury AK stwierdziły później, że ten odwet był kompletnie bezsensowny – zginęli niewinni ludzie, a prowodyrzy antypolskich akcji dalej prowadzili swoje działania. Jednocześnie cały czas dochodziło do akcji odwetowych w wykonaniu osób indywidualnych, które po stracie swoich rodzin mściły się na Ukraińcach.

Samo ukraińskie podziemie szacowało, że od listopada 1943 r. do czerwca 1944 r. w Galicji Wschodniej z rąk Polaków zginęło niespełna 500 Ukraińców, w tym również członków UPA, którzy zostali zabici w walce. Wydaje się, że to dość wiarygodne dane.

Większość ukraińskich historyków stara się przekonać Polaków, że to wszystko zdarzyło się w ramach wojny polsko-ukraińskiej. Ukraińcy zabijali Polaków, ale Polacy zabijali też Ukraińców, co miałoby budować jakąś symetrię win. Jak pan reaguje na takie argumenty?

Widzimy tu przepaść w liczbach, dlatego nie można tego zrównywać. To przede wszystkim Polacy byli ofiarami. Trzeba znać proporcje i zamiary obu stron, które były zupełnie rozbieżne. Polska nie zamierzała wymordować ludności ukraińskiej, natomiast OUN i UPA właśnie do tego dążyły, jeżeli chodzi o Polaków. Zabić część, a pozostałych wypędzić. Nie można zatem stawiać znaku równości między działaniami UPA i AK.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Damian Karol Markowski
jest historykiem, znawcą dziejów Europy Wschodniej i stosunków polsko-ukraińskich, autorem książki „W cieniu Wołynia. »Antypolska akcja« OUN i UPA w Galicji Wschodniej 1943–1945".

REKLAMA

REBIS

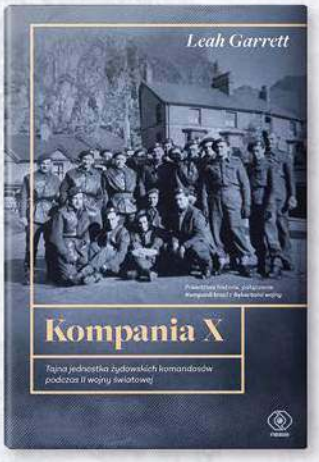

Prawdziwa historia, połączenie *Kompanii braci z Bękartami wojny*

Co sprawiło, że przeciętni policjanci z Hamburga przeistoczyli się w bestie?

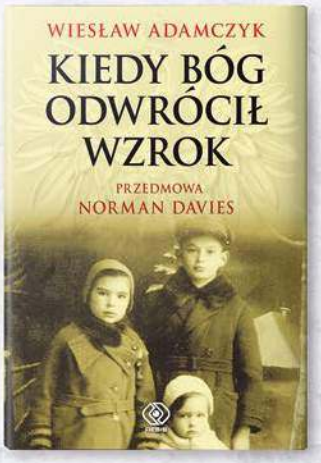

Opowieść o wojennym dzieciństwie spędzonym na Syberii i naznaczonym sowieckim barbarzyństwem

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

FB/DWREBIS www.rebis.com.pl

eprasa.pl 45fa4c575c

1944–1945 / Ziemie lwowska, tarnopolska, stanisławowska

Berezowica Mała. Mogiła i pomnik zamordowanych Polaków

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ALINA I IRENEUSZ SKRZYPCZAKOWIE

Miski na polską krew

Tomasz Stańczyk

Ukraińscy nacjonaliści mieli mordować „tylko" mężczyzn. W rzeczywistości zabijali także kobiety i dzieci. Ofiarą zbrodni padło ponad 30 tys. Polaków

Jesienią 1943 r., po kilku miesiącach antypolskiej akcji mającej cechy ludobójstwa, Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów i jej zbrojne ramię, Ukraińska Powstańcza Armia, osiągnęły swój cel: Polacy na Wołyniu zostali wymordowani albo uciekli. Po rzezi wołyńskiej niektórych działaczy OUN ruszyło sumienie. Już w sierpniu tamtego roku na zjeździe OUN w trakcie dyskusji na temat UPA Mykoła Łebied' i Mychajło Stepaniak uznali, że „UPA skompromitowało się swoimi bandyckimi działaniami przeciw polskiej ludności", jednak większość kierownictwa OUN usprawiedliwiała działania Dmytra Klaczkiwskiego „Kłyma Sawura", dowódcy UPA na Wołyniu (G. Motyka, „Ukraińska partyzantka 1942–1960").

Skoro masowe zbrodnie na Polakach na Wołyniu zostały zaakceptowane, także przez dowódcę UPA Romana Szuchewycza, to otwierało to drogę do dalszych zbrodni na terenach województw lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego. Z punku widzenia ukraińskich nacjonalistów depolonizacja tych ziem była nawet ważniejsza od depolonizacji Wołynia. Polaków między Sanem a Zbruczem było znacznie więcej niż na Wołyniu, nie tylko w miastach, w których dominowali. Wprawdzie na wsi większość mieszkańców stanowili Ukraińcy, ale odsetek Polaków w województwach lwowskim i tarnopolskim był znaczący (40–47 proc.). OUN z zasady nie chciała Polaków na ziemiach ukraińskich, hasło „Lachy za San!", rzucone na przełomie wieków XIX i XX, było wciąż jak najbardziej aktualne.

Kula, nóż, siekiera

Kierownictwo OUN i dowódca UPA Roman Szuchewycz postanowili jednak nieco inaczej niż na Wołyniu zrealizować „oczyszczenie" z Polaków ziem między Sanem a Zbruczem, przynajmniej teoretycznie. „Ze względu na opinię publiczną zdecydowano się zabijać w czasie akcji jedynie mężczyzn, i to po wcześniejszym wezwaniu za pomocą ulotek do opuszczenia Galicji Wschodniej" – pisał Grzegorz Motyka we wspomnianej książce, dodając jednak ważną uwagę: niższe komórki organizacji często tego zalecenia nie przestrzegały. Ginęły więc kobiety i dzieci, tak jak na Wołyniu, i tak samo jak tam mordowano z wielkim okrucieństwem. Profesor Motyka stwierdzał, że nie są znane jakiekolwiek próby karcenia żołnierzy i dowódców UPA za zabijanie dzieci i kobiet.

eprasa.pl 45fa4c575c

1 stycznia 1944 r. upowcy napadli na dom Macieja Warchoła we wsi Barysz. „Upowiec uderzył go kolbą w głowę, wywleczono go na podwórze, gdzie wycięto mu język, wydłubano oczy i przywiązawszy do sań, wleczono". Tak samo potraktowano w tej wsi Michała Wiśniewskiego, dodatkowo odcinając mu genitalia. Następnie mordercy pojechali do domu Józefa Czernieckiego. „Przez okno banderowcy wrzucili granat i od odłamków zginął J. Czerniecki i jego syn Jan. Ranną córkę Annę wywleczono z domu i zabito siekierą, a żonę zastrzelono". Osiemnastoletniej Annie odrąbano głowę, a ciała wszystkich Czernieckich kaci ukryli pod obornikiem.

Styczeń 1944 r. zapisał się także zbrodnią w Markowej, w dawnym powiecie Podhajce. W nocy z 14 na 15 stycznia banderowcy napadli na polskich mieszkańców wsi. „Mordowali przeważanie mężczyzn przy użyciu różnych narzędzi. Broni palnej nie używali ze względu, że mogłoby to wywołać alarm w samej wiosce i w okolicy, m.in. obawiali się stacjonującego w Zawałowie posterunku niemieckiego". Ofiarą zbrodni padło 57 osób, w tym 13 kobiet. Zginął ks. Mikołaj Ferens, którego greckokatolicki ksiądz Mychajło Szczurowski ostrzegał wcześniej o grożącym mu osobiście niebezpieczeństwie. Ksiądz Ferens postanowił jednak pozostać z wiernymi.

Fala mordów zaczęła narastać w lutym 1944 r. Drugiego dnia tego miesiąca UPA zaatakowała Hanaczów, w którym istniała polska samoobrona i znajdował się oddział partyzancki złożony z Żydów. Banderowcom nie udało się opanować centrum wsi, zaczęli więc mordować mieszkańców jej obrzeży. „Napastnicy rozprawiali się z kobietami, starcami, dziećmi, podpalali gospodarstwa. Kto znajdował się na widocznym miejscu, ginął od kuli, noża i siekiery" – pisał Jerzy Węgierski w książce „W lwowskiej Armii Krajowej". Węgierski przytacza w niej słowa pieśni żałobnej autorstwa ocalałego młodego Polaka, Andrzeja Muchy, której fragment brzmi:

Posłuchajcie jeszcze, jak ich pogrzebano.
Przez dwa dni dla wszystkich mogiłę kopano.
Dziewiątej godziny w poniedziałek z rana
Do świątyni zwłoki wiedzie wieś spłakana
A sześćdziesiąt trumien stawianych w szeregi
Wypełniło wnętrze świątyni po brzegi.

Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski przy krzyżu w Korościatynie FOT. ISAKOWICZ.PL

W czasie nabożeństwa, szloch, krzyk bezustanny
Głuszył nawet czasem jęczące organy.

W Hanaczowie, według Węgierskiego, zginęło od 58 do 85 osób. Lista imienna obejmuje 13 nazwisk mężczyzn poległych w obronie wsi, a także zamordowanych 20 kobiet i co najmniej 13 dzieci. Inne dane mówią o 112 zabitych, w tym 15 Żydach.

Ucinali języki i piersi

Berezowica Mała została zaatakowana w nocy z 22 na 23 lutego. Banderowcy zabijali nożami i innymi narzędziami, by odgłos strzałów nie zaalarmował przyszłych ofiar – śpiących w pobliskich domach. A jednak obudziły ich krzyki mordowanych. Część Polaków schroniła się w murowanych pomieszczeniach, barykadując się w nich. Mordercom nie udało się wedrzeć do obory Jana Krąpca. Choć podpalili ją, to jednak zabarykadowani tam ludzie, choć bliscy zaczadzenia, ocaleli. Zginęła tylko Paulina Ciurys, która opuściła stodołę. Władysław Kubów, ocalały, wspominał: „Zastrzeloną banderowcy przecięli piłą na połowę i tak, dla postrachu, pozostawili przed oborą". Nie ocalał prawie nikt z 30 osób w oborze Mikołaja Sesiuka. Napastnicy „obecnym tam ludziom kazali usiąść rzędem pod ścianą, zapewniając ich początkowo, że nic im nie grozi. Kilka minut potem wszystkich zastrzelili z karabinu maszynowego, następnie nanieśli słomy i podpalili ją, paląc ciała".

Maria Szpetkowska, wówczas sześciolatka, pół wieku później pamiętała z całą wyrazistością każdą chwilę tamtej tragicznej nocy. Leżąc już w łóżku, usłyszała krzyk. Matka uspokoiła ją, mówiąc, że to chyba kot tak głośno zawodzi. „Okazało się, że to krzyczała nasza sąsiadka Węgrzynka, do której przybiegł jej kuzyn, tylko w bieliźnie. Wymordowali mu już całą rodzinę, a jemu udało się uciec. Rozjuszeni tym banderowcy ucinali kobietom języki i piersi". Ofiarą żołnierzy UPA padło 132 Polaków, w tym kobiety i dzieci. Potworną zbrodnię dokonano na rodzinie Katarzyny Tomków, którą zabito wraz z jej siedmiorgiem dzieci.

W ostatnich dwóch dniach tego miesiąca UPA zaatakowała polską wieś Korościatyn w dawnym powiecie Buczacz.

Palikrowy – łąka, na której rozstrzelano Polaków
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/KRYSTIAN/CC BY-SA 3.0

eprasa.pl 45fa4c575c

Na tamtejszej stacji kolejowej wymordowano kolejarzy i pasażerów czekających na pociąg. Mordowano głównie siekierami, nożami i bagnetami. Jan Zaleski – ojciec zmarłego na początku stycznia ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, duchownego wielce zasłużonego dla pamięci o zbrodniach UPA i jej ofiarach – który ocalał z rzezi, wspominał w swojej „Kronice życia", że działały wówczas trzy grupy: pierwsza rąbała toporami, druga rabowała, trzecia – złożona głównie z kobiet (które również kradły) i wyrostków podpalała polskie domy. Rodzice Jana Zaleskiego kilka godzin po mordzie poszli do spalonego Korościatyna i opowiedzieli mu przerażające rzeczy o rodzinie Nowickich. Mężczyźnie udało się uciec, „żonę pochyloną nad łóżeczkiem kilkumiesięcznego dziecka banderowiec ściął toporem, rozpłatał też toporem głowę kilkuletniej córki Basi. Tenże Nowicki dostał po tym wszystkim pomieszania zmysłów i chodził z ocalałym niemowlęciem po wsi, ciągle mówiąc coś o ukochanej Basi. Sąsiedzi dożywiali go wraz z dzieckiem". W Korościatynie zginęło 136–156 Polaków. Rzeź przerwało przybycie oddziału polskiej samoobrony z Puźnik. Rok później, z 12 na 13 lutego 1945 r., UPA zabiła w Puźnikach 50–120 Polaków.

12 marca 1944 r. do wsi Palikrowy wkroczyli Ukraińcy z 4. pułku policji SS, a także członkowie UPA oraz Samoobronnych Kuszczowych Widdiłów (ukraińskiej samoobrony) z sąsiednich wsi. Mieszkańcom – zarówno Polakom, jak i Ukraińcom – rozkazali zebrać się na łące. Tam dokonano selekcji. Ustalanie, kto jest jakiej narodowości, nie było proste, gdyż ludzie byli bez dokumentów, więc pomagali w tym ukraińscy mieszkańcy wsi. „Małżeństwa mieszane i ich dzieci rozdzielano według przyjętej od lat zasady: gdy ojciec był Ukraińcem, a matka Polką, to synów po ojcu zaliczano do Ukraińców, natomiast córki po matce były Polkami i odwrotnie. Rozpaczy tych małżeństw nie da się opisać. Zgrupowani Polacy – przeważnie osoby starsze, kobiety i dzieci – byli zorientowani, że skazano ich na śmierć, dlatego większość z nich, płacząc, na kolanach, błagała o darowanie im życia. Banderowcy byli jednak nieczuli na prośby niewinnych skazańców".

Świadek Emil Bielecki zapamiętał: „Przy trzech grupach Polaków stało po jednym banderowcu. Po chwili padł rozkaz ognia. Jeden z nich, stojący przy karabinie maszynowym, wykonał znak krzyża i po przeżegnaniu się otworzył ogień do stojących Polaków. Prawie jednocześnie odezwały się dwa pozostałe stojące po bokach karabiny maszynowe. Po chwili w miejscu, gdzie stał zwarty tłum ludzi, leżała sterta drgających ciał ludzkich". Ofiarą mordu padło 365 Polaków i Polek.

Rzeź w klasztorze

Marzec zapisał się też masową zbrodnią dokonaną na Polakach w miasteczku Podkamień. Część Polaków schroniła się w klasztorze i kościele Dominikanów, byli wśród nich także ci, którzy przeżyli rzeź wołyńską. 11 marca oddział UPA otoczył klasztor. W nocy niektórzy Polacy, obawiając się jego zdobycia i rzezi, uciekli z jego murów. Następnego dnia banderowcy ostrzelali klasztor z broni maszynowej, ale sami musieli kryć się przed kulami obrońców. „Po chwili upowcy przerwali ogień i zażądali, by wszyscy opuścili klasztor, obiecując Polakom, że zostaną puszczeni wolno. Gdy ci zaczęli wychodzić, upowcy ponownie otworzyli ogień i korzystając z zamieszania, wtargnęli za mury, mordując napotkanie osoby. Zabito ok. stu ludzi. Pewną liczbę Polaków zabito też w miasteczku" – pisał Grzegorz Motyka we wspomnianej książce.

Miejsce spoczynku Polaków zamordowanych w kościele i klasztorze w Podkamieniu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/HENRYK BAJEWICZ/CC BY-SA 3.0

UPA zamordowało w Podkamieniu 150 Polaków znanych z nazwiska i nieustaloną liczbę niezidentyfikowanych. Ciała części zamordowanych w klasztorze oprawcy wrzucili do głębokiej studni. Stanisław Bacewicz, który wraz z ojcem uciekł z klasztoru po załamaniu się polskiej obrony, wrócił tam po kilku dniach. „Cała podłoga była zaścielona trupami. Zamordowane osoby były znane mi z widzenia, lecz ich nazwisk nie pamiętam. Najwięcej ludzi pochodziło z Wołynia. Niektórzy w zastygłych dłoniach trzymali różaniec. Mężczyźni rozebrani, bez butów, koszul, jedynie w kalesonach. Głowy rozrąbane na pół siekierą lub jakimś innym ostrym narzędziem". Atak UPA przeżył znany już przed wojną pisarz Leopold Buczkowski, dwóch jego braci zginęło.

12 kwietnia nastąpiła krwawa rozprawa z Polakami we wsi Hucisko. W miejscowości tej istniała samoobrona, banderowcy użyli więc podstępu, by ją obezwładnić. Weszli do wsi w niemieckich mundurach i zażądali otwarcia szkoły, w której przebywali dowódcy samoobrony – bracia Stanisław i Ludwik Biesiadeccy. Pierwszego zabili, drugiego ranili, później też zamordowali. Świadek Julia Iwanicka z domu Pękala opowiadała: „Józef Podkowicz został przywiązany do drzwi stodoły, przecięty piła i wrzucony do ognia, podobnie jak Paweł Mulik. Walentego Czuchowickiego zmuszono do wykopania dołu, następnie dokonano na nim różnych tortur, m.in. wydłubano oczy, odcięto genitalia i jeszcze żywego wrzucono do dołu". Mężczyźni ci byli jednymi z ok. 85–125 ofiar zbrodni, dokonanej przez upowców, a także Ukraińców z sąsiednich wsi: Polany, Siedliska, Suchodoły.

Puszczanie krwi

23 października 1944 r. oddział UPA zaatakował wieś Trójca. Była to kolejna zbrodnia, w której zabijano nie tylko mężczyzn, lecz także kobiety i dzieci. Ma-

eprasa.pl 45fa4c575c

Premier Mateusz Morawiecki w miejscu pochówku Polaków zamordowanych w Puźnikach, 2023 r.

FOT. WOJTEK JARGIŁO/PAP

sakrę przeżył dziewięcioletni Jan Świca, a kiedy po odejściu banderowców wrócił do domu, zastał trupy dziadka, matki, dwuipółrocznego kuzyna i konającego półtorarocznego brata. Józef Laskowski widział z ukrycia, jak wyprowadzono z chaty jego teściów i jak ich barbarzyńsko męczono. „Jeden z banderowców odezwał się do teścia słowami: »Prynesi misku« (przynieś miskę), a gdy teść zapytał »na szczo« (na co), ten odpowiedział »budemu tobi krew puskaty« (będziemy tobie krew puszczać). Kiedy teść przyniósł miskę, kazali jemu trzymać w jednej ręce miskę, a drugą rękę odrąbali siekierą na pieńku do rąbania drzewa. Po chwil teść upadł i zakończył życie. Podobnie postąpili z teściową, z tą różnicą, że odcięli nożem pierś i nakazali trzymać miskę pod ściekającą krwią. Teściowa też upadła nieprzytomna na ziemię i skonała. Banderowcy podpalili dom i odeszli". W masakrze zginęło 59–104 Polaków, a także kilkunastu Ukraińców z rodzin Błoszków, Hrynków, Manylików, Sacharuków – mieszkańców wsi, który udzielali schronienia Polakom podczas napadu. Ich domy zostały spalone.

Mord wigilijny

17 grudnia 1944 r. w Ihrowicy banderowcy napadli na wojskowy magazyn zboża w Domu Ludowym pilnowany przez dwóch Polaków i dwóch Ukraińców. Polacy zostali zabici, Ukraińców puszczono wolno. Jak pisał Jan Białowąs, autor książki „Krwawa Podolska Wigilia w Ihrowicy w 1944 roku", polscy mieszkańcy wsi uważali, że ukraińscy strażnicy magazynu byli w zmowie z banderowcami. W związku z tym wydarzeniem Sowieci postanowili utworzyć we wsi oddział Istriebitielnego Batalionu, czyli Batalionu Niszczycielskiego, w tej jednak sytuacji służący jako ochrona magazynu i samoobrona przed UPA. Siedem dni później, w noc wigilijną, oddział banderowców zaatakował patrol oddziału, schwytał będącego jego członkiem Polaka i zamordował go, po czym zamierzał zdobyć posterunek, co jednak się nie udało. Widząc napad, ks. Stanisław Szczepankiewicz zaczął bić w dzwony, by zaalarmować wieś. „Donośny dźwięk sygnaturki z plebanii uratował życie wielu ihrowiczanom – stwierdzał Jan Białowąs. – Ci, którzy natychmiast rzucili się od stołów wigilijnych do ucieczki, w większości przeżyli". Ksiądz został zabity siekierą wraz z matką, siostrą i bratem.

Następnie upowcy i członkowie miejscowej ukraińskiej samoobrony zaczęli mordować polskich mieszkańców wsi. Liczba ofiar szacowana jest na 67–89 zamordowanych. Jan Białowąs uciekł wraz z matką i rodzeństwem do domu sąsiada Ukraińca i bez jego wiedzy schowali się na strychu obory. Stamtąd byli świadkami dramatu czterech kobiet z ich rodziny: babci, matki, trzech córek i zaprzyjaźnionej z nimi nauczycielki. Skryły się one na strychu swojego domu, ale został on podpalony. „Tego wołania Boga i ludzi o pomoc opisać nie potrafię – wspominał Jan Białowąs. – Chwilami dłońmi zatykałem uszy. Do końca życia nie zapomnę ich przerażonych, wręcz oszalałych z bólu krzyków. Kobiety te doznały piekła na ziemi".

Uratowały się dzieci zamordowanej Marii, córki Ignacego Nakoniecznego. Ich babka zaprowadziła je do sąsiadki Ukrainki – Zofii Womyśko. Ta ułożyła je do łóżka, a gdy banderowcy wpadli do chałupy i zapytali, czyje to dzieci, odpowiedziała, że jej – tym samym ratując im życie. Jak po latach dowiedział się Białowąs, który kilkanaście lat po mordzie w Ihrowicy przyjechał do wsi, Ukrainka Sławka Fryza, która wskazywała domy Polaków i rabowała rzeczy pomordowanych, rozpiła się i przesiadywała na ich grobach.

Kazimiera Mazurek uratowała się dzięki temu, że schroniła się z dziećmi w domu Ukraińca Michałka. Chciała wrócić po swoją matkę, ale Ukrainiec jej nie pozwolił. Powiedział: „Pójdziesz po mamę, a tam cię zabiją, a ja będę musiał twoje dzieci chować". Polacy szukali schronienia w domach zaprzyjaźnionych z nimi Ukraińców, ale banderowcy ich stamtąd wyciągali i mordowali. „Niektórzy Ukraińcy we wsi okazywali nam życzliwość i starali się pomóc, bojąc się jednak bardzo o własne rodziny, gdyż za pomoc Polakom groziła im śmierć. Traktowani byli jak zdrajcy" – wspominał Kazimierz Ościak.

Nieco więcej niż rok po pierwszej zbrodni w Baryszu, z 5 na 6 lutego 1945 r., doszło do masowej masakry polskich mieszkańców tej wsi. Stacjonował w niej oddział Istriebitielnych Batalionów dowodzony przez Ukraińca podejrzewanego o współpracę z UPA. 5 lutego, w przededniu napadu na Barysz, niemal wszyscy członkowie IB zostali ściągnięci do miasta – Buczacza. Zapewne była w tym premedytacja, by ułatwić UPA rozprawę z Polakami. Ksiądz Józef Mróz, świadek zbrodni, wspominał: „Mało było zastrzelonych. Mordowano nożami, siekierami, szpadlami i widłami. Małe dzieci rozbijano główkami o ściany lub wrzucano do ognia". Ofiarami zbrodni padło 135 osób, głównie kobiety, dzieci i starsi mężczyźni, gdyż młodszych wzięto do Armii Czerwonej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jeśli nie zaznaczono inaczej, relacje świadków zbrodni pochodzą z książek: Henryk Komański, Szczepan Siekierka, „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie tarnopolskim 1939–1946"; Szczepan Siekierka, Henryk Komański, Krzysztof Bulzacki, „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie lwowskim 1939–1947"; Szczepan Siekierka, Henryk Komański, Eugeniusz Różański, „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie stanisławowskim 1939–1946".

eprasa.pl 45fa4c575c

1943–1945 / W obronie przed ludobójstwem

Polska samoobrona przeciwko UPA

Huta Pieniacka. Krzyż i tablice z nazwiskami Polaków zamordowanych przez UPA

FOT. V. HRABAR/KONSULAT GENERALNY RP WE LWOWIE

Arkadiusz Karbowiak

Dowództwo Armii Krajowej nie uważało ochrony ludności cywilnej Galicji Wschodniej za absolutny priorytet, patrząc na krwawe wydarzenia na Kresach przede wszystkim przez pryzmat polityki międzynarodowej. Mimo ogromnych trudności z dostępem do broni polscy mieszkańcy galicyjskiej prowincji, a także część lokalnych struktur AK zaczęli jednak organizować sieć placówek obronnych

Informacje o rozpoczęciu wiosną 1943 r. przez UPA ataków na polską ludność cywilną na Wołyniu szybko dotarły do kierowniczych struktur Polskiego Państwa Podziemnego w Galicji Wschodniej. Na ich czele stał komendant Obszaru nr 3 ZWZ-AK Lwów, gen. Kazimierz Sawicki „Prut" (w sierpniu 1943 r. zastąpił go płk Kazimierz Filipkowski „Janka"). 17 maja 1943 r. Sawicki wydał rozkaz powołania do życia jednostek samoobrony. Miały one być formowane we wsiach czysto polskich lub o dużej przewadze demograficznej Polaków. Natomiast w kwestii miejscowości, gdzie Polacy stanowili mniejszość, planowano, aby w blisko położonych miasteczkach utworzyć oddziały dyspozycyjne gotowe do pomocy w razie zagrożenia.

Dyrektywy te wydano z obawy przed przeniesieniem akcji antypolskiej UPA z Wołynia na obszar Galicji Wschodniej. Jak pokazała przyszłość, rozkaz stanowił słuszne i dalekowzroczne posunięcie, jednak aby wcielić go w życie, potrzebne było odpowiednie zaplecze kadrowe. Deficyt w tym względzie utrudniał przez pewien czas powstanie samoobron np. w Okręgu AK Stanisławów. W sumie w Galicji Wschodniej zorganizowano co najmniej 122 ośrodki samoobrony. Osiem z nich powstało samorzutnie, 33 z inicjatywy struktur AK, natomiast okoliczności powstania pozostałych samoobron nie ustalono. Ich poziom przygotowania do odparcia ataków był różny. W części raportów podziemia pojawiają się słowa uznania w kwestii organizacji samoobron: „W niektórych większych osiedlach wiejskich, np. Słobódce Dziurzyńskiej (powiat Czortków), samoobrona stoi na wysokim poziomie. Więc u wylotów dróg i ulic zbudowano ruchome rogatki i zasieki, kontroluje się

eprasa.pl 45fa4c575c

ściśle ruch komunikacyjny, a narożne domy przemienione są jakby w niby koszary-baszty, podczas gdy kobiety, dzieci i starcy umieszczeni są w środku wsi". Być może to właśnie profesjonalizm obrońców powodował, że do ataku sotni UNS-UPA (Ukraińska Narodowa Samoobrona-Ukraińska Powstańcza Armia) na część wsi nigdy nie doszło.

Głód broni

Wszędzie tam, gdzie samoobrony powstawały, zwiększała się szansa na przeżycie mieszkańców wsi. Z kolei ich brak w sytuacji, gdy nie stacjonowały w pobliżu formacje niemieckie czy węgierskie, minimalizował te szanse praktycznie do zera. Skuteczność ufortyfikowanych ośrodków była wysoka, ponieważ zdecydowana większość atakowanych samoobron odparła ataki partyzantki ukraińskiej. Tylko nieliczne zostały zniszczone, i to głównie przez oddziały niemieckie.

Jednak przewaga demograficzna Ukraińców, a także słabość organizacyjna i militarna AK powodowały, że nie było możliwości utworzenia samoobron w każdej miejscowości zamieszkanej przez Polaków. Główną bolączką okazał się brak broni palnej, co sprawiło, że członkowie samoobron posługiwali się szablami, pikami, kosami czy siekierami. Efektywna obrona w takich przypadkach była ograniczona. Czasami udało się pozyskać broń, np. odkopując ją z pól bitewnych. AK przekazała także część swoich zapasów, ale z uwagi na przygotowania do akcji „Burza" doszło do tego w bardzo ograniczonym zakresie. Broń kupowano od Węgrów, Włochów, Słowaków, a czasami Niemców. Płacono za nią gotówką, żywnością i alkoholem. W pojedynczych przypadkach uzbrojenie przekazywali członkowie sowieckich oddziałów partyzanckich. Nawet niemiecka administracja dostarczyła broń co najmniej 12 polskim samoobronom.

Uzbrojenie trafiało do Polaków drogą nieoficjalną. O przypadku z Ciemięży wspominał członek samoobrony w Wicyniu, Marian Szajda ps. Smok: „Tam stacjonował kilka dni tabor konny niemiecki. Ksiądz rozmawiał z oficerem pochodzenia z poznańskiego o ciężkim położeniu ludności polskiej. Przed odjazdem taboru oficer powiedział księdzu, że w stodole pod słomą zostawił prezent i trzeba go jak najszybciej zabrać. Po sprawdzeniu, co tam jest, proboszcz zawiadomił Wicyń o zabranie broni. Broń przyniesiono do Wicynia na plecach. Było sporo automatów, granatów i amunicji".

Generał Kazimierz Sawicki „Prut", komendant Obszaru Lwów AK FOT. NAC

Do przykładów niesienia Polakom pomocy należy zaliczyć przypadek niemieckiego lekarza z Brzeżan, który dostarczał miejscowej samoobronie m.in. uzbrojenie i lekarstwa. Zdarzało się, że Niemcy lub Węgrzy udzielali pomocy napadniętym przez oddziały UNS-UPA polskim wsiom. Tak było w Netrebie zaatakowanej 8 października 1943 r. Samoobrona podczas walki wystrzeliła rakietę sygnalizacyjną i wówczas na pomoc Polakom ruszyła jednostka Grenzschutzu (niemiecka Straż Graniczna) z posterunku w Nowikach. Podobne zdarzenie miało miejsce 13 lutego 1944 r., kiedy sotnia UPA zaatakowała miejscowość Hucisko Brodzkie. Wydawało się, że przewaga uzbrojonych w karabiny maszynowe i moździerze Ukraińców doprowadzi do masakry polskiej ludności wsi. Tak się jednak nie stało dzięki przybyciu niemieckiego oddziału dysponującego bronią ciężką. Oddział UPA zrezygnował wówczas z dalszych walk.

Niemcy reagowali także na próby zabijania pojedynczych osób. Świadczy o tym przypadek komendanta punktu kontaktowego AK we wsi Torki. Późniejszy dowódca rzeszowskiego okręgu Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, Piotr Woźniak, pisał o tym zdarzeniu: „W listopadzie 1943 roku UPA w sile 100 upowców zaatakowała w nocy dom Dąbrowskich. Dom był murowany i kryty blachą. Po całonocnej walce Dąbrowski kilkakrotnie ranny stracił przytomność i zostały same kobiety. Zdawało się, że już ulegną i zostaną wymordowani, lecz nad ranem przybyli Niemcy z pobliskiej strażnicy i udzielili walczącym pomocy. Dąbrowskiego odstawili do szpitala w Zaleszczykach i został uratowany. Żona z córką przeniosły się do Zaleszczyk, skąd po wkroczeniu Sowietów na

Polacy zamordowani w Netrebie FOT. IPN

eprasa.pl 45fa4c575c

tamte tereny i po zakończeniu wojny udali się na Zachód".

Kłopotliwa współpraca

Te przykłady nie powinny jednak skłaniać do wniosku, że Niemcy wobec konfliktu polsko-ukraińskiego przyjmowali przychylną Polakom postawę. Gubernator dystryktu Otto Wächter realizował kurs proukraiński. Za cenę współpracy z Niemcami Ukraińcy mogli powoływać do życia instytucje spółdzielcze, oświatowe, społeczne i kulturalne. Nawet podległa Orpo (Ordnungspolizei) policja ukraińska UDP, będąca odpowiednikiem polskiej tzw. granatowej policji, składała się tylko z Ukraińców. Ta polityka nie chroniła ich jednak przed eksploatacją ekonomiczną i wywózką na roboty przymusowe do Rzeszy. Członkowie podziemia nacjonalistycznego OUN-B byli prześladowani i deportowani do obozów. Skala represji wzrosła w drugiej połowie 1943 r. na skutek rozporządzenia Hansa Franka dotyczącego zwalczania zamachów na tzw. niemieckie dzieło odbudowy, co zbiegło się z intensyfikacją działań UNS przeciw władzom okupacyjnym oraz polskiej ludności cywilnej.

Niemcy zareagowali na akcję antypolską UNS-UPA egzekucjami członków OUN-B oraz ukraińskich cywilów. 17 listopada 1943 r. w Stanisławowie rozstrzelano 29 Ukraińców aresztowanych wcześniej w teatrze im. Iwana Franki (wśród nich było siedmiu członków OUN-B). Dziesięć dni później pod Nową Jagielnicą zabito 52 osoby. 4 marca 1944 r. w Zarzeczu rozstrzelano kolejnych 40 Ukraińców.

Zimą 1944 r. podziemie ukraińskie przystąpiło do zmasowanych uderzeń na polskie miejscowości. Terror wymierzony w Polaków był negatywnie oceniany przez Niemców, ponieważ uderzał w ich interesy (także gospodarcze) w Galicji Wschodniej, wywołując stan anarchii na zapleczu frontu. Była też jednak druga strona medalu, gdyż sotnie UPA walczyły z oddziałami partyzantki sowieckiej, co akurat było na rękę Niemcom. Dlatego w 1944 r. administracja niemiecka, a czasami także Wehrmacht prowadziły z UPA rozmowy dotyczące kooperacji na płaszczyźnie antybolszewickiej. Ale nawet wtedy, jak wynika z raportów, domagano się od dowódców UPA zaniechania ataków na polskie osiedla. Oczywiście Niemcy sami również niszczyli czasem polskie wsie i ośrodki samoobrony. Działo się tak, gdy uważali, że Polacy współpracują z sowiecką partyzantką.

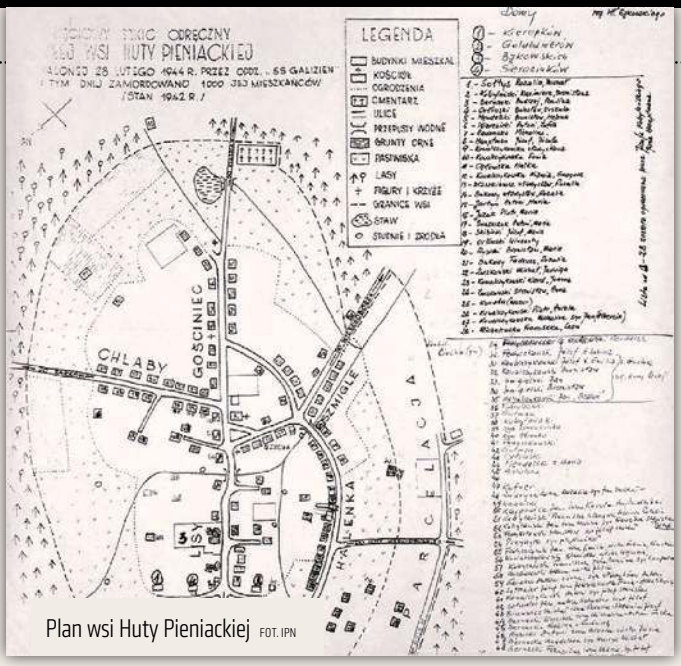

Plan wsi Huty Pieniackiej FOT. IPN

Współpraca polskich samoobron z Niemcami stała się zarzewiem konfliktu w łonie polskiego podziemia, a także wywołała napięcia pomiędzy podziemiem a agendami Rady Głównej Opiekuńczej. Na ten konflikt nakładała się rywalizacja między AK a Delegaturą Rządu RP. Wojskowi konspiratorzy uważali, że to oni, a nie władze cywilne posiadają wyłączność na kierowanie formacjami samoobron. Najbardziej widoczne spory miały miejsce w Okręgu AK Tarnopol, który najwcześniej był zagrożony akcją antypolską. Działający na tamtym terenie szef obwodowej delegatury Józef Opacki „Mahort" stwierdził, że podejmie wszelkie działania zmierzające do pozyskania broni, bez względu na to, czy będą się one AK podobały czy nie, byleby tylko zapewnić ochronę Polakom. Opacki dał tym samym do zrozumienia, że jeśli trzeba, to nie zawaha się nawiązać kontaktu z Niemcami. Zdecydowanie przeciwny pogląd w tej kwestii wyrażał komendant okręgu, ppłk Franciszek Studziński „Kotlina". Odmienne opinie wynikały z innych priorytetów, które miały władze cywilne i wojskowe. Wspomnienia dowódcy oddziału AK, Jana Kubskiego „Lecha", z Mościsk wskazują, że zwierzchnicy nakazywali w pierwszej kolejności występować przeciw Niemcom. Ochrona cywilów znajdowała się dopiero na trzecim miejscu listy planowanych celów. Natomiast w przypadku Delegatury wydaje się, że uznano to za zadanie podstawowe. Tym też należy tłumaczyć, dlaczego Delegatura tolerowała wyjazdy zagrożonych napadami Polaków do innych dystryktów Generalnego Gubernatorstwa. AK natomiast sprzeciwiała się temu.

> **Niektóre polskie samoobrony, oprócz Niemców, jako taktycznych sojuszników w walce z UPA traktowały także sowiecką partyzantkę**

Galicyjskie struktury AK bezrefleksyjnie wykonywały rozkazy Komendy Głównej. Ta zaś postrzegała wydarzenia w Galicji Wschodniej przez pryzmat polityki międzynarodowej, którą realizowano na polecenie rządu RP. Zamiarem władz polskich nie było intensyfikowanie polsko-ukraińskiej konfrontacji zbrojnej, aby strona sowiecka nie mogła jej wykorzystać do kwestionowania przynależności Kresów do Polski. Obawiano się też reakcji Sowietów i aliantów w razie ujawnienia przypadków kolaboracji z Niemcami. Było to pokłosie myślenia życzeniowego, którego sedno tkwiło w przekonaniu, że tylko bezkompromisowa postawa antyniemiecka skłoni aliantów do zabezpieczenia polskich interesów w rozmowach z ZSRS. Kresowiaków tym samym postanowiono częściowo spisać na straty, byleby tylko „nie pobrudzić" sobie rąk współpracą z Niemcami. Z tego samego powodu AK krytykowała także działania Polskiego Komitetu Opiekuńczego we Lwowie, próbującego

eprasa.pl 45fa4c575c

porozumieć się z Niemcami w kwestii utworzenia polskiego Selbstschutzu. Rozmowy na ten temat z gubernatorem dystryktu lwowskiego Ottonem Wächterem w lutym i marcu 1944 r. prowadził prezes PKO, dr Leopold Tesznar. W efekcie 14 marca władze niemieckie wyraziły zgodę na uzbrojenie samoobron, ale pod warunkiem podporządkowania ich jednostkom policji. Na takie rozwiązanie, zapewne także pod presją AK, strona polska zgodzić się nie chciała, obawiając się wykorzystywania samoobron do realizacji polityki okupacyjnej. Niemcy z kolei, mając świadomość, że samoobrony są infiltrowane przez polskie podziemie, nie zamierzali pozwolić, by broń dostała się w ręce polskiej konspiracji.

Otto Wächter, gubernator Dystryktu Galicji FOT. NAC

Sowiecki „sojusznik"

Niektóre polskie samoobrony, oprócz Niemców, jako taktycznych sojuszników w walce z UPA traktowały także sowiecką partyzantkę. W krótkiej perspektywie oddziały te faktycznie wzmacniały bezpieczeństwo polskiej ludności, lecz w konsekwencji ich pobyt stawał się przyczyną pacyfikacji dokonywanych przez Niemców w ramach doktryny Bandenbekämpfung. Najbardziej znanym przykładem jest dramat miejscowości Huta Pieniacka. We wsi funkcjonował oddział samoobrony dowodzony przez Kazimierza Wojciechowskiego „Satyra". Współdziałał on początkowo z sowiecką grupą dowodzoną przez zbiegłego z obozu jenieckiego lekarza, kpt. Kundiusa (w listopadzie 1943 r. oddział liczył 204 partyzantów, a 90 proc. jego składu osobowego stanowili Polacy), a potem z grupą lejtnanta Borysa Krutikowa, będącą częścią oddziału dywersyjnego NKGB „Zwycięzcy" (we wsi stacjonowały także dwa inne sowieckie oddziały partyzanckie). Korzystając z pomocy mieszkańców oraz wykorzystując ich jako przewodników, Sowieci poruszali się swobodnie po terenie, docierając nawet do Lwowa i dokonując niezbyt licznych akcji dywersyjnych (grupa Krutikowa prowadziła działalność, podszywając się pod oddział UPA).

22 lutego 1944 r. Krutikow opuścił Hutę Pieniacką, zostawiając dwóch rannych sowieckich partyzantów. Następnego dnia do wsi próbował wkroczyć 40-osobowy, złożony z ukraińskich ochotników, oddział rozpoznawczy 6. kompanii II batalionu policyjnego 4. Galicyjskiego Ochotniczego Pułku SS (do 9 czerwca 1944 r. ta jednostka nie wchodziła w skład 14. Dywizji Grenadierów SS, jak to często mylnie jest sugerowane). Samoobrona podjęła walkę, myśląc, że ma przed sobą ubranych w mundury niemieckie partyzantów UPA. Zginęło dwóch policjantów (ich ciała pozostały w rejonie wsi), a 12 osób zostało rannych (spośród nich dwie zmarły). Ofiar po stronie ukraińskiej byłoby być może więcej, ale w sukurs esesmanom przyszedł oddział UPA dowodzony przez Maksa Skorupskiego „Maksa" (brał też udział w pacyfikacji wsi 28 lutego 1944 r.).

Kilka dni później, 28 lutego 1944 r., na rozkaz dowódcy 4. Pułku, ppłk. Siegfrida Binza, II batalion otoczył wieś i ostrzelał ją z moździerzy i broni maszynowej. Samoobrona, wobec zdecydowanej przewagi napastników, nie podjęła walki. Po wkroczeniu do Huty Pieniackiej Ukraińcy (akcją dowodził niemiecki oficer) dokonali pojedynczych zabójstw polskich mieszkańców. Ponadto zabili odnalezionych rannych sowieckich partyzantów oraz ukrywającą się we wsi żydowską rodzinę. Dowódcę samoobrony „Satyra" oblano benzyną i podpalono. W trakcie przesłuchania został zastrzelony członek samoobrony, Władysław Bernacki. Pozostałych mieszkańców miejscowości zamkniętych w szkole i kościele (część z nich wcześniej przesłuchano) wyprowadzono i ulokowano w pomieszczeniach gospodarczych, które następnie podpalono. W Hucie Pieniackiej zginęło łącznie ok. 400–500 ludzi.

Parada Ukraińców, ochotników do dywizji SS-Galizien i 4. pułku policji SS, Lwów, 1943 r. FOT. WIKIPEDIA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

LITERATURA:

Komoński E., ***„W obronie przed Ukraińcami. Działania Polaków na Wołyniu i w Galicji Wschodniej w latach 1943–1944 wobec polityki eksterminacyjnej nacjonalistów ukraińskich"***; *Markowski D.*, ***„W cieniu Wołynia. Antypolska Akcja OUN i UPA w Galicji Wschodniej 1943–1945;*** *Ільюшин І.*, ***„Українська Повстанська Армія і Армія Крайова Протистояння в Західній Україні (1939–1945 рр.)"***; *Росіцький П.*, ***„Українська Народна Самооборона в Дистрикті Галичина у 1943 році"***; *Офіцинський Р., Хаврак Л.*, ***„Українсько-польські стосунки у Дистрикті Галичина (1941–1944)"***; *Пономаренко Р.*, ***„Галицькі добровольчі полки СС. 1943–1944"*** *i inne.*

eprasa.pl 45fa4c575c

Stanisław Srokowski FOT. BARTEK SADOWSKI/FORUM

Ludobójstwo na kartach / Demony autora „Nienawiści" i „Strachu"

Koniec świata na Kresach

Krzysztof Masłoń

Stanisław Srokowski stał się autorem jednego, wielkiego tematu – męczeństwa Polaków mordowanych przez Ukraińców. Pisarzowi zarzucano nadmierne mnożenie scen w okrucieństwie swoim przekraczających granice wrażliwości czytelniczej, a najgłośniejsi w tej krytyce byli ci, którzy w ludobójstwie na Kresach koniecznie chcieli doszukać się wojny domowej

Tym, którzy przeżyli zagładę polskich Kresów, „Piosenka o końcu świata" Czesława Miłosza, w której staruszek przewiązujący pomidory zapewnia, że „innego końca świata nie będzie", potwierdziła tylko to, o czym wiedzieli lepiej od wszystkich poetów i proroków razem wziętych. Dla nich koniec świata zaczął się we wrześniu 1939 r.

Masowe mordy Polaków dokonywane przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów nie rozpoczęły się w lutym 1943 r. na Wołyniu, lecz w nocy z 17 na 18 września roku 1939, i gdzie indziej, bo na Podolu, we wsi Sławentyn, powiat Podhajce, województwo tarnopolskie. Zamordowanych zostało wtedy przynajmniej 50 osób, zagrody obrabowano, część z nich spalono. Dziś stoi tam pomnik chwały z wypisanymi nazwiskami „bohaterów ze Sławentyna".

Stanisław Srokowski był wtedy dzieckiem, urodził się 29 czerwca 1936 r. w pobliskich Hnilczach koło Podhajec. Podobne napady ominęły wtedy jego wioskę, ale Polaków mordowano tuż obok: w Sławentynie właśnie, w Bokowie, Szumlanach. „Mordowano", a „ja już odróżniałem zabijanie od mordowania – pisze Srokowski w »Widmach nocy. Dokumentacji zbrodni« (2021). – Bo tak mówili dziadkowie. »Oni nie zabijają, oni mordują. Jakby zabijali, toby człowiek nie cierpiał. A oni chcą, byśmy cierpieli. Dlatego mordują. Siekierami, nożami, kosami, widłami, piłami«".

Stanisław Srokowski, prozaik, dramaturg, eseista, a przecież i – o czym niesłusznie się zapomina – poeta, stał się autorem jednego, wielkiego tematu. Męczeństwa Polaków mordowanych przez Ukraińców na Kresach. On sam przeżył tę hekatombę, przeżyli też jego rodzice (na samym Wołyniu Ukraińcy wymordowali 60 tys. Polaków, a w sumie na Kresach ok. 200 tys.), w przeciwieństwie do niemałej części dalszej rodziny: zabitego siekierami dziadka, poćwiartowanej ciotki, spalonego żywcem kuzyna. Jego dzieciństwo – pisze po latach – „również zostało zamordowane. […] plątałem się między nogami dorosłych i nasłuchiwałem, coraz bardziej przerażony, słysząc opowieści o tym, jak banderowcy żywcem wrzucają ludzi do studni, jak

eprasa.pl 45fa4c575c

dzieci spalają w piecach, jak przywiązują mężczyzn do drzew i ćwiczą celne uderzenia siekierą, odcinając głowy, piłami tnąc ciało, odrąbując ręce i nogi. Moja wyobraźnia napełniała się demonami zła, moje uczucia były poranione, a ja pogrążałem się w smutku i strachu. Powoli zamieniałem się z pogodnego radosnego dziecka w wystraszone zwierzę".

I to niemal dosłownie. W opowiadaniu „Rozszarpany poeta" (jednym z 12 składających się na tom „Strach" z 2014 r.) matka bohatera (narratora, autora – wszystko jedno) tłumaczy przybyłej ciotce, dlaczego dziecko kryje się przed nią w budzie: „Od kiedy Niemcy wybili Żydów i nie ma już jego kolegi, Motia, i od kiedy pop w cerkwi na kazaniu krzyczał, że trzeba oddzielić pszenicę od kąkolu i że kąkol to Polacy, a pszenica Ukraińcy, to jego drugi kolega, Ukrainiec Sławko, nie chce się już z nim bawić: »Bo wy Lachy«, mówi. I dlatego Stasio samotnie błąka się po kątach. Tylko ze zwierzętami się bawi. Tylko do zwierząt przystaje. Najpierw z kozą spał, a teraz z psem się bawi – mówiła szybko, jakby się usprawiedliwiała.

A ja siedziałem z wystraszonymi oczami, w budzie, i nie wiedziałem, czy mam wyjść czy jeszcze głębiej się schować. Pies lizał mi szyję i było ciepło. Ale matka krzyknęła:

– Wyłaź stamtąd! Nie jesteś psem.

Wcale nie byłem pewien, czy nie jestem psem, bo coraz bardziej się do psa upodobniałem".

To było dzieciństwo z najgorszego ze złych snów. Takie jak z wiersza „Byłem psią budą":

Byłem świeczką, zgasiły mnie podmuchy wojny,
oślepiły pękające ściany i zadrżała ciemność.
W grobach gadały duchy, a zmory nocy
wbijały widły w piersi dzieci.
W płomieniach ognia syczały
żałobne pieśni.
Byłem psią budą, zwoływały się
we mnie lęki i zjawy zmierzchu.
Byłem korzeniem i spijałem krew
z odciętej głowy dziadka Ignacego.
A upiory z czerwono-czarnymi flagami
topiły w studniach
koty.

Byłem kamieniem

W 1945 r. Stanisław Srokowski opuścił na zawsze swoje rodzinne strony. Wciśnięty do bydlęcego wagonu, w trakcie długiej, niemającej końca podróży, słuchał rozmów takich jak ta zapisana w „Repatriantach" (1988):

„– Musimy uciekać! – powiedział z naciskiem dziki. – Jedziemy tam, gdzie Polska.

– Jaka Polska? – z tłumioną wściekłością wył Binko Horbaty.

– Tam będzie Polska. Tam będą nasze domy i nasza ziemia.

– Tam Niemcy – pobladłymi wargami, dygocząc, złowrogo mówił Binko Horbaty.

– Tam, gdzie my, tam Polska – stwierdził z mocą dziki.

– Uciekliśmy przed śmiercią – powiedziała starucha.

– Uciekliśmy, żeby zapomnieć o krwi naszych dzieci – powiedziała druga i dech jej zaparło. – Co ja mówię? – zaskomliła.

– Ciii – poczuła dłoń siostry.

– Gdzie można uciec od śmierci? – spytał Binko. – No, gdzie?".

Srokowscy osiedlili się w Mieszkowicach, w województwie szczecińskim. Stanisław skończył tam szkołę, następnie liceum w Dębnie Lubuskim i Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Opolu. Pracował później we Wrocławiu i w Lubinie. Pracował jako nauczyciel i dziennikarz. Jako poeta zadebiutował w 1958 r. wierszem „Oczy" na łamach opolskiego pisma „Katolik". Pierwszy tom poetycki wydał w PAX-ie osiem lat później, po czym krytyka bez większego sensu przypisała go do nurtu poezji lingwistycznej. Publikował też większe poematy, a od 1976 r. powieści i opowiadania.

Dziecięcy bohater „Repatriantów", a wcześniej „Duchów dzieciństwa" (1985), Łazarz Drepla, opowiada:

Chciałem uciec.
Nie widziałem dokąd.
I nie wiedziałem, co mam z sobą zrobić.
Postanowiłem zamienić się w kamień.
I byłem kamieniem.
I kamień czuł, jak pęka od środka.

Jakby ktoś był ciekawy, to nie wiersz, lecz proza, fragment kto wie, czy nie najważniejszego w całym bogatym dorobku Srokowskiego, obejmującym ok. 50 książek, dzieła. Artystycznie stojącego na niebywale wysokim poziomie, niewolnego jednak od mankamentów zupełnie innego rodzaju.

„Repatriantów" opublikował Srokowski dopiero u schyłku komuny, w 1988 r., sześć lat po napisaniu powieści. Tyle czasu trwały korowody z partyjnymi czynownikami i cenzurą (o planowanym przez autora tytule „Wypędzeni" nawet mowy być nie mogło). W końcu książka się ukazała, ale Stanisław Srokowski przekonał się, że całej prawdy o tym, co przeżył i co wie, nie napisze. Było na to jeszcze za wcześnie, ale wkrótce już z tego, co nie mogło znaleźć się w „Duchach dzieciństwa" i „Repatriantach", powstały znakomite tomy opowiadań: „Nienawiść" (2006, Nagroda im. Józefa Mackiewicza w roku następnym) i „Strach".

W posłowiu do „Nienawiści" napisał i przywoływał później te słowa: „Mieszkałem na wsi w województwie tarnopolskim, gdzie działy się dantejskie sceny. Mordy ukraińskich nacjonalistów,

Ruiny kościoła we wsi Hnilcze

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/P.K.SŁUGOCKI/CC BY-SA 4.0

eprasa.pl 45fa4c575c

płonące wsie, gwałty i najokrutniejsze zbrodnie dokonywane na niewinnych ludziach były na porządku dziennym. Żyłem w strachu wieczornych zwierzeń i niezliczonych opowieści przy zapalonej lampie. W naszym domu zbierali się sąsiedzi i rozprawiali w nieskończoność, co się gdzie zdarzyło, jaki miało przebieg, kto został zabity, komu oczy wydłubano, język ucięto i jak się bronić przed okrucieństwem".

Wykrzyczeć ból

Książki Stanisława Srokowskiego wywoływały zachwyt, a także konsternację. Dziś ich niepoprawność polityczna wydawać się może oczywista, ale była taka i przed laty, gdy Putin może jeszcze nie myślał o zaatakowaniu Ukrainy. Pisarzowi zarzucano też nadmierne mnożenie scen w okrucieństwie swoim przekraczających granice wrażliwości czytelniczej, a nawet upodobanie do pornografii. A oczywiście najgłośniejsi byli ci, którzy w ludobójstwie na Kresach koniecznie chcieli doszukać się wojny domowej i symetrii w poczynaniach antypolskich i antyukraińskich. Jakby broniąca się przed śmiercią ofiara, której przyłożono nóż do szyi, była winna w tym samym stopniu, co ten, który wdarł się nocą do jej domu tylko po to, by ją zabić i ograbić. Przy czym Stanisław Srokowski wyraźnie akcentował, że mordercy z UPA nie zabijali wyłącznie Polaków. Także Ormian, Czechów, Rosjan, kryjących się po lasach Żydów, „mordowali też swoich, którzy ich nie słuchali. Albo pomagali polskim sąsiadom".

Ogromną popularność zdobyła powieść Srokowskiego „Ukraiński kochanek" (2008), jak miało się okazać – pierwsza część trylogii (tomy następne: „Zdrada" z 2009 r. i „Ślepcy idą do nieba" z 2011 r.). To w „Ukraińskim kochanku" bohaterkę przerażoną napływającymi wiadomościami o kolejnych rzeziach dokonywanych przez Ukraińców usiłuje uspokoić spokrewniony z nią ksiądz katolicki:

„– Ja też cierpię, Anno. Po stokroć cierpię. Ale nasze cierpienie nie zmieni świata. Musimy jakoś wyciszyć w sobie emocje, zdławić ból, ogarnąć umysłem…

– Jakim umysłem? – krzyknęła. – Co ma umysł tutaj do powiedzenia? Wyrywają mi ze środka duszę, ranią serce, miażdżą moją miłość do świata… do ludzi… do Boga… a ty mówisz o umyśle? Umysł jest ślepy i głuchy! Zimny jak kamień. I dawno umarł. Nienawidzę ich! – rzuciła z rozpaczą.

– Tego się, Anno, bałem – cicho wyrzekł. – Tych złych emocji, tego złego nastawienia, niechęci… Bo zła nie można złem… – urwał.

– Jakim złem? – zawyła. – Co ty wygadujesz, wuju?! To nie ja czynię zło – rozpaczliwie chwyciła się za głowę. – To nie ja rujnuję życie. To oni to czynią, zbrodniarze, ludobójcy. Rozumiesz? Rujnują, zabijają, miażdżą, gwałcą… I co? Ja mam ich za to kochać?! – patrzyła szklistymi oczami. – Może nie wolno mi jeszcze wykrzyczeć mego bólu, cierpienia?! A jak cierpieli ci biedni ludzie, rżnięci piłami, mordowani na raty, ćwiartowani… Może jeszcze nie wolno mi o tej strasznej zbrodni mówić? A może im o to właśnie chodzi, byśmy nie mówili, by zasiać w naszych umysłach i duszach strach i byśmy z tym strachem wiecznie żyli? Mam zamknąć sobie usta i zamilknąć na zawsze? Może świat ma natychmiast o tym zapomnieć? O ile cokolwiek o tym wie… – patrzyła na księdza z goryczą w oczach".

Prawdziwość głoszonej przez niego tezy, jakoby całe nieszczęście świata karmi się wrogością, gniewem i nienawiścią, będzie mógł kapłan zweryfikować osobiście, gdy niebawem (ale o tym przeczytamy już w drugiej części tej kresowej sagi) upowcy na oczach jego matki ukrzyżują go, okaleczą w potworny sposób, a w końcu podpalą.

A wcześniej zdąży jeszcze usłyszeć od innego swojego kuzyna, komentującego bardzo skrywane przed opinią publiczną ustalenia konferencji przywódców wielkich mocarstw w Teheranie, że Sowieci zagarną pół naszego kraju: „A wiesz, co to znaczy dla przyszłych pokoleń? Bez Kresów Polska będzie kalekim, chorym krajem, bez duszy. I nie otrząśnie się z tego przez wieki. Będzie w ciągłych konwulsjach i śmiertelnych drgawkach dogorywała. To katastrofa dla nas […]".

Właśnie w „Zdradzie" oprócz wydarzeń wynikających z fabuły znajdziemy odniesienia do faktów historycznych dziejących się gdzieś daleko, w świecie jakże odległym od spalonego Podola i Wołynia, który jednak miał zadecydować o losie tej umęczonej ziemi. Ten świat został przez Stanisława Srokowskiego literacko przetworzony, co celnie ujęła w „Katharsis kresowym", szkicu o jego pisarstwie, Renata Pomarańska.

Książki Stanisława Srokowskiego były potrzebne nie tylko nielicznym już Kresowiakom i ich potomkom, nie tylko rodakom nieznającym tych tragicznych stron naszej historii, lecz także samemu pisarzowi, bo naprawdę nie mamy niczego innego oprócz własnej biografii. I dlatego nie ograniczając się do prozy artystycznej, wydał Srokowski wspomniane, faktograficzne od A do Z „Widma nocy" czy wcześniejszą monografię

Tablica z nazwami miejscowości, w których UPA mordowała Polaków

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/GLAUBE/CC-BY-SA 4.0

rodzinnej wsi: „Hnilcze, prawda, pamięć i ból" (2013).

Błysk siekiery

To, że właśnie do Stanisława Srokowskiego zwrócił się w 2011 r. Wojciech Smarzowski z propozycją wykorzystania scen z jego książek w filmie „Wołyń", wydawało się oczywiste. A przecież „postępowa" opinia publiczna zawyła ze zgrozy. Doskonale pamiętam rozmowy ze „światłymi" znawcami tematu, zatroskanymi o nasze dobrosąsiedzkie stosunki ze wschodnim sąsiadem.

W wywiadzie dla „Newsweeka" w 2016 r. Smarzowski powiedział: „Najpierw przeczytałem relacje ocalałych Polaków. A potem usłyszałem, jak o tych wydarzeniach opowiadają. Ile kosztuje ich, żeby wypowiedzieć następujące zdanie. Emocje, te pauzy pomiędzy słowami miały siłę większą niż słowa. To wtedy postanowiłem nakręcić film o ludobójstwie na Kresach".

Wśród książek inspirujących reżysera „Wołynia" powieści i opowiadania Stanisława Srokowskiego zajmowały miejsce szczególne. W tej sytuacji – wspomina pisarz – „ustaliliśmy prostą i logiczną zasadę, skoro czerpie z mojej twórczości całymi garściami i na dodatek czyni mnie konsultantem swojego filmu, powinienem wiedzieć o każdym jego twórczym zamiarze i dokonywanym praktycznym kroku. I wiedziałem. Biorę więc także na siebie pełną odpowiedzialność za kształt i wydźwięk filozoficzny tego filmu, ponieważ od początku do końca pracowałem nad jego konstrukcją".

To nieprawda, że Srokowski skumulował w losach swoich bohaterów całe zło tego świata, a Wojciech Smarzowski wyciągnął z opowiadanych przez pisarza historii to, co najbardziej krwawe, bo przecież dał się już wcześniej poznać jako ten, który filmy kręci bardziej siekierą niż kamerą. Rzeczywistość była gorsza od tej filmowej i tej, która przetworzona literacko rzadko kiedy występuje w swoim najbardziej surowym kształcie, bywa nieco oniryczna, jakby z pogranicza snu i jawy.

Nie zabijaj!

W posłowiu do „Nienawiści" opowiada autor o spotkaniu w Hnilczach, dokąd wybrał się po ponad pół wieku od wypędzenia, „by pochylić się nad grobami pomordowanych krewnych, a także by oddać hołd i przypomnieć postać bohaterskiej Ukrainki, która, ryzykując życie, ukrywała Polaków, gdy tej samej nocy banderowcy palili polską część wsi. Pokłoniłem się nad grobem Olgi Misiuraczki, która jako młodziutka dziewczyna uratowała mnie i moim rodzicom życie. Zapaliłem na jej grobie świeczkę i pomodliłem się za jej duszę. Zatrzymał mnie stary, może osiemdziesięcioletni człowiek, który pamiętał rzeź Polaków i znał mego ojca i dziadka. Wziął mnie na bok, by uniknąć świadków, i poprosił o chwilę rozmowy. Powiedział, że bardzo mu ciąży tamten grzech i chce przeprosić za mordy, jakich dopuścili się banderowcy. Widziałem, że było to dla niego ogromnie ważne wyznanie. Miał opuszczoną głowę, drżał mu głos. Dodał, że byłoby mu ciężko umierać bez tej konfesji. Teraz, gdy przeprosił, poczuł ulgę […]. Ale tylko on jeden miał odwagę powiedzieć: przepraszam. Stara kobieta mieszkająca blisko zdewastowanego polskiego cmentarza, gdy się dowiedziała, że jestem wnukiem zamordowanego niedaleko dziadka Ignacego, przeraziła się tak bardzo, że szepnąwszy mi do ucha, iż boi się ze mną o tamtych czasach rozmawiać, bo zło nadal tutaj czuwa, szybko uciekła do domu. Zamknęła się w domu i zasłoniła okno. Wielu mieszkańców tej wsi i innych miejscowości na Wołyniu i Podolu boi się własnej pamięci". Literacką wersją tej historii jest opowiadanie „Wyznanie rezuna" z tomu „Strach".

Także wyraźne odniesienie do biografii pisarza ma inne opowiadanie z tego tomu zatytułowane „Chłopcy, nie róbcie nam wstydu", rekonstruujące pewne zebranie, które odbyło się w Hnilczach do końca nie wiadomo dokładnie kiedy i w jakim lokalu, bo relacje są sprzeczne, ale zgodne co do tego, że nie wszyscy zebrani zgodzili się spełnić żądanie przybysza z rozkazem UPA, by zabili swoich polskich sąsiadów. Wyartykułowali wyraźnie: „Nie będziemy ich mordować". Brzmi to okropnie, ale trzeba w tym miejscu postawić pytanie Zbigniewa Herberta: Czy wymagało to wielkiej odwagi? I należy odpowiedzieć twierdząco: Tak, po trzykroć tak, trzeba było odwagi, by powiedzieć – nie zabiję. Bo ktoś taki uznawany zostawał siejącym złą propagandę wrogiem wolnej, samostijnej Ukrainy.

Zanim 17 sierpnia 1944 r. doszło do napadu na Hnilcze, ukraińscy sąsiedzi ostrzegli polskie rodziny, które w większości zdołały się ukryć. I dzięki temu tej nocy, która już wtedy mogła unicestwić całą polską społeczność wsi, zginął jedyny „Wacio Guz, który wlazł banderowcom w oczy i go zabili. Ale nie męczyli, nie torturowali jak innych. Zrabowali majątek, narzędzia rolnicze, naczynia, jeśli ktoś miał – kosztowności, sztućce, ubrania, obuwie, kapy, brony, pługi, powrzucali wszystko na wozy, zaprzęgli skradzione konie i uciekli. Byli to napastnicy z sąsiednich wsi. A druga grupa podpalała domy i szła z żagwiami od chaty do chaty, by zniszczyć dobytek. I to by się zgadzało z ustaleniami w czasie ostatniej fazy zebrania, gdy nasi Ukraińcy podjęli uchwałę, że nie będą swoich mordować. Będą tyko grabić i palić. Ale nie zabijać".

Zgromadzenie to było najprawdopodobniej zebraniem lokalnej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Było to już po rzezi na Wołyniu. Może i tu zadekretowano by kolejny zbiorowy mord, gdyby nie kilka osób, które stać było na powiedzenie „nie", a może i podziałała serdeczna prośba Olgi Rybak, która zwyczajnie poprosiła: „Chłopcy, nie róbcie nam wstydu". Ale Saszę Dłubaka spalono jeszcze tej samej nocy, a gdy jego żona i dzieci kilka dni później wybrały się na grzyby, już z lasu nie wróciły; znaleziono je z odciętymi głowami. A Oldze Rybak, która pędziła krowy na pastwisko, nieznani – oczywiście – sprawcy zmiażdżyli twarz, obcięli piersi i między uda wbili drewniany pal. To zrobili swoi swoim. Bo obrona Polaków w tamtej rzeczywistości była karana śmiercią.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45fa4c575c

Swen Widłobrody, mąż Świętosławy. Obraz „Swen Widłobrody" Lorenza Frølicha

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Świętosława-Storråda / Polańska matka królów

Piastówna na tronach wikingów

Sławomir Koper

Córka Mieszka I była królową Szwecji, Danii, Norwegii i Anglii. Stała się bohaterką wielu sag, których treść przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie

Historia Polski epoki średniowiecza zawiera wręcz niewyobrażalną liczbę białych plam. Nie tylko nie wiemy, jak naprawdę miał na imię pierwszy historyczny książę Polan, ale też samo istnienie wielu członków rodziny Piastów bywa podważane przez historyków. Problemy z początkami pierwszej polskiej dynastii nie ograniczają się wyłącznie do imienia Mieszka (Mieczysława, Dagoberta?) czy imion i pochodzenia jego przodków. Nie wiemy, jak nazywał się brat księcia, który poległ w starciu z saskim awanturnikiem Wichmanem i Wieletami w 963 lub 964 r., ani też czy rzeczywiście istniała jego siostra, którą niektórzy nazywają Adelajdą. Miała ona rzekomo wyjść za mąż za księcia Węgier, Gejzę, i urodzić mu syna, przyszłego Stefana Wielkiego (Świętego). Obecnie ta wersja jest podważana, a jeżeli faktycznie Mieszko miał siostrę, to być może wyszła ona za mąż za innego z członków węgierskiej dynastii, ale na pewno nie była matką pierwszego koronowanego króla tego kraju.

Rzekoma Adelajda jest jednak tematem pobocznym, natomiast kwestia córki Mieszka I to już kwestia znacznie większego kalibru. Odegrać bowiem miała ona wielką rolę w dziejach Skandynawii i stać się miała bohaterka wielu

eprasa.pl 45fa4c575c

sag, których treść przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie.

Świętosława

Niestety, nie znamy nie tylko daty urodzenia naszej bohaterki, lecz także nawet jej imienia. Badacze nie są też do końca zgodni, kto był jej matką. Według najczęściej spotykanych teorii córka Mieszka miała przyjść na świat z jego związku małżeńskiego księcia z Dobrawą, co by oznaczało, że urodziła się pomiędzy 967 a 972 r. i była młodszą siostrą Bolesława Chrobrego. Nie brakuje jednak opinii, że była córką Mieszka i jego drugiej żony Ody, co by przesuwało datę jej urodzenia na lata 979–980. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne, gdyż syn Świętosławy, Olaf Skötkonung, przyszedł na świat ok. 980 r. Wprawdzie w średniowieczu wydawano dziewczynki za mąż bardzo wcześnie, ale tego rodzaju mariaż, a szczególnie macierzyństwo, było jednak niemożliwe.

Pojawiła się również sugestia, że Świętosława była córką Mieszka i jego nałożnicy, ewentualnie – jak to ujęto – pogańskiej żony księcia. Hipotezę tę można jednak odrzucić, gdyż gdyby Świętosława przyszła na świat przed przyjęciem chrztu przez ojca, miałaby zbyt wiele lat jak na małżeństwo dynastyczne. Natomiast nic o nałożnicach w życiu Mieszka po przyjęciu chrztu nie wiadomo, a gdyby księżniczka pochodziła z takiego związku, to kronikarze natychmiast by to zaznaczyli. Szczególnie biskup Merseburga Thietmar, który nie lubił Polan i chętnie by wykazał niemoralność władców z dynastii Piastów. A był przecież człowiekiem dobrze zorientowanym w sprawach naszego kraju.

Gorzej, że imię naszej bohaterki jest również rekonstrukcją, a właściwie hipotezą. Sagi skandynawskie nazywają ją Storrådą (Dumną), Sygrydą lub Gunhildą, co według większości badaczy było efektem tego, że jej słowiańskiego imienia nikt na północy nie potrafił wymówić. Ale z drugiej strony, jeżeli Mieszko faktycznie na chrzcie otrzymał imię Dagoberta, to dlaczego jego córka miałaby się nie nazywać Gunhilda?

Historycy zaproponowali jednak imię Świętosława, gdyż tak nazywała się jej córka z drugiego małżeństwa z królem Danii, Swenem Widłobrodym. Faktycznie było to imię niespotykane w dziejach tamtejszej dynastii, ale pojawiły się też głosy, że wśród nordyckich rodów nie było w zwyczaju nadawania imion żyjących członków rodziny. Ale czy panująca dynastia nie mogła zmienić obyczaju, gdy któryś z jej członków chciał tak uczynić?

Świętosława i Olaf Tryggvason

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Pozostańmy zatem przy imieniu Świętosława, chociaż Gunhilda wydaje się całkiem prawdopodobna. I nie jest prawdą, że Piastowie unikali obco brzmiących imion, niebawem Bolesław Chrobry miał dać swojemu młodszemu synowi na imię Otton. Wprawdzie zrobił to na cześć cesarza przy okazji zjazdu gnieźnieńskiego, ale urodzoną wcześniej córkę nazwał Regelindą, co nie było imieniem słowiańskim. I raczej nie wynikało z koligacji rodzinnych, gdyż matką dziewczyny była księżniczka łużycka.

Sagi i skaldowie

Wprawdzie Świętosława wspominana jest przez kilku kronikarzy, ale polskie źródła o niej konsekwentnie milczą. W tej sytuacji dzieje jej życia można zrekonstruować na podstawie staronordyckich sag niezwykle popularnych w X–XII w. w Skandynawii. Były to pieśni prezentowane przez wyspecjalizowanych wykonawców nazywanych skaldami.

Sagi były przekazywane ustnie, gdyż ich twórcy i wykonawcy nie znali pisma ani zapisu nutowego. Ich tematyką były mitologia, władcy, wojny, miłość. Każda saga musiała mieć swojego bohatera, charyzmatyczną postać, której losy zwracały uwagę słuchaczy. Nie zapominano także o bohaterkach, chociaż nie poświęcono im indywidualnie żadnego utworu. Miały jednak swoje miejsce, a swoim zachowaniem wpływały na wydarzenia i postępowanie mężczyzn. Jedną właśnie z takich postaci była Świętosława.

Najlepsi skaldowie cieszyli się wręcz nieprawdopodobną popularnością. Porównać ją można do zwycięzców turniejów rycerskich w zachodniej Europie czy też do prowansalskich trubadurów. Wędrowali od dworu do dworu i prezentowali swoją sztukę (wymagała ona także umiejętności aktorskich). Za swoje występy otrzymywali sowite wynagrodzenie, a była to profesja tak wysoko ceniona, że swoich sił próbował nawet król Norwegii Harald III Srogi. To był ten władca, który równocześnie z Wilhelmem Zdobywcą najechał Anglię w 1066 r., ale miał mniej szczęścia od normańskiego księcia. Poniósł bowiem klęskę i poległ w bitwie pod Stamford Bridge z rąk Harolda II Godwinsona. Nie zmienia to tego, że uważany jest za ostatniego wikinga, a jego wyprawa na Anglię – za koniec epoki najazdów skandynawskich rozbójników.

eprasa.pl 45fa4c575c

Otto Sinding „Bitwa morska pod Svold" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Do niedawna historycy traktowali sagi z lekkim przymrużeniem oka i odmawiali im wartości naukowej. Uważano, że choć zawierały pewne fakty historyczne, to często opisywały wydarzenia, które były wyłącznie fantazją ich twórców. Z czasem zaczęło się to zmieniać i nawet przebieg kolonizacji Ameryki Północnej (Winlandu) odtworzono na podstawie sag islandzkich, co później potwierdziły badania archeologiczne. Tym bardziej że większość utworów powstawała wręcz na bieżąco i dość dokładnie przekazywana była ustnie przez kolejne pokolenia. Dlatego raczej możemy mieć pełne zaufanie do przekazów skaldów na temat Świętosławy.

Królowa Szwecji

Skaldowie nie podawali niestety dat, zatem nie wiemy, kiedy córka Mieszka I poślubiła króla Szwecji, Eryka Zwycięskiego. Musiało to mieć miejsce ok. 980 r., a małżonek był od niej starszy co najmniej o ćwierć wieku. Związek miał charakter polityczny, ponieważ Mieszko skierował swoją ekspansję w stronę ujścia Odry, gdzie dominowali wojowniczy wikingowie z potężnego Jomsborga sprzymierzeni z Danią. Z jomsborczykami miał zresztą Mieszko osobiste porachunki, gdyż posiłkowali wyprawę Wichmana, podczas której zginął brat księcia. Natomiast Eryk był zajadłym wrogiem Danii i jej króla, Swena Widłobrodego, którego zamierał strącić z tronu. W tej sytuacji sojusz dla obu stron wydawał się jak najbardziej naturalny.

Tym bardziej że sam Eryk potrzebował wsparcia we własnym kraju. Toczył wojny ze swoim bratankiem Styrbjörnen Mocnym, którego popierał Swen Widłobrody. Spór został rozstrzygnięty w 985 r., kiedy to Styrbjörn wylądował na szwedzkim brzegu, spalił swoje okręty, by wykazać, że nie ma odwrotu, i ruszył na Uppsalę. Został jednak pokonany i zginął, a podobno Eryk zawdzięczał triumf Odynowi, któremu przyrzekł, że przybędzie do Walhalli 10 lat po zwycięstwie. I tak miało się stać.

W tym miejscu mała dygresja. Chociaż Świętosława była chrześcijańską księżniczką, to trafiła do pogańskiego kraju, a jej mąż nie zamierzał przyjąć wiary w Chrystusa. Nie czekała ją zatem droga Dobrawy, która stała się forpocztą chrystianizacji księstwa Polan. A sama Świętosława, chociaż wychowała się na chrześcijańskim dworze, to najwyraźniej specjalnie nie przejmowała się pogańskimi wierzeniami swojego otoczenia.

Eryk Zwycięski odszedł do Walhalli w 995 r. i tron przejął syn jego i Świętosławy, Olaf Skötkonung. To on miał wprowadzić w Szwecji chrześcijaństwo, ale bez pomocy matki. Ta bowiem miała własne plany.

Olaf Tryggvason

Świętosława nie zamierzała opłakiwać specjalnie zmarłego męża, a była kobietą urodziwą, inteligentną i obdarzoną ogromnym temperamentem. Jako wdowa po królu miała też swoją mocną pozycję polityczną i pokaźny majątek, nic zatem dziwnego, że nie brakowało kandydatów do jej ręki. Królowa była jednak wybredna, a poza tym miała dość wysokie mniemanie o swoim pochodzeniu i pozycji społecznej. Gdy dwóch zalotników szczególnie uprzykrzało jej życie, zaprosiła ich na ucztę i nie żałowała alkoholu, a gdy zasnęli, kazała podpalić budynek, w którym przebywali. Obaj zginęli, a liczba konkurentów do jej ręki drastycznie zmalała. I o to królowej chodziło, gdyż wybrała już sobie kandydata na męża. Był nim jeden z największych awanturników epoki, król Norwegii, Olaf Tryggvason.

Jego życie to gotowy scenariusz filmowy. Był potomkiem pierwszego władcy zjednoczonej Norwegii, Haralda Pięknowłosego (zm. 933 r.). Po jego śmierci państwo się jednak rozpadło i Olaf przyszedł na świat jako syn władcy niewielkiego Viken. Był pogrobowcem, ojciec zginął w wojnach z sąsiadami i matka obawiając się o los syna, wysłała go na Ruś Kijowską, gdzie rządziła dynastia Rurykowiczów pochodząca od skandynawskich zdobywców.

Młody Olaf wychowywał się w Nowogrodzie Wielkim, ale już w 12. roku życia uznał, że wygodne życie nie jest jego przeznaczeniem. Przyłączył się do piratów skandynawskich grasujących po Morzu Bałtyckim, a z niewiadomych powodów szczególną niechęcią darzył Słowian (zapewne Pomorzan i Połabian). Doszło wreszcie do tego, że zyskał przydomek Vindamyrdir, czyli „zabójca Słowian".

Szybko zdobył sławę i wraz ze Swenem Widłobrodym dwukrotnie wyprawiał się na Anglię, narzucając wyspiarzom ogromny trybut. Przy okazji przyjął chrzest, a gdy został wezwany do Norwegii, objął tamtejszy tron i zaczął wprowadzać chrześcijaństwo.

Przy okazji ograniczał też wpływy możnowładców, co nie mogło się dobrze skończyć. Niebawem miał przeciwko sobie niemal cały kraj, a buntownicy uzyskali poparcie niedawnego sojusznika Tryggvasona, Swena Widłobrodego, i syna Świętosławy, Olafa Skötkonunga.

Zapewne wszystko mogło się potoczyć inaczej, gdyby Tryggvason jednak poślubił wdowę po królu Szwecji.

Zemsta kobiety

Podobno Świętosława zakochała się w Tryggvasonie bez pamięci. Trudne dzieciństwo, wygnanie, a potem kariera nieustraszonego awanturnika uczyniły z niego bohatera sag. Storrådzie nie przeszkadzało nawet dosyć skomplikowane życie uczuciowe ukochanego, który był co najmniej czterokrotnie żonaty. Przy okazji nie można wykluczyć, że jego małżeństwa funkcjonowały równolegle, czyli był poligamistą.

eprasa.pl 45fa4c575c

Nie wiadomo, co zaszło pomiędzy Świętosławą a Olafem, podobno mieli romans, a potem Norweg odrzucił królową i miał ją jeszcze publicznie upokorzyć. Nie wiadomo, czy w grę wchodziły rozbuchane męskie ego czy też zmiana sytuacji politycznej. W każdym razie królowa Szwecji nie zamierzała sprawy tak zostawić i zaplanowała zemstę.

Szybko znalazła na to sposób – oddała swoją rękę Swenowi Widłobrodemu, który w zmienionej sytuacji politycznej stał się wrogiem Tryggvasona (a może nakłoniła go do tego Świętosława?). Po stronie króla Danii stanął też syn Storrådy, Olaf Skötkonung. Na domiar złego w Norwegii wybuchł otwarty bunt i Tryggvason stanął przeciwko znacznie potężniejszej koalicji. Jednak prawdziwy wiking nigdy nie cofa się przed wrogiem. Zdążył wyprawić się ze swoją flotą na ziemie wieleckie po łupy, a w drodze powrotnej jego flocie towarzyszyły okręty z Jomsborga. Nie wiedział jednak, że Szwedzi i Duńczycy zastawili na niego pułapkę.

Do decydującej bitwy doszło prawdopodobnie pod Svold, w najwęższym miejscu cieśniny Øresund na północ od wyspy Ven. Flota szwedzko-duńska była trzykrotnie silniejsza od sił Tryggvasona, a na dodatek na początku bitwy sprzymierzeńcy z Jomsborga przyłączyli się do jego przeciwników. W tej sytuacji Tryggvason nie miał żadnych szans, gdyż przeciwko jego 11 okrętom stanęło aż 70 jednostek przeciwnika. Wprawdzie jego okręty były znacznie potężniejsze, ale decydowała liczba. Zresztą król Norwegii popełnił fatalny błąd, który miał go kosztować życie. Nie chcąc ustawiać swoich okrętów w klin, by przebić się w kierunku Norwegii (prawdziwy wiking nigdy nie uciekał), polecił powiązać ze sobą jednostki, by uniknąć abordażu pojedynczych okrętów.

I to był jego błąd. Norweskie drakkary stanęły nieruchomo, a przeciwnik atakował z każdej strony. Liny łączące jednostki zostały poprzecinane i kolejno dokonywano abordażu, a okręty Tryggvasona z opuszczonymi żaglami i wciągniętymi wiosłami nie mogły się wycofać. Wreszcie zostały zdobyte, ale król Norwegii nie zamierzał wpaść w ręce wrogów. Rzucił się do morza i utonął, co było ostatecznym potwierdzeniem klęski. Ten jego ostatni wyczyn został nazwany „skokiem królewskim" i pod tą nazwą przeszedł do skandynawskiej tradycji.

Rozpacz królowej

Nie wiadomo, co czuła Świętosława, gdy dotarła do niej informacja o śmierci kochanka. Bez wątpienia próbowała zachować spokój, ostatecznie była żoną Swena i królową Danii. Już wcześniej urodziła mężowi czworo dzieci: dwóch synów i dwie córki, zatem miała dość silną pozycję na duńskim dworze.

Jednak życie małżonków się nie układało. Nieznane są przyczyny tego stanu rzeczy, być może królowa nie potrafiła wybaczyć sobie zemsty na Tryggvasonie i jego śmierci. Wreszcie, dwa lata po bitwie pod Svold, król Danii wygnał małżonkę ze swojego dworu. Storråda wróciła do Polski, gdzie miała pozostać aż do śmierci męża. Ten tymczasem zajął się zdobyczami w Anglii i w 1013 r. zdobył Londyn oraz podporządkował sobie cały kraj. Długo się jednak tym sukcesem nie nacieszył, gdyż kilka miesięcy później tak fatalnie spadł z konia, że zmarł na skutek obrażeń.

Los Świętosławy się odwrócił. Do Polski przybyli jej synowie, Kanut i Harald, prosząc matkę, by powróciła z nimi do Danii. Niewiele ją pamiętali, gdyż w chwili wygnania jej z kraju byli małymi chłopcami, ale nie zamierzali dopuścić, by królowa Danii tułała się po obcych dworach. Nawet jeżeli był to jej kraj rodzinny.

Kanut Wielki, syn Swena Widłobrodego i Świętosławy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Storråda wyraziła zgodę i popłynęła na Półwysep Jutlandzki. Nie wiadomo, jakie były jej dalsze losy i kiedy zmarła, ostatnia potwierdzona informacja o niej pochodzi z 1016 r. Pozostawała już poza wielką polityką i nie tylko kronikarze, lecz także skaldowie przestali się nią interesować.

Potomkowie Swena podzielili się ojcowizną. Harald został królem Danii, a Kanut wyruszył do Anglii, gdzie na wieść o śmierci Widłobrodego doszło do buntu. Towarzyszyły mu oddziały z Norwegii, a posiłki przysłał również Bolesław Chrobry. Trzeba przyznać, że nasz pierwszy król miał rozmach. Gniezno, Praga, Kijów… Ale Londyn?

Wyprawa zakończyła się częściowym sukcesem, wprawdzie Kanutowi nie udało się oblężenie Londynu, ale zawarł pokój ze swoim przeciwnikiem, Edwardem Żelaznobokim. Podzielono kraj na dwie części, ziemie na południe od Tamizy przypadły Duńczykowi, a reszta Anglosasowi. Władcy zawarli też układ o przeżycie i w przypadku śmierci jednego z nich dziedziczyć miał drugi. I tak się stało, gdy miesiąc później zmarł Edward. Prawdopodobnie został on zamordowany na polecenie Kanuta, dzięki czemu ten ostatni został jedynym władcą Anglii. A rok później, gdy zmarł jego brat Harald, zasiadł także na tronie Danii. Ukoronowaniem jego władzy było zdobycie w 1028 r. norweskiej korony. Czy doczekała tego Świętosława, tego nie wiadomo. Nie wiemy również, czy odwiedziła kiedyś Wyspy Brytyjskie ani gdzie została pochowana.

Jej młodsza córka i imienniczka wyszła za mąż za bliżej nieokreślonego księcia słowiańskiego Wyrtgeorna, być może panującego wśród Obodrzyców lub Wieletów. Natomiast Estryda Małgorzata poślubiła jarla Ulfa Torgilssona, a ich syn miał w przyszłości zostać królem Danii i założycielem dynastii Estrydsenidów. Ród ten panował aż do 1412 r. i to nie tylko w Danii, lecz także w Norwegii i Szwecji. Ostatnia przedstawicielka dynastii, Małgorzata I, miała zjednoczyć kraje skandynawskie w ramach unii kalmarskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45fa4c575c

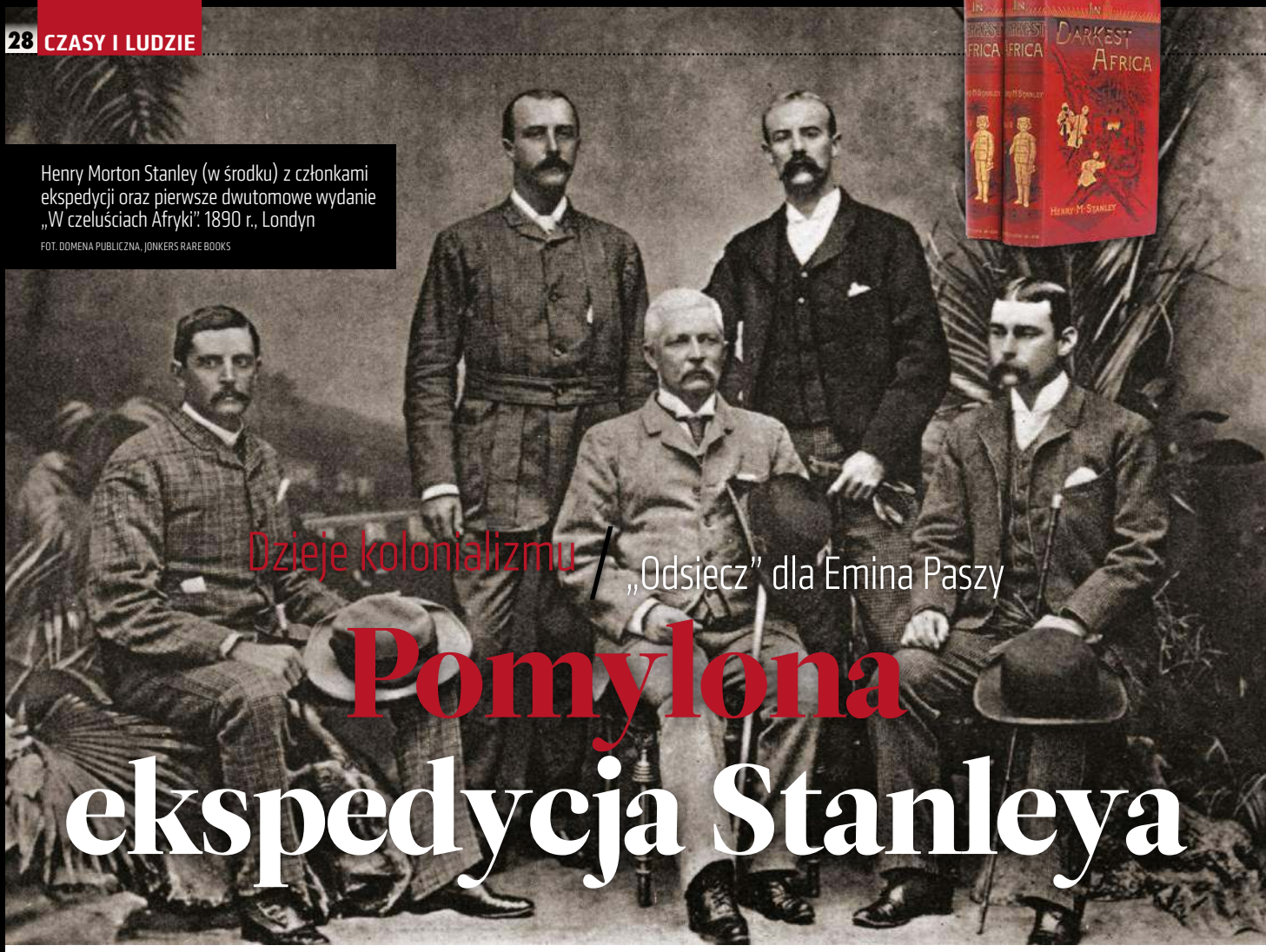

Henry Morton Stanley (w środku) z członkami ekspedycji oraz pierwsze dwutomowe wydanie „W czeluściach Afryki". 1890 r., Londyn

FOT. DOMENA PUBLICZNA, JONKERS RARE BOOKS

Dzieje kolonializmu / „Odsiecz" dla Emina Paszy

Pomylona ekspedycja Stanleya

Anna Szczepańska

Europejczycy niecierpliwie wyczekiwali kolejnych doniesień na temat wyprawy ratunkowej w głąb afrykańskiego „jądra ciemności". Ekspedycja, której przewodził najsłynniejszy odkrywca XIX w., szybko zamieniła się w jedną wielką farsę

Odsiecz, którą organizowano dla Emina Paszy, wywołała ogromne zainteresowanie na Starym Kontynencie, jeszcze zanim się na dobre rozpoczęła. Europejskie tytuły prasowe prześcigały się w nakręcaniu gorączkowej atmosfery. „Pomoc dla Emina Paszy, otoczonego przez dzikie i wrogie plemiona, odciętego od pomocy i zaopatrzenia płynących z cywilizacji, byłaby czynem niebezpiecznym, ale miłosiernym" – pisał brytyjski „Times". Pewny zysk wyczuli w tej historii potentaci medialni, fabrykanci oraz przede wszystkim król Leopold II Koburg. Ten władca Belgii znany był jeszcze wówczas nie jako bezwzględny rzeźnik, który stworzył nieludzki system skutkujący śmiercią 8 mln Kongijczyków, lecz jako zwolennik abolicji, fundator misji chrześcijańskich i wielki miłośnik odkryć geograficznych.

Tłem dla tej przedziwnej historii jest powstanie Al-Mahdiego, które wybuchło w Sudanie w 1881 r. Kilka lat później prący na południe powstańcy otoczyli Ekwatorię, prowincję znajdującą się pod rządami pracującego dla Egipcjan gubernatora Emina Paszy, pochodzącego z Polski Żyda, który jako dorosły człowiek przeszedł na islam. Siły Emina znalazły się w trudnym położeniu, więc gubernator zaczął słać do Europy apele o pomoc. Nie trafiły one w próżnię, ponieważ Emin zdążył się już dorobić w Europie statusu bohatera, a o jego wyprawach i dokonaniach chętnie rozpisywały się gazety.

Na pomoc Eminowi Paszy wyruszyć miał słynny dziennikarz, podróżnik i celebryta, Henry Morton Stanley, znany przede wszystkim jako człowiek, który w 1871 r. nad jeziorem Tanganika odna-

eprasa.pl 45fa4c575c

lazł Davida Livingstone'a i wypowiedział legendarne słowa: „Doktor Livingstone, jak sądzę?".

Pomoc czy aneksja

Najwięcej pieniędzy w przygotowanie wyprawy Stanleya włożyli Brytyjczycy, którzy pałali rządzą zemsty na krnąbrnych mahdystach, żądających nawet podobno, aby królowa Wiktoria osobiście pofatygowała się do Sudanu, ogłosiła brytyjską kapitulację i przeszła na islam. Wzburzenie brytyjskiej opinii publicznej doskonale wykorzystał Leopold II, który zamierzał posłużyć się wyprawą swojego człowieka, Henry'ego Stanleya, do rozszerzenia własnych wpływów w Afryce. Kongo Leopoldowi już nie wystarczało, zapragnął więc włączenia do swego prywatnego dominium południowego Sudanu, którym zarządzał właśnie Emin Pasza. Leopold rozumował, że wdzięczny Emin, któremu wysłannik belgijskiego króla ruszy z pomocą, zgodzi się ogłosić przyłączenie Ekwatorii do Konga. Ten cel wyprawy pozostał, rzecz jasna, tajemnicą na wiele kolejnych dekad. Prawda wyszła na jaw dopiero po latach, dzięki pracy historyków i lekturze dokumentów zachowanych m.in. w londyńskich archiwach. Sam Stanley, tuż przed wyjazdem z Europy, opowiadał o misyjnym charakterze ekspedycji: „Wyprawa nie ma charakteru wojskowego, a to znaczy, że jej celem nie jest walka i zniszczenie. Jej celem jest zbawienie, ulżenie w nieszczęściu, niesienie pocieszenia. Emin Pasza może być dobrym człowiekiem, […] ale nie mogę uwierzyć, że jego życie zrównoważyłoby życie tysięcy tubylców i zniszczenie ogromnych połaci kraju, które spowodowałaby wyprawa o charakterze czysto wojskowym. Wyprawa ta to zwykła karawana uzbrojona w karabiny, której zadaniem jest bezpieczny transport amunicji Eminowi Paszy i pewniejsza ochrona jego ludu podczas powrotu do domu". Jak zwykle Stanley kreował się w oczach opinii publicznej na humanitarystę. W rzeczywistości życie tubylców nic dla niego nie znaczyło. Więcej – bezgranicznie gardził czarnymi.

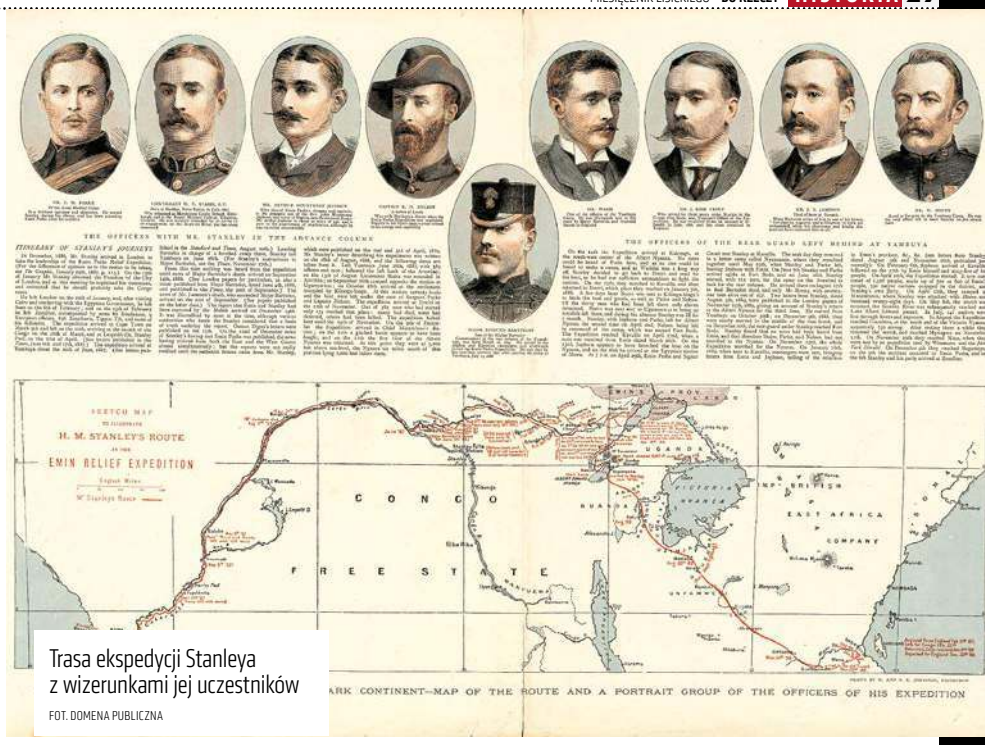

Trasa ekspedycji Stanleya z wizerunkami jej uczestników

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Za organizację wyprawy po stronie brytyjskiej odpowiadał William Mackinnon, biznesmen mający rozległe interesy handlowe w Indiach i w Afryce Wschodniej, współzałożyciel Komitetu Pomocy Eminowi Paszy. To on był zresztą pomysłodawcą koncepcji, aby to Stanley poprowadził wyprawę. Nie mógł go jednak zatrudnić, gdyż nie zgadzał się na to Leopold. W trakcie rozmów organizacyjnych wypracowano więc kompromis. Król Belgii „wielkodusznie" zgadzał się, aby jego człowiek szedł na czele ekspedycji, lecz wyprawa miała wyruszyć nie krótszą drogą ze wschodniego wybrzeża Afryki, lecz z zachodu, od ujścia rzeki Kongo, po czym popłynąć rzeką i dalej maszerować na północ, przemierzając niezbadany dotąd las równikowy Ituri, aby w ten sposób dotrzeć do Ekwatorii.

Z politycznego punktu widzenia miało to sens. Zadowolony był Leopold, który udostępnił wędrowcom nawet własne parowce. Zadowoleni byli też Niemcy, którym niezbyt podobał się pomysł, aby brytyjska, choć de facto prywatna, uzbrojona ekspedycja maszerowała przez ich kolonię. Brytyjczycy ostatecznie także przekonali się do pomysłu Leopolda, tym bardziej że król zaoferował wyprawie swoje statki.

Emin Pasza i Henry Morton Stanley

FOT. LIBRARY OF CONGRESS

Katastrofalne decyzje

Po miesiącach przygotowań i negocjacji, pod koniec stycznia 1887 r., Stanley, wraz z członkami swojej wyprawy, opuścił Londyn. Poprzez Kair, Suez i Aden

eprasa.pl 45fa4c575c

22 lutego wszyscy przybyli na Zanzibar, gdzie zatrudniono licznych tragarzy. Ku irytacji Niemców Stanley ustalił z tamtejszym sułtanem lepsze warunki handlowe dla wspomnianego Mackinnona i innych brytyjskich kupców, a ku ogólnej dezaprobacie wynegocjował z islamskim handlarzem niewolników i kością słoniową, Tippu Tibem, korzystny układ dla siebie.

Trzy dni później wyprawa opuściła Zanzibar i okrążając Afrykę na statkach, dotarła do ujścia rzeki Kongo. Na czele liczącej ok. 800 ludzi ekspedycji złożonej głównie z tragarzy taszczących tony amunicji, prowiantu i sprzętu szedł Henry Morton Stanley. Nieoficjalnym symbolem wyprawy stał się karabin Maxim, który ofiarował Stanleyowi jego twórca, Hiram Maxim. Miał on, jak mawiał Stanley, „pomóc cywilizacji zatriumfować nad barbarzyństwem". Podobno na sam widok prezentującej się przerażająco broni tubylcy wycofywali się w popłochu. Innym, groteskowym na tym tle symbolem była flaga nowojorskiego jachtklubu, którą członkowie ekspedycji mieli nieść na prośbę wydawcy „New York Herald".

Pod koniec kwietnia członkowie misji Stanleya ruszyli na parowcach w górę rzeki Kongo. Porywczość Stanleya dała wtedy o sobie znać w pełnej krasie. Podróżnik był rozdrażniony, nerwowy, bił swoich współpracowników i kazał chłostać Bogu ducha winnych tragarzy. Takie zachowanie było smutną normą w czasie wszystkich wypraw Stanleya, lecz mimo to jego legenda sprawiała, że kolejni poszukiwacze przygód chcieli brać udział w jego ekspedycjach. Bezsensowne okrucieństwo kierownika wyprawy dawało o sobie znać co rusz przez cały czas trwania misji.

Zanim podróż rzeką się zakończyła, Stanley wpadł na nowy pomysł. Postanowił podzielić swoich ludzi na dwie grupy. Tak zwana tylna kolumna pod dowództwem Edmunda Barttelota miała pozostać tymczasowo w Yambuya, miejscu, do którego Kongo było rzeką żeglowną, aby gromadzić zapasy i czekać na drugą grupę, która pójdzie na pomoc Eminowi Paszy. Na czele tej drugiej, mniej licznej formacji stanął sam Stanley. Chciał on jak najszybciej dotrzeć do Emina, a później triumfalnie wrócić z nim do Europy.

Ekspedycja się rozdzieliła. Ludzie Stanleya wyrąbywali sobie drogę maczetami przez niepoznany dotąd przez Europejczyków gęsty las. Do pokonania mieli setki kilometrów, a bywało, że jednego dnia przebywali zaledwie 500 metrów. W szeregach „awangardy" zaczął szerzyć się bunt. Ludzie dezerterowali, umierali z wycieńczenia oraz głodu, gdyż Stanley źle zabezpieczył wyprawę od strony aprowizacyjnej. Podróżnik był coraz bardziej wściekły, a swą złość wyładowywał na afrykańskich tragarzach, osobiście ich chłoszcząc. „Rozrywką" dla niektórych oficerów stało się także strzelanie z broni palnej do miejscowej ludności. Głowy niektórych Afrykanów pakowano w skrzynie z zamiarem wysłania ich do Anglii i poddania badaniom. Porywano także czarne kobiety i grożono ich mężom, że jeśli nie dostarczą ekspedycji jedzenia, to kobiety zginą.

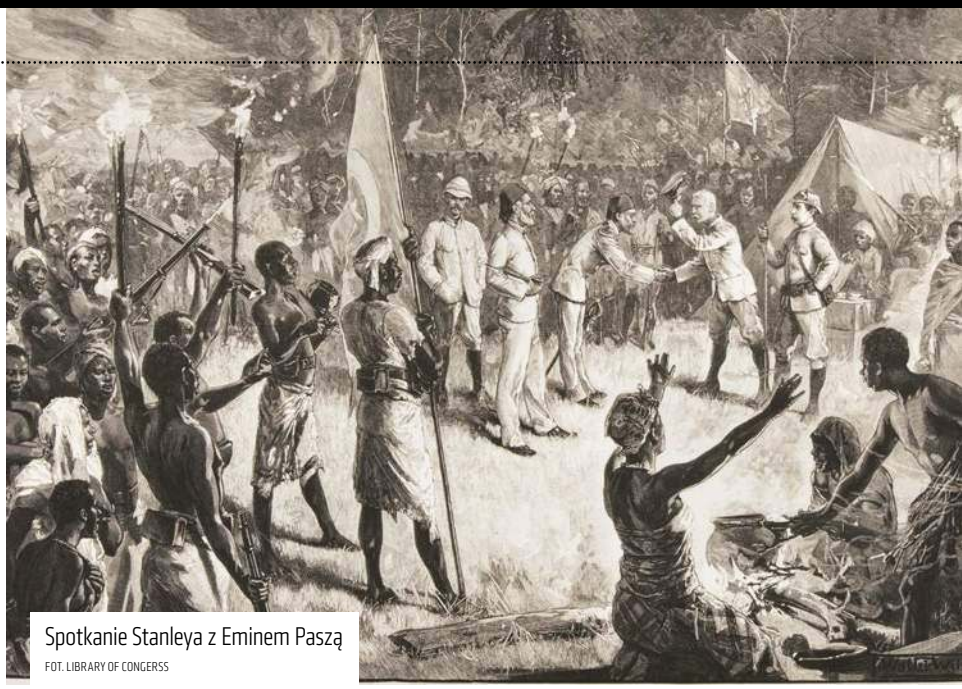

Spotkanie Stanleya z Eminem Paszą

FOT. LIBRARY OF CONGERSS

Fatalne przygotowanie, głód i choroby sprawiły, że mniej niż połowa grupy Stanleya dożyła chwili, w której wyprawa dotarła do Emina Paszy. Jakież musiało być jego zdziwienie, kiedy okazało się, że ekspedycja, która miała przyjść mu na ratunek, sama bardziej potrzebuje pomocy.

Emin Pasza

Późniejszy Emin Pasza urodził się jako Izaak w 1840 r. w Opolu w rodzinie żydowskiej. Kiedy miał dwa lata, zmarł jego ojciec, a matka wyszła za mąż drugi raz za będącego protestantem niemieckiego kupca, przez co dziecko zostało ochrzczone i otrzymało imię Eduard, a po swym ojczymie nazwisko Schnitzer. Od małego dużo się uczył, poznawał też nowe języki. Szczególnym jego zainteresowaniem cieszyły się nauki przyrodnicze, toteż ostatecznie wybrał studia medyczne, lecz uniwersytetu nie ukończył, gdyż jako student, nie mając odpowiednich pozwoleń, zaczął praktykować i został na tym przyłapany. W Prusach Eduard nie miał już szans na karierę medyka, dlatego postanowił wyjechać do Turcji, gdzie w mniejszym stopniu przejmowano się uniwersyteckimi dyplomami, jeżeli tylko lekarz był skuteczny.

Tym samym Eduard Schnitzer przez kolejną dekadę pełnił funkcję lekarza wojskowego w armii osmańskiej. W tym czasie zmienił wyznanie na islam i przyjął imię Mehmed. Przyszły Emin Pasza wiele podróżował. Do Afryki pierwszy raz trafił w 1875 r. Początkowo pracował jako lekarz w Chartumie, który wówczas był częścią znajdującego się pod wpływami Londynu Egiptu. Później przeniósł się na południe do Ekwatorii, gdzie jego kariera w administracji nabrała tempa. W 1878 r., decyzją słynnego Charlesa Gordona, został wybrany na gubernatora prowincji. Wtedy też zaczął oficjalnie posługiwać się mianem Emin Pasza.

Nowy zarządca okazał się dobrym gospodarzem. Interesował się stanem zdrowia miejscowych, budował dla nich szpitale. Za żonę pojął pochodzącą z Abisynii ciemnoskórą kobietę i był prawdziwym (a nie, jak wówczas często bywało, tylko deklaratywnym) przeciw-

eprasa.pl 45fa4c575c

nikiem niewolnictwa. Osobiście stawał na czele wypraw karnych i rozprawiał się z arabskimi handlarzami niewolników. Emin Pasza, oprócz pracy w administracji i jako lekarz, pielęgnował także swoje naukowe pasje. Wyprawiał się w dalekie podróże, zbierał nieznane Europejczykom okazy fauny i flory. Wiele z nich, wraz z informacjami, które zanotował, wysyłał na bieżąco do Wielkiej Brytanii, gdzie do dziś przechowywane są przez Muzeum Brytyjskie i Muzeum Historii Naturalnej. Emin Pasza był więc dobrze znany w Europie. Choć z pochodzenia Prusak, to kojarzył się wszystkim dużo bardziej z przygodą, Orientem i dzikimi ostępami afrykańskiego buszu.

Kiedy wybuchło powstanie Mahdiego, sytuacja Emina Paszy była trudna, lecz nie rozpaczliwa. Stoczył z mahdystami kilka potyczek, które okazały się dla niego zwycięskie. Z racji oddalenia Ekwatorii od Omdurmanu, który stanowił stolicę mahdystów, południowa prowincja nie była nadmiernie niepokojona, powstańców bowiem bardziej zajmowały walki na północy. Eminowi nie wiodło się w Ekwatorii źle. Problemem były jednak zablokowane szlaki zaopatrzeniowe wiodące do Egiptu, a brak broni, amunicji, a później także pożywienia byłby kłopotem, gdyby większe siły mahdystów zdecydowały się zająć południową prowincję. Z tego względu w 1886 r. Emin Pasza wysłał apel o pomoc do Wielkiej Brytanii, której proponował nawet aneksję Ekwatorii. Rząd w Londynie, z racji ówczesnych klęsk ponoszonych w walkach z mahdystami, nie zdecydował się na ten krok. Brytyjską opinię publiczną owładnęło jednak pragnienie niesienia pomocy oblężonemu Eminowi, który urósł niemal do rangi bohatera narodowego walczącego z islamskim powstaniem.

Losy wyprawy, która szła na ratunek tak znamienitej postaci, śledziły więc rzesze Europejczyków. Wszyscy oczekiwali na informacje, że Emin Pasza jest już w drodze na Stary Kontynent. Sęk w tym, że Emin nie miał za bardzo ochoty wracać.

Nie tak miało być

Przez ponad miesiąc Stanley szukał śladów Emina wokół Jeziora Alberta. Do spotkania doszło w końcu 29 stycznia 1888 r. „Gdy wreszcie dotarli do Emina, Stanley i jego ludzie byli głodni i wyczerpani. Ponieważ większość zapasów pozostała setki kilometrów za nimi […], odkrywca mógł zaoferować malutkiemu paszy jedynie trochę amunicji, listy od europejskich entuzjastów, kilka butelek szampana oraz nowy mundur galowy, który w dodatku okazał się być za duży" – pisał historyk Adam Hochschild. Jak odnotował później Stanley w jednej ze swych licznych relacji z podróży, Emin Pasza powitał ich natomiast w „białem, jak śnieg, ubraniu z drelichu bawełnianego, czystem, pięknie odprasowanem i dobrze leżącem" (cyt. za: H.M. Stanley, „W czeluściach Afryki", Warszawa 1891), a na jego twarzy nie widać było oznak żadnej choroby czy też zmartwienia.

Spotkanie uczczono szampanem przyniesionym przez wygłodzonych tragarzy Stanleya. Emin Pasza nie zamierzał jednak nigdzie wyjeżdżać. Interesowały go tylko amunicja i przetarcie bezpiecznego szlaku komunikacyjnego np. do Tanganiki, która była wówczas niemiecką kolonią. Stanley był załamany. Bez Emina nie miał po co wracać do Europy. Zwycięzcą byłby tylko wtedy, gdyby triumfalnie dostarczył słynnego paszę do Londynu. „Wolałby raczej zginąć niż wrócić beze mnie!" – notował Emin.

Ostatecznie, po miesiącu negocjacji, Emin Pasza zgodził się wyjechać z Ekwatorii. Było to spowodowane wzmożeniem mahdystów w rejonie prowincji, do których doszły już słuchy o europejskiej, uzbrojonej „po zęby" ekspedycji. Złej sławy zdążyła w tym czasie dorobić się także „tylna" grupa Stanleya, która dopiero po dłuższym czasie dotarła nad Jezioro Alberta. Wcześniej jej dowódca popadł w obłęd i wykazywał się takim okrucieństwem, że w końcu został zabity przez jednego z Afrykanów. Większość członków drugiej grupy chorowała, część zdezerterowała, a wielu już nie żyło. Ostatecznie w drogę powrotną ruszyła niespełna połowa spośród tych, którzy rok wcześniej zaciągnęli się na wyprawę.

Tym razem plan przewidywał marsz bezpośrednio ku wschodnim wybrzeżom Afryki. Na czele szli Stanley i Emin Pasza. Po kilku miesiącach wyprawa dotarła do Bagamoyo, niemieckiego portu w Tanganice, gdzie powitano przybyszów salwami z armat, a miejscowy administrator Hermann Wissmann, który zasłynął wkrótce brutalną pacyfikacją buntujących się Afrykanów, podjął ich na uroczystym przyjęciu.

Świetnie bawiący się Stanley nie przypuszczał, że na sam koniec opuści go szczęście. Gwarant pomyślnego zakończenia jego wyprawy, pijany Emin Pasza, wypadł podczas bankietu z okna na piętrze, sądząc, że to wyjście na balkon. Lekarze szybko się nim zajęli, lecz o długiej podróży do Europy nie mogło być wtedy mowy. Emin Pasza kurował się w Tanganice kolejne dwa miesiące.

Podłamany Stanley postanowił wrócić do Anglii sam. Ruszył na Zanzibar, a później do Kairu, gdzie napisał swoją relację z wyprawy pt. „W czeluściach Afryki". Wkrótce dotarły do niego informacje, że Emin Pasza, któremu „poświęcił" tyle miesięcy życia, nie zgłosił się z propozycją współpracy ani do króla Belgów, ani nawet do Brytyjczyków, lecz zdecydował się współpracować z Niemcami. Ta decyzja była symbolicznym zwieńczeniem źle przygotowanej, okrutnej, a momentami wręcz groteskowej ekspedycji Henry'ego Mortona Stanleya do Ekwatorii.

Brytyjską opinię publiczną owładnęło pragnienie niesienia pomocy oblężonemu Eminowi, który urósł niemal do rangi bohatera narodowego walczącego z islamskim powstaniem

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA LITERATURA:
Headley J.T., Johnson W.F., ***„Stanley's Adventures in the Wilds of Africa"****; Hochschild A.,* ***„Duch króla Leopolda"****; Jameson J.,* ***„The story of the rear column of the Emin Pasha relief expedition"****; Stanley H.M.,* ***„W czeluściach Afryki".***

eprasa.pl 45fa4c575c

Boeing B-47B
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/US AIR FORCE

1953–1983 / Błędne informacje, obsesyjne obawy

Widmo atomowej zagłady

Jakub Ostromęcki

I w Moskwie, i w Waszyngtonie wiedziano, że wojna może wybuchnąć z powodu błędnego odczytania intencji i działań drugiej strony. Jakie było prawdopodobieństwo nuklearnego ragnaröku w okresie zmagań USA i ZSRS?

Spójrzmy pesymistycznie. USA i ZSRS posiadały arsenał, który mógł zniszczyć cywilizację. Opierał się on na nuklearnej triadzie: pociskach międzykontynentalnych (ICBM), pociskach wystrzeliwanych z okrętów podwodnych (SLBM) i bombowcach strategicznych. Część amerykańskich bombowców znajdowała się cały czas w powietrzu, gotowa wejść natychmiast w bój, inne stały na końcu pasa startowego zatankowane, z bombami atomowymi na pokładzie. Sowieci, być może zdając sobie sprawę z niskiej kultury technicznej obsługi naziemnej, nie ćwiczyli na co dzień lotów z bombami nuklearnymi.

Triada to broń strategiczna. Oprócz tego w obu arsenałach znajdowały się głowice taktyczne o małej mocy: w pociskach powietrze-powietrze do niszczenia zgrupowań bombowców, w torpedach, rakietach ziemia-ziemia. Pilot myśliwca przechwytującego lub kapitan okrętu podwodnego nie potrzebowali skomponowanej procedury, aby odpalić taką broń, gdyby znaleźli się w sytuacji zagrożenia. Detonacja głowicy taktycznej nie mogła zniszczyć wielkiego miasta, ale reakcja przeciwnika wściekłego z powodu zniszczenia np. dywizji mogła być nieobliczalna.

Apokaliptyczne plany

Zarówno ZSRS, jak i USA miały szczegółowe plany przeprowadzenia nuklearnego uderzenia na przeciwnika. Mogło być to uderzenie odwetowe, siłami, które przetrwałyby napaść z zaskoczenia, albo wyprzedzające w sytuacji, gdy wiemy na pewno, że wróg zaraz na nas uderzy.

Sowieckie plany światowej wojny nuklearnej znamy jedynie w zarysie.

eprasa.pl 45fa4c575c

Generał Curtis Le May
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/US AIR FORCE

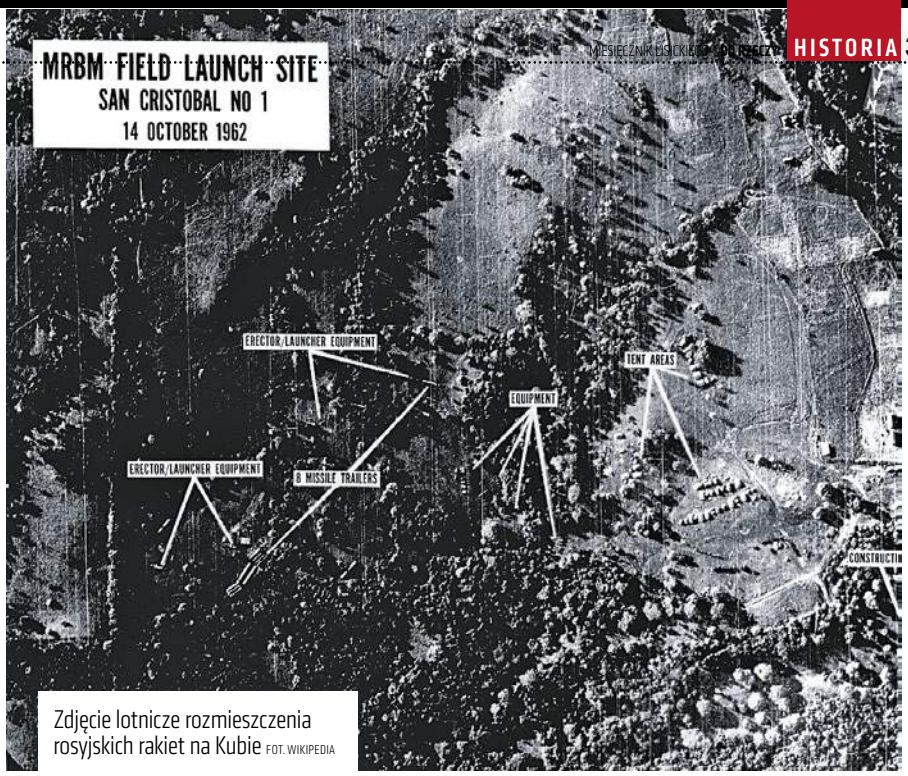

Zdjęcie lotnicze rozmieszczenia rosyjskich rakiet na Kubie FOT. WIKIPEDIA

W szczegóły obfituje natomiast plan dotyczący Europy oparty na „Teorii głębokich operacji" zwany „W 7 dni do rzeki Ren". Zakładał on, że Europę Zachodnią trzeba będzie potraktować taktyczną bronią nuklearną, rozstrzygającą bitwy, ale nie całą wojnę.

W USA kolejne plany wojny nuklearnej z Sowietami zwano SIOP – Single Integrated Operation Plan. Zawierały one listy celów w ZSRS: bazy ICBM-ów, bazy okrętów podwodnych, centra decyzyjne, kluczowe zakłady przemysłowe. Na ternie Moskwy celów znajdowało się aż kilkadziesiąt. „Dla pewności" każdy miał być niszczony kilkoma ładunkami nuklearnymi. Szacowano, że w wojnie nuklearnej po każdej stornie zginąć może ponad 100 mln ludzi.

Po obu stronach siedzieli generałowie przekonani, że wojnę nuklearną da się wygrać, jeśli zada się cios wyprzedzający. W Pentagonie byli to zwłaszcza Curtis LeMay i Thomas S. Power, kolejni dowódcy Strategic Air Command (Dowództwa Lotnictwa Strategicznego). Power wrzasnął kiedyś na cywilnego eksperta: „Jeśli wojnę przetrwa dwóch Amerykanów i jeden Rosjanin, to oznacza, że wygraliśmy!". Po stronie sowieckiej marszałek Budionny zaraz na początku konfrontacji z USA grzmiał, że byłych sojuszników „trzeba było zaraz po zajęciu Berlina ciąć szablą od głowy do dupy". W Moskwie gorącymi propagatorami uderzania wyprzedzającego byli marszałkowie Andriej Greczko i Pawieł Rotmistrow. Dla jastrzębi po obu stronach broń nuklearna była takim samym narzędziem jak czołg czy haubica.

Na szczycie NATO w Lizbonie w 1952 r. Amerykanie rzekli Europejczykom, że do zrównoważenia sowieckiej potęgi konwencjonalnej potrzeba ok. 45 w pełni ukompletowanych dywizji i drugie tyle w rezerwie. Rozległ się wówczas rwetes. Taki wydatek równał się cięciom socjalnym i spowolnieniu gospodarczemu, a to prowadziło wprost do wzrostu poparcia dla partii komunistycznych! Co więcej, Francja, która miałaby wystawić najwięcej dywizji, zajęta była walką z komunistami w Indochinach. Dla Europejczyków bardziej od liczb dywizji liczyło się to, aby na kontynencie zawsze byli z nimi Amerykanie. Stanęło więc na tym, że zamiast tysiącami czołgów Europa Zachodnia bronić się będzie amerykańskim parasolem atomowym. Groźba nuklearnej odpowiedzi NATO studziła głowy sowieckich planistów. Jednak gdyby Amerykanie zaczęli niszczyć nacierające sowieckie dywizje taktyczną bronią atomową o małej mocy, to Sowieci mogli podbić stawkę, odpowiadając bronią strategiczną. Wojna w Europie łatwo mogła przerodzić się w światową.

Błędna interpretacja

I w Moskwie, i Waszyngtonie wiedziano, że wojna może wybuchnąć z powodu błędnego odczytania intencji i działań drugiej strony. Obie strony zakładały, że przeciwnik z pewnością coś knuje i trzeba go uprzedzić. Amerykanie pamiętali zaskoczenie w Pearl Harbor. Włodarze Kremla panicznie bali się powtórki roku 1941 r., gdy zostali kompletnie zaskoczeni przez mniej liczny Wehrmacht. „Nigdy więcej Barbarossy" – jak modlitwę powtarzali to sowieccy marszałkowie. Taka postawa mogła przerodzić się w paranoję.

Katastrofalne mogły być błędy własnego systemu ostrzegania. Kilka razy Amerykanom i Sowietom dość strasznego figla spłatała natura. W 1960 r. amerykańska stacja wczesnego ostrzegania w Thule na Grenlandii zakomunikowała: nadlatują sowieckie rakiety! W dowództwie NORAD (Dowództwo Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej i Kosmicznej) w górze Cheyenne włożono kij w mrowisko. Pozostawało kilkanaście minut na zadanie uderzenia odwetowego. Szybko okazało się, że grenlandzki radar wykrył wschód księżyca nad Norwegią. 25 października 1962 r., podczas kryzysu kubańskiego, na ogrodzenie jednej z baz sił powietrznych na północy USA coś zaczęło się wspinać. Strażnik strzelił w kierunku domniemanego sabotażysty, ale jego zwierzchnicy pomylili procedury alarmowe, podrywając cały dywizjon myśliwców przechwytujących uzbrojonych w broń atomową. W ostatniej chwili maszyny zostały zatrzymane na pasie startowym. Sabotażysty nie złapano, ale po śladach stwierdzono, że był nim ciekawski niedźwiedź. W 1967 r. obsługa radarów umieszczonych na Alasce, Grenlandii i Wielkiej Brytanii stwierdziła,

eprasa.pl 45fa4c575c

że Sowieci próbują zakłócić ich pracę. Bombowce B-52 szykowano już do zadania uderzenia wyprzedzającego, gdy po kilku minutach wykryto, że zakłócenia spowodowane są burzą słoneczną.

W 1983 r. sowiecki system wczesnego ostrzegania Oko, umieszony w jednej z baz pod Moskwą, ostrzegł nagle: „Amerykański pocisk międzykontynentalny zmierza w kierunku Związku Radzieckiego!". Zaraz potem system ogłosił wystrzelenie czterech kolejnych rakiet. Załoga obiektu zaczęła panikować. Wówczas dowódca zmiany, ppłk Stanisław Pietrow, w kilku żołnierskich słowach kazał żołnierzom uspokoić się i zaczął analizować sytuację. Odpalenie kilku rakiet byłoby z punktu widzenia USA kompletnie bez sensu. Naraziliby się przecież na niszczący atak odwetowy. Pietrow zamiast dzwonić na Kreml, spojrzał na radary – te nic nie wykryły. Okazało się, że satelity wzięły promienie słoneczne odbijające się od wysokich chmur za smugi amerykańskich rakiet.

Dochodziło też do spektakularnych awarii. W 1979 r. Zbigniew Brzeziński, wówczas doradca prezydenta Cartera do spraw bezpieczeństwa, został obudzony w środku nocy. NORAD poinformowało go, że na USA leci 250 rakiet sowieckich. Zaraz potem drugi telefon: leciało już 2,5 tys. rakiet! Prezydent Carter miałby teraz siedem minut na wydanie rozkazu odwetu. Radary lub satelity nie wykryły żadnego ataku. Okazało się, że w jednym centrów NORAD włączyła się ćwiczebna taśma magnetofonowa symulująca sowiecki atak.

Kryzysy

Jak owe prognozy i plany sprawdzały się w praktyce? Podczas kryzysu berlińskiego w latach 1948–1949 i wojny koreańskiej Amerykanie mieli gigantyczną przewagę nad Sowietami w broni nuklearnej. Nad Wisłą można było wesoło, choć konspiracyjnie zaśpiewać: „Jedna bomba atomowa i wrócimy wnet do Lwowa, potem druga równie silna i wrócimy też do Wilna". Niekoniecznie. W latach 40. nuklearny atak na Sowiety wcale nie musiał spowodować ich całkowitego upadku. Amerykanie wciąż mieli za mało bombowców B-29 przystosowanych do

Marszałek Andriej Greczko

FOT. WIKIPEDIA

przenoszenia broni atomowej, a Sowieci, tak jak podczas drugiej wojny światowej, wykorzystaliby głębię strategiczną swojego kraju, aby przetrwać uderzanie. Bomba atomowa mogła powstrzymać Stalina, nie mogła go jednak zniszczyć. W 1953 r. Amerykanie mieli 1169 głowic przeciwko sowieckim 120. Bombowiec amerykański mógł dotrzeć nad ZSRS i wrócić, sowiecki absolutnie nie mógłby powtórzyć podobnego lotu do USA. Dlaczego więc USA nie użyły broni nuklearnej w Korei, podczas gdy do wojny włączyły się masy chińskich komunistów, spychając Amerykanów i południowych Koreańczyków z powrotem na 38. równoleżnik? Byłoby to marnotrawienie sił. Wykorzystano by cenny arsenał, zrzucając zaawansowane technicznie bomby na zgrupowania licho ubranej i licho wyposażonej piechoty, zabijając kilkaset tysięcy chińskich żołnierzy więcej. Dla chińskich komunistów nie było jednak strat nie do zaakceptowania, a w przyszłej konfrontacji z Sowietami Amerykanie zostaliby bez asa w rękawie.

Na jesieni 1962 r. Sowieci zdołali rozmieścić na Kubie rakiety R-12 mogące dolecieć do Waszyngtonu. Do potężniejszych R-14 nie zdołali dostarczyć głowic. Na prezydenta Kennedy'ego zaczęli naciskać wtedy jastrzębie na czele z legendarnym LeMayem. „Trzeba jak najszybciej zbombardować wyrzutnie na Kubie i dokonać inwazji wyspy!". USA wciąż miały gigantyczną przewagę w liczbie bombowców i rakiet nad Sowietami. Pierwsza wersja przemówienia prezydenta do rodaków była utrzymana w bardzo wojowniczym duchu. Na Florydę przemieszczono dywizję pancerną i marines, które gotowały się do desantu na Kubę. Myśliwce przechwytujące F-102 i F-106 wyposażone w pociski nuklearne przerzucono na północ, skąd nadlecieć miały sowieckie bombowce. Prezydent po raz pierwszy i ostatni w historii USA kazał ogłosić stan gotowości Defcon 2. Stopień Defcon 1 oznaczał nieuchronną groźbę wojny atomowej. Drapieżny Power wbrew procedurom nadał wiadomość otwartym tekstem. Chciał, by Sowieci go usłyszeli.

Kennedy wiedział jednak, że nawet jeśli cofnie Kubę i dużą część ZSRS do epoki przedprzemysłowej, to i tak jakaś część sowieckiego arsenału przetrwa atak, zabijając kilka milionów Amerykanów. To już nie była pierwsza połowa lat 50. Sowieci posiadali własne ICBM. Kennedy nie był gotowy zapłacić takiej ceny. Na apokalipsę nie był też gotowy Chruszczow, mimo że jego brodaty latynoski wasal błagał, aby amerykańską bazę w Guantanamo potraktować nuklearnymi rakietami taktycznymi.

Chruszczow cofnął więc swoje statki zaopatrzeniowe zmierzające do Kuby mające dostarczyć m.in. brakujące głowice do R-14. Wbrew utartym opowieściom nie doszło wówczas do konfrontacji okrętów nawodnych obu stron. Bardzo gorąco zrobiło się jednak w powietrzu. Pilot amerykańskiego samolotu szpiegowskiego U-2 zmylony przez zorzę polarną zabłąkał się nad Czukotkę. Sowieci wysłali przeciwko niemu swoje myśliwce przechwytujące, które jednak nie zdołały wznieść się na pułap ultralekkiego szpiega. Z Alaski wystartowały wtedy amerykańskie myśliwce – miały pod skrzydłami pociski nuklearne. Do spotkania było na szczęście daleko, a U-2 zdołał czmychnąć pogoni.

O ile rozkazy dochodziły do dowódców rakiet ziemia-ziemia czy do samolotów natychmiastowo, o tyle dowódca okrętu podwodnego odbierał taką informację z opóźnieniem. Istniało ryzyko, że załoga samodzielnie zacznie interpretować sygnały czy szczątkowe informacje i samopas podejmie decyzję o odpaleniu swoich pocisków. Czarny scenariusz niemal się ziścił. Sowieci wysłali na Kubę cztery okręty podwodne z torpedami atomowymi. Natknęły się one oczywiście na amerykańską blokadę. Były to maszyny na ropę i do tego marnej jakości, tak więc dwa z nich zmuszono do wynurzenia się, jeden umknął, ale kapitan czwartego okrętu, osaczony pod wodą przez Amerykanów, w pewnym momencie nie wytrzymał

eprasa.pl 45fa4c575c

i rzekł: „Może wojna już się tam zaczęła, a my tutaj robimy nasze fikołki. Zaraz ich wysadzimy! Zginiemy, ale wszystkich ich zatopimy – nie przyniesiemy wstydu naszej flocie". Na szczęście na pokładzie znajdował się szef sztabu 69. Brygady Okrętów Podwodnych, który powstrzymał napalonego kapitana. Kryzys – jak wiemy – zakończył się wycofaniem całego jądrowego arsenału z Kuby.

W czasie wojny Yom Kippur w 1973 r. floty amerykańska i sowiecka spotkały się we wschodniej części Morza Śródziemnego. Obie miały w składzie okręty podwodne z pociskami SLBM. Była to największa konfrontacja flot mocarstw w całej zimnej wojnie. Sowieci nie posiadali lotniskowca – zamierzali więc zniszczyć wroga za pomocą krążowników rakietowych, posiadali też lotnictwo w kilku krajach arabskich. Amerykanie, przeczuwając to, cały czas utrzymywali część swoich samolotów w powietrzu. Prezydent Nixon ogłosił stan gotowości Defcon 3. Obie floty rozeszły się, gdy okazało się, że Izrael nie będzie upokarzał Arabów zdobywaniem Kairu lub Damaszku. Mogłoby to bowiem spowodować, że Izraelczycy biliby się w Egipcie i Syrii z sowieckimi spadochroniarzami, a na to z pewności zareagowaliby Amerykanie.

Na jesieni 1983 r. przez kilka dni dowódcy kilku wielkich jednostek NATO – głównie lotnictwa i broni rakietowej – siedzieli w podziemnych punktach dowodzenia używanych tylko w sytuacji zagrożenia wojną i testowali łączność, procedury, kodowanie wiadomości. Były to ćwiczenia „Able Archer".

Część badaczy twierdziła jeszcze kilkanaście lat temu, że doprowadziło to Kreml do paranoicznego przekonania, że

Rakieta SS-20

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/CHRIS O

Rakieta Pershing II

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/US ARMY

Amerykanie pod płaszczykiem ćwiczeń szykują się do niespodziewanego nuklearnego uderzenia na ZSRS, i świat stanął wówczas na krawędzi wojny nuklearnej. Jest to opinia przesadzona. Takiego jednak poruszenia, jak na jesieni 1983 r., nie było w sowieckich wojskach rakietowych i lotnictwie od czasów kubańskiego kryzysu rakietowego w 1962 r. do samego końca zimnej wojny.

Sowieci na wieść o ćwiczeniach ogłosili stan podwyższonej gotowości w części wojsk rakietowych i lotnictwie. W sowieckiej Białorusi i Ukrainie ciągniki z rakietami SS-20 wyruszyły z miejsc stałej dyslokacji do wcześniej wybranych kryjówek w lasach. W stan gotowości postawione zostały też jednostki rakiet dalekiego zasięgu SS-19.

W NRD, Czechosłowacji i Polsce migi-23 czekały już na pasach startowych gotowe do przechwycenia manewrujących, lecących na małej wysokości natowskich gryphonów. W stan gotowości postawiono 4. armię lotniczą. Su-24 w bazach w Krzywej, Szprotawie i Żaganiu szykowały się do ataku na zachodnie lotniska, mosty, węzły komunikacyjne. Zawieszono wszystkie loty ćwiczebne i patrolowe, aby mieć w gotowości jak najwięcej maszyn. Pod Moskwą Ogarkow zszedł do podziemnego schronu dowodzenia wyposażonego we wszystkie instalacje potrzebne do życia i nie wychodził z niego przez kilka dni. Współcześni badacze zagadnienia (Gordon Barrass, Simon Miles) twierdzą, że nuklearna gorączka roku 1983 w ZSRS i Układzie Warszawskim służyła nie tyle przygotowaniom do odparcia nuklearnego ataku na USA, ile wywarciu presji na Zachód, aby nie instalował rakiet Pershing i Gryphon. 11 listopada ćwiczenia „Able Archer" się zakończyły, a 14 listopada Sowieci odwołali alarm w swoich jednostkach. Był to ostatni raz, gdy zimna wojna mogła stać się gorąca.

Wersja optymistyczna

Świat wcale nie musiał być aż tak blisko zagłady. Trzeba bowiem odróżnić plany od zamiarów. Można przydzielać jednostkom cele, wyznaczać rubieże, terminy, produkować broń i tysiące procedur, ale nie znaczy to, że samemu zamierza się zaatakować.

W głowach amerykańskich oraz sowieckich polityków i wojskowych paliło się ostrzegawcze światełko z napisem „MAD". Owa „Gwarancja Obustronnego Zniszczenia" (ang. Mutual Assured Destruction) mówi, że nawet jeśli jedna strona jako pierwsza odpali swój nuklearny arsenał i zniszczy większość silosów z wrogimi rakietami, to po stronie przeciwnika pozostanie wystarczająco dużo głowic w bombowcach czy na łodziach podwodnych, aby zabić dziesiątki milionów obywateli państwa napastnika. To jeszcze nic. Sowieckie i amerykańskie radary miały tak wielki zasięg, że potrafiły wykryć start rakiet przeciwnika. To powodowałoby odpalenie rakiet państwa zaatakowanego. W takiej sytuacji państwo zadające pierwszy cios było zwycięzcą przez ok…10 minut.

Sowieccy kacykowie obejmujący czerwony tron po śmierci Stalina mogli utopić Węgry we krwi, wysyłać dysydentów do łagrów i psychuszek, słać czołgi na głodnych robotników, łupić afgańskich pastuchów, ale nie byli psychopatami. Zdawali sobie sprawę z ryzyka i potwornych skutków wojny nuklearnej, tak samo jak Amerykanie. Nikołaj Ogarkow, szef sztabu ZSRS, pytany o to, czy wierzy we własne plany ataku na zachód, odpowiedział skrycie w rozmowie z Olegiem Griniewskim, doradcą kolejnych genseków: „Osobiście nie wierzę. Ale muszę się do nich przygotować bez względu na to, jaką formę przybiorą". Publicznie mówił w 1985 r., że „tylko ktoś całkowicie pozbawiony zdrowego rozsądku mógłby starać się przedstawić argumenty i wskazywać cele mające usprawiedliwić rozpętanie wojny światowej i tym samym ryzykowanie całkowitego unicestwienia rodzaju ludzkiego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45fa4c575c

Ludwig Erhard
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BUNDESARCHIV

Lata 50. XX w. / Niemcy wracają do gry

„Cud" na sterydach

Jakub Woziński

Powojenny niemiecki „cud gospodarczy" to w znacznej mierze mit. Niemcy wcale nie podnosili się z totalnych zgliszczy, nie zdenazyfikowali gospodarki i nie zbudowali swojej potęgi, bazując jedynie na własnych siłach

Współczesne analizy tego, co wydarzyło się w Republice Federalnej Niemiec po zakończeniu wojny i powierzeniu władzy nad gospodarką grupie polityków z Ludwigiem Erhardem na czele, skupiają się zazwyczaj na trzech prostych przyczynach późniejszego boomu: deregulacji, reformie podatków i wprowadzeniu wolnego handlu. Zgodnie z tą narracją pracowici z natury i dobrze wykwalifikowani Niemcy zamiast marnować czas na nazistowską ideologię, mieli, żyjąc w skromnych warunkach, bez socjalnych uposażeń, zapracować na jedną z najbardziej oszałamiających historii gospodarczego sukcesu w dziejach.

Pomimo przegranej wojny RFN została zdecydowanym zwycięzcą rywalizacji ekonomicznej na kontynencie i tym samym zdołała w kolejnych dekadach stopniowo zdominować politykę europejską. Choć wielu osobom taki obrót spraw wydaje się niesprawiedliwy, to niemieckie państwo jako swoje alibi przedstawia zawsze symbolizowaną przez procesy norymberskie akcję denazyfikacyjną oraz właśnie powojenny „Wirtschaftswunder". Prowadzone przez wielu historyków badania ukazują jednak domniemany cud w coraz bardziej przyrodzonej aurze. Skrywane długo lub przemilczane fakty pozwalają dostrzec, jak bardzo pochopnie świat uwierzył w opowieść o wolnorynkowym nawróceniu niemieckiego narodu.

Eksnazista uzdrawia markę

Dekonstrukcję mitu o gospodarczym cudzie wypada zacząć od samego Ludwi-

eprasa.pl 45fa4c575c

ga Erharda, który w styczniu 1948 r. jako dyrektor Rady Ekonomicznej Bizonii (połączone strefy okupacyjne USA i Wielkiej Brytanii) dokonał skutecznej reformy monetarnej wprowadzającej nową markę niemiecką. Wkrótce miała się ona stać najsilniejszą walutą całej Europy. Obok Konrada Adenauera to właśnie jego wskazuje się najczęściej jako głównego architekta powojennych Niemiec. Wbrew woli aliantów, którzy wprowadzili po wojnie mnóstwo ograniczeń w handlu, sztywne ceny oraz system kartek, Erhard zdecydował się znieść większość tego rodzaju zarządzeń i pozwolił, aby gospodarka regulowała się w większym niż do tej pory stopniu sama. Sprawując w latach 1949–1963 funkcję ministra gospodarki, doprowadził ostatecznie do tego, że Niemcy stały się trzecią największą gospodarką świata z potężnym przemysłem.

Przez wiele lat Ludwig Erhard potrafił skutecznie maskować swoją prawdziwą przeszłość i przedstawiał siebie samego jako ofiarę III Rzeszy, której utrudniono ze względu na głoszone poglądy karierę. Późniejszy kanclerz twierdził nawet, że przynależał do ruchu oporu przeciwko nazistom. Dopiero po jego śmierci wielu badaczy, sięgając głębiej do archiwów, udowodniło, że było zupełnie inaczej. W 2019 r. w dzienniku „Tageszeitung" ukazał się materiał Ulrike Hermann, który wywołał niemały szok, gdyż ukazywał Erharda jako zaangażowanego nazistę oraz karierowicza czerpiącego całymi garściami z okazji tworzonych przez zbrodniczy system.

Zaledwie kilka miesięcy po Anschlussie Austrii Ludwig Erhard przybył do Wiednia ze specjalnym odczytem. W ten sposób dostał angaż osobistego doradcy komisarza ds. zjednoczenia Austrii z Rzeszą Josefa Bürckela, który osobiście dowodził akcją wypędzenia Żydów z całej Austrii. Późniejszy autor „cudu gospodarczego" sporządził dla wiedeńskiego gauleitera ekspertyzy dotyczące mienia zrabowanego austriackim Żydom. W ten sposób ekonomista dorobił się Wojennego Krzyża Zasługi drugiej klasy.

Uzyskane w Austrii doświadczenie Erhard wykorzystał później w Polsce, gdzie od 1940 r. przeprowadzał badania na rzecz nazistowskiego Głównego Urzędu Powierniczego. Masowe mordy dokonane przez Niemców na Polakach w 1939 r. skwitował jako „ewakuację tak zwanej polskiej inteligencji". Późniejszy lider CDU bardzo często stosował w dokumentach rasistowskie komentarze pod adresem Polaków, którym polecał wypłacać niższe wynagrodzenia.

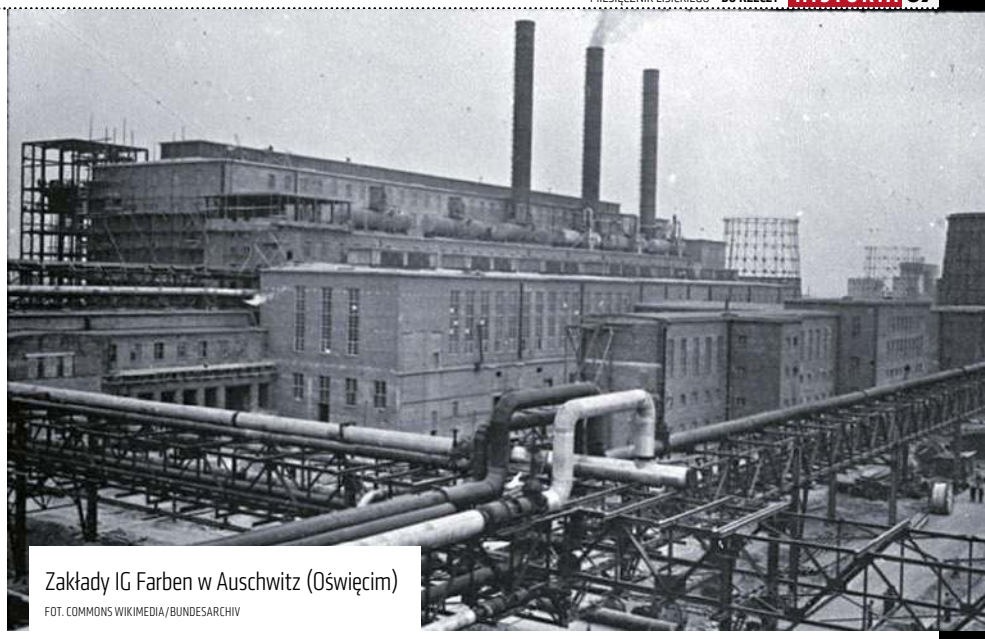

Zakłady IG Farben w Auschwitz (Oświęcim)

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BUNDESARCHIV

Późniejszą fałszywą legendę na temat rzekomej przynależności do ruchu oporu wobec nazizmu Erhard stworzył, opierając się na współpracy ze środowiskiem, które po wielkich porażkach na froncie wschodnim podjęło próbę zabicia Hitlera. Po tym, jak 20 lipca 1944 r. Claus von Stauffenberg przeprowadził w Wilczym Szańcu nieudany zamach na Führera, Ludwig Erhard zbiegł nawet na wieś w obawie przed aresztowaniem, ale najwidoczniej nikt nie uznał go za zdrajcę.

Specjalista od transformacji

Doświadczenie Ludwiga Erharda w zakresie tworzenia wielkich gospodarczych planów dla okupowanych terytoriów uczyniło z niego osobę szczególnie rozchwytywaną w środowiskach nazistowskich poszukujących, pod wpływem zarysowującej się coraz wyraźniej porażki, nowych koncepcji na urządzenie Niemiec po wojnie. Już w 1941 r. szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy Reinhard Heydrich polecił późniejszemu dowódcy Einsatzgruppe D Ottonowi Ohlendorfowi zająć się opracowaniem ogólnego planu dla powojennej niemieckiej gospodarki. Ohlendorf był w latach 1941–1942 zajęty mordowaniem ok. 90 tys. osób na Krymie i Kaukazie (głównie Żydów), lecz w 1943 r. został kierownikiem wydziału Ogólnej Polityki Ekonomicznej w Ministerstwie Gospodarki Rzeszy. Współpracownikiem zbrodniarza z SS został wówczas sam Ludwig Erhard, który już wtedy sformułował pomysł przestawienia gospodarki z produkcji uzbrojenia na tworzenie dóbr konsumpcyjnych. Wielka baza przemysłowa III Rzeszy miała w świetle analiz tworzonych przez przyszłego ministra gospodarki zalać świat wszelkiego rodzaju towarami użytkowymi – i tak też się stało.

Po wojnie Erhard skrył się w rodzinnym Fürth koło Norymbergii, przyglądając się rozwojowi sytuacji. Nazistom nie dane było negocjować nowego sposobu urządzenia Niemiec, ale dość szybko stało się jasne, że poza osądzeniem niewielkiej liczby osób w Norymberdze alianci nie zamierzają przeprowadzać żadnych antynazistowskich czystek z prawdziwego zdarzenia. Naziści zaczęli wychodzić z ukrycia i w ten sposób Ludwig Erhard, przedstawiając się jako rzekomy członek ruchu oporu, zdobył szybko zaufanie władz okupacyjnych. Jego ważnym atutem było to, że nie opowiadał się za popularnym w tym czasie „chrześcijańskim socjalizmem", tylko za liberalizmem, co w oczach Amerykanów było zdecydowanie lepszą opcją w kontekście zagrożenia ze strony komunizmu. Okupantom

eprasa.pl 45fa4c575c

spodobała się także koncepcja przestawienia przemysłu na produkcję skrojoną pod konsumpcję, ponieważ Niemcy miały zostać zdemilitaryzowane.

Błyskawiczna kariera nazistowskiego ekonomisty, który od 1945 r. błyszczał już jako „chrześcijański demokrata", w sposób szczególny ukazuje cały fałsz stojący za mitem cudu gospodarczego, ponieważ decyzje Erharda miały ogromny wpływ na to, że znajdujący się w stanie śmiertelnego zagrożenia przymusową deindustrializacją niemiecki przemysł błyskawicznie odżył. Pierwotne plany Amerykanów zakładały nawet całkowite przekształcenie Zagłębia Ruhry w strefę pozbawioną jakiegokolwiek przemysłu. Zgodnie z planem Morgenthaua mieszkańcy całego regionu mieli być skłonieni do przeniesienia się w inne regiony Niemiec, a majątek trwały należący do niemieckiego przemysłu miał zostać przekazany krajom najbardziej poszkodowanym w czasie wojny.

Plany te nie zostały nigdy wcielone w życie m.in. dlatego, że robiący od jesieni 1945 r. w strukturach powojennej administracji oszałamiającą karierę Ludwig Erhard zdołał przekonać aliantów, żeby tego nie robili. 30 września 1946 r. napisał specjalny raport odradzający likwidację producenta aut BMW, przekonując, że jako firma prywatna musiała podporządkować się rządzącym. Gdy zaś w grudniu tego samego roku Amerykanie zaproponowali uchwalenie przepisów antykartelowych przeciwdziałających potędze wielkich firm, ekonomista gwałtownie zaprotestował, przekonując wbrew faktom, że wielki niemiecki biznes nie był odpowiedzialny za nazizm, lecz stał się jego ofiarą. Władze okupacyjne w dziwny sposób nie połączyły ze sobą tej apologii biznesu z piastowaną przez Erharda przed wojną funkcją. A przecież jako dyrektor w berlińskim Instytucie Monitorowania Ekonomicznego Niemieckich Wyrobów Gotowych późniejszy kanclerz RFN zajmował się właśnie badaniami pomagającymi wielkiemu przemysłowi m.in. we wprowadzaniu zmów cenowych. Zatrudniający Erharda instytut był jedną z najważniejszych organizacji reprezentujących interesy przemysłowców. Mieli oni sporo szczęścia, że po zakończonej wojnie ich człowiek stanął u sterów całej gospodarki.

Wolnorynkowy ideał

Odpowiednią otoczkę dla działalności Erharda stworzyło także utworzone w 1947 r. Mont Pelerin Society, zrzeszające wielu wolnorynkowych ekonomistów i polityków z całego świata. W jego skład wchodzili również Erhard oraz jego doradca z Uniwersytetu we Freiburgu, Walter Eucken. Odgrywający w ramach prestiżowego zrzeszenia bodajże najważniejszą rolę Fryderyk von Hayek przekonywał nawet, że jego własne ideały liberalnej gospodarki i ustroju spełnia najbardziej Republika Federalna Niemiec pod ekonomicznym zarządem Erharda.

Fakty pokazują jednak, że powojenne Niemcy bardziej niż ideały Hayeka zrealizowały marzenia wielkiego biznesu o miękkim lądowaniu w nowej rzeczywistości. Otoczka ordoliberalnego programu uzdrowienia niemieckiej gospodarki odwróciła uwagę od popełnionych zbrodni oraz umożliwiła przerzucenie odpowiedzialności na aparat biurokratyczny nazistowskiego państwa.

Wiele powodów, aby wzmocnić fałszywą narrację niemieckiego cudu gospodarczego, mieli także sami Amerykanie. W USA część środowisk żądała deindustrializacji Niemiec, a wyrazem ich dążeń był wspomniany już plan Morgenthaua. Znaczna część establishmentu miała jednak inne plany. Gdy w Wersalu nakazano Niemcom wypłatę ogromnych reparacji, a Republika Weimarska nie zdołała ich udźwignąć, pragnący sobie powetować zaistniałe straty amerykański kapitał zaangażował się mocno w niemiecką gospodarkę, m.in. przejmując udziały w wielu firmach. Niemałą część z nawiązanych w ten sposób więzów nie zerwało nawet dojście Hitlera do władzy (co pokazały choćby losy odpowiedzialnej za produkcję cyklonu B oraz posiadającej swoje oddziały w obozach koncentracyjnej firmy IG Farben, w której amerykańscy inwestorzy mieli znaczny pakiet akcji).

Dla amerykańskich środowisk finansowych ważne było to, aby Niemcy spłacili dług narzucony zarówno po pierwszej, jak i po drugiej wojnie światowej. Z tego właśnie powodu tak ważną rolę w strukturach administracyjnych pełniły takie osoby jak choćby John McCloy – wieloletni prawnik w kancelarii Cravath, Henderson & de Gersdorf, obsługującej m.in. Standard Oil i Chase National Bank. Pełniąc funkcję wysokiego komisarza w RFN, McCloy wstawił się m.in. za Alfredem Kruppem i nakazał wykreślić z listy oskarżonych wielu nazistów. W czasie jego urzędowania wspomniany już zbrodniczy IG Farben został podzielony na cztery części, które funkcjonowały odtąd pod zmienioną nazwą.

Przykładów nadzwyczaj delikatnego potraktowania uwikłanych po uszy

Volkswagen Käfer, symbol „cudu" gospodarczego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MEWTU

eprasa.pl 45fa4c575c

Banknot stumarkowy z lat 1951–1965

FOT. WIKIPEDIA

w nazistowski reżim spółek można by przedstawić znacznie więcej. Wpływowi przedstawiciele bankierskiej dynastii Warburgów z Hamburga (jej członek, Paul Warburg, był jednym z założycieli amerykańskiej Rezerwy Federalnej) zdołali nawet zaaranżować dostawy amerykańskiego węgla do fabryk Volkswagena, który przecież rozpoczął swoją działalność jako nazistowska marka dla prawdziwych Aryjczyków. Z kolei Bertelsmann – najważniejsza firma poligraficzna realizująca ogromne zamówienia druków propagandowych dla Wehrmachtu – uchodził przez lata za firmę niezaangażowaną w narodowy socjalizm. Dopiero w 1998 r. historyk Hersch Fischler opublikował na łamach szwajcarskiego pisma „Weltwoche" artykuł, który zmusił władze spółki do powołania specjalnej komisji. Liczący 794 stron raport oprócz niezwykle zażyłej relacji władz firmy z hitlerowcami ukazał przede wszystkim uderzającą nieporadność powojennej administracji w zakresie ustalania faktycznego zakresu zaangażowania koncernu w nazizm.

Finansowe korzyści Amerykanów

Przyzwalając na „Wirtschaftswunder", Amerykanie mieli także osobny interes związany z ekspansją swoich banków i korporacji. Przekazywane w ramach planu Marshalla dolary musiały być w znacznej mierze przeznaczane na zakupy u amerykańskich dostawców. W ramach nowego ładu finansowego ustalonego na konferencji w Bretton Woods amerykańska waluta stawała się nowym środkiem międzynarodowych rozliczeń, co skrzętnie wykorzystały amerykańskie banki komercyjne. Chase National Bank był pierwszym zagranicznym bankiem, który po pokonaniu Hitlera otworzył swój oddział na terytorium Niemiec.

Niejako w dowód wdzięczności za uratowanie przed deindustrializacją i poniesieniem pełni odpowiedzialności za wojenny koszmar Niemcy stały się później najważniejszym europejskim „policjantem" monetarnego porządku premiującego USA. Krnąbrna Francja próbowała wiele razy skruszyć system z Bretton Woods, lecz frankfurcki Bundesbank wykazywał się zawsze lojalnością.

Prawdziwym motorem napędowym dla niemieckiej gospodarki okazała się jednak podpisana 27 lutego 1953 r. w Londynie tzw. umowa w sprawie długów niemieckich wprowadzająca zasadę, że spłata długu nie może przekraczać 3 proc. wartości niemieckiego eksportu. Na niemiecki „cud gospodarczy" zaczął tym samym bardzo mocno pracować amerykański kapitał, zainteresowany jak najszybszym odzyskaniem sum zapisanych mu jeszcze w Wersalu. Na zakup artykułów z RFN zapanowała moda, która umożliwiła niemieckim producentom uzyskanie sporej przewagi nad innymi graczami. Niemieccy przemysłowcy uzyskali ogromny impuls do rozwoju, który został niejako utrwalony w nowej, zreformowanej przez Erharda marce niemieckiej. Stale rosnący eksport z RFN przełożył się na potężne nadwyżki w bilansie handlowym i tym samym na niezwykle silną pozycję waluty RFN na światowych rynkach.

Omawiając wspomagany „cud gospodarczy", nie sposób nie wspomnieć także o tym, że za sprawą katastrofalnego dla całej Europy Środkowo-Wschodniej rezultatu wojny Niemcy stracili ogromną konkurencję w postaci takich krajów jak Polska, Czechy czy Węgry. Podporządkowane komunistom kraje przestały na dobrą sprawę liczyć się w technologicznym wyścigu, na dodatek oddając później Niemcom wielomilionową rzeszę emigrantów zarobkowych.

Cud niepamięci

Niemiecki „cud gospodarczy" po dokładnym przeanalizowaniu nie okazuje się wcale żadnym cudem ani tym bardziej sztandarowym przykładem wcielenia w życie jakkolwiek pojętych wolnorynkowych reform. Sednem przemian, które dokonały się po 1945 r. w niemieckiej gospodarce, była zbiorowa absolucja udzielona zaangażowanemu w nazizm przemysłowi. Nie było nic cudownego w tym, że gospodarka kraju, który przez kilka lat żył z masowego rabunku i prowadził wyniszczające działania głównie poza swoimi granicami, zdołała tak szybko się podźwignąć. Szczególnie że okupanci mieli bardzo wiele powodów, aby kierując się własnym interesem finansowym, dopomóc w jak najszybszym postawieniu Niemiec na nogi.

Z gospodarczego punktu widzenia Niemcy ponieśli największą stratę, tracąc 7 mln obywateli oraz ok. 108 tys. km kw. na rzecz sowieckiej strefy okupacji. Nie zmieniło to jednak tego, że zasadniczy rdzeń najsilniejszej gospodarki na kontynencie europejskim został zachowany i w powojennej odsłonie umożliwił stosunkowo płynne przejście do nowego okresu prosperity. W efekcie ponad 10 mln Niemców, którzy po wojnie uciekli z terenów okupowanych przez Sowietów, zostało błyskawicznie wchłoniętych przez rynek pracy zachodnich Niemiec.

Prawdziwym cudem powojennych Niemiec wydaje się raczej to, że władze okupacyjne wykazały się tak zadziwiająco nikłą dociekliwością i przyzwoliły na tak wiele szokujących karier byłych nazistów. Równie wielkim cudem jest bez wątpienia także to, że zaangażowani w nazistowski aparat śmierci i zniewolenia ekonomiści, tacy jak Ludwig Erhard, zdołali tak szybko „nawrócić się" na liberalizm, demokratyzm i integrację europejską.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45fa4c575c

ZSRS i Rosja / Imperium gangów

Podziemne państwo „pacanów”

Maciej Pieczyński

Za sprawą popularnego rosyjskiego serialu głośno zrobiło się ostatnio o młodzieżowych gangach, które w czasach pierestrojki grasowały na ulicach Kazania. Jakim cudem pod butem sowieckiej dyktatury powstało państwo w państwie, osobny przestępczy świat, brutalny i bezwzględny, z własnym prawem i własną „moralnością”?

W kraju, w którym – metaforycznie rzecz ujmując – przez 70 lat trwania komunizmu połowa mieszkańców siedziała w łagrze, a druga połowa ich za druty wysyłała, albo donosząc, albo pracując w organach ścigania, obraz przestępczego świata to ważna część kultury. To jeden z powodów ogromnej popularności serialu „Słowo pacana” w reżyserii Żory Kryżownikowa. Przy czym akurat ten serial w zgodnej opinii większości krytyków nie romantyzuje bandytyzmu. Chuligani nie są w nim przedstawieni jako bohaterowie pozytywni, godni naśladowania.

Trudno jednoznacznie przetłumaczyć rosyjskie słowo „pacan”. Oznacza ono chłopaka z ulicy, godnego szacunku, należącego do konkretnej bandy. Serial jest w dużej mierze oparty na wydanej w 2020 r. książce pod tym samym tytułem. Jej autor, Robert Garajew, sam na przełomie lat 80. i 90. należał do jednej z kazańskich grup przestępczych. W książce zawarł nie tylko własne doświadczenia, lecz także historie innych byłych bandytów. W 1988 r. w sowieckiej prasie po raz pierwszy pojawiło się sformułowanie „fenomen kazański”, które stanie się później terminem opisującym specyfikę młodocianego bandytyzmu w stolicy Tatarstanu. Czasy pierestrojki sprzyjały nagłaśnianiu społecznych patologii, wcześniej traktowanych jako temat tabu. W rzeczywistości jednak „państwo w państwie”, o którym wówczas pisano, powstało o wiele wcześniej.

„Kułacznyj boj”

Uliczne bójki mają w Rosji bogatą tradycję. Wciąż żywym w niektórych kręgach ludowym zwyczajem jest tzw. kułacznyj boj, czyli bitwa na pięści.

eprasa.pl 45fa4c575c

Kadr z filmu „Słowo pacana"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Naprzeciwko siebie stawały dwie, najczęściej kilkunastoosobowe, grupy mężczyzn w różnym wieku, od nastolatków do sześćdziesięciolatków, i na sygnał ruszały do natarcia. Stąd inna nazwa tej zabawy – „stienka na stienku", czyli ścianka na ściankę. Niekontrolowana odgórnie przemoc już w czasach carskich budziła obawy władzy. Próbowano ten zwyczaj ucywilizować i uregulować przepisami. W 1726 r. caryca Katarzyna I wydała ukaz, zabraniający bicia leżącego, używania rękawic z kamieniami w środku czy sypania pyłu w oczy przeciwnika. Uczestnicy bójek musieli meldować się na policji.

W 1832 r. car Mikołaj I postanowił zakazać „kułacznych bojów". Jednak zwyczaj ten był na tyle popularny, że pokorny wobec monarchy lud tym razem nie zamierzał się podporządkować jego woli. W dawnej stolicy chanatu kazańskiego, podbitego przez Moskwę w XVI w., bitwy na pięści miały dodatkowy podtekst etniczny. Bili się Rosjanie z Tatarami. Ściśle przestrzegali ustalonych wcześniej reguł. I surowo karali za ich łamanie. Kogoś, kto został przyłapany np. z kamieniem albo kawałkiem żelaza w rękawicy, bili potem zarówno swoi, jak i przeciwnicy. Za pole bitwy często służyła zamarznięta tafla jeziora Kaban.

W czasach sowieckich tradycja bójek tatarsko-rosyjskich niemal całkowicie wymarła. Akurat ten przejaw nacjonalizmu udało się komunistom wyrugować. Mieszkańcy stolicy Tatarstanu dalej jednak się ze sobą bili, tyle że nie z powodów etnicznych. W latach 70. i 80. Kazań stał się wręcz stolicą młodocianej przestępczości w Związku Sowieckim. Formowały się potężne bandy uliczne, które między sobą „dzieliły asfalt", czyli wyznaczały strefy wpływów, urządzając bójki z sąsiednimi osiedlami. Gangi nazywano „kontorami" (ros. kontora – biuro, urząd), „brygadami", „ulicami" lub „motałkami" (od motatsa – kręcić się, bujać, czyli należeć do grupy).

W odróżnieniu od innych miast i regionów, gdzie również nie brakowało chuliganów, w Kazaniu porachunki młodych gniewnych nie miały charakteru spontanicznych aktów przemocy, tylko skomplikowanego systemu zależności. Gangi były wielonarodowe. Inaczej niż w wielu miastach niesłowiańskich regionów Rosji sowieckiej w Tatarstanie utrzymywał się stan międzyetnicznej tolerancji. „Tutaj wszystko było dobrze zorganizowane, panowała niemal wojskowa dyscyplina – opisuje w rozmowie z Garajewem Roman Lebiediew, były członek jednej z grup przestępczych, obecnie dziennikarz i scenarzysta. – Z jednej strony, przypominało to życie według złodziejskich zasad (ros. worowskije poniatia), z drugiej – mocno się od takiego życia odróżniało, ponieważ wielu członków grup było komsomolcami, co w świecie przestępczym (ros. błatnoj mir) było nie do przyjęcia. Poza tym często [mieszkańcy Kazania – przyp. red.] przed osiemnastką działali w gangach, potem szli do wojska, a kiedy wracali do cywila, żyli normalnym życiem. Pacany szły do armii, a u przestępców to nie do przyjęcia, bo nie można brać w ręce karabinu w służbie państwa" – dodaje.

„Pacany" swoją „karierę" z reguły zaczynały w wieku 14–15 lat. Byli też młodsi – 10- czy 12-latkowie. Garajew przytacza nawet przykład ośmiolatka. W latach 80. ukształtował się rytuał „przyszywania" („priszywania"), czyli – zgodnie ze slangową terminologią – przyjmowania do bandy. Formą inicjacji bywał często sparing z jednym z członków grupy. Jeden z „weteranów" wspomina, że aby zasłużyć na przyjęcie do gangu Tiap-Lap, musiał uderzyć przechodnia na ulicy.

Jeśli ktoś nie należał do żadnej grupy, to uważany był za „czuszpana" (od ros. czużoj – obcy), czyli frajera. Mógł być bezkarnie bity i okradany. Najgorsza była droga do i ze szkoły. Uczniowie byli okradani do ostatniej kopiejki. I bici, jeśli nie chcieli oddać pieniędzy. Uczennice zaciągano do bramy albo do samochodu i gwałcono. Znajoma piszącego te słowa, pochodząca z Kazania pisarka Tatiana Szachmatowa (rocznik 1981), wspomina, że trzech jej kolegów z równoległych klas zginęło z rąk rówieśników. „Jednego wrzucili do kanalizacji na oczach innych. Był cały poparzony. Ledwo go odratowano. Wraz z rodziną musiał się wyprowadzić do innego miasta" – mówi.

Chuligan Marat

Roman Lebiediew w książce Garajewa opisuje przypadek ucznia, który został przeniesiony do szkoły na innym osiedlu. Jako obcy codziennie był bity przez swoich nowych „kolegów". Przestał chodzić do szkoły. Dyrekcja chciała go ukarać za wagarowanie. Nie przyjmowano do wiadomości, że w sowieckiej szkole mogą funkcjonować jakiekolwiek bandy. Chłopak w końcu więc musiał zaryzykować. Został brutalnie pobity. Na miejsce zdarzenia przyjechała milicja, być może ratując mu życie. On jednak odmówił zeznawania przeciwko oprawcom, czym zyskał sobie ich szacunek. W drodze wyjątku przestali go prześladować, mimo że nie „bujał się" (ros. nie motalsja – w slangu oznacza to nienależenie do gangu).

Paradoksalnie więc w pewnym sensie bycie „czuszpanem" wiązało się z większym ryzykiem niż bycie „pacanem". „Pacan" cieszył się szacunkiem zarówno swoich, jak i obcych. Nie był bity, poniżany czy okradany. Nie był uważany za frajera. To on bił, okradał i poniżał „czuszpanów". Niebezpieczeństwo groziło mu „tylko" podczas regularnych

eprasa.pl 45fa4c575c

walk między grupami. Na co dzień to on był panem sytuacji. Dlatego wielu spokojnych z natury uczniów dołączało do band w obawie o własne bezpieczeństwo. Taki przypadek, częściowo oparty na doświadczeniu Roberta Garajewa, przedstawia serial Żory Kryżownikowa. Słaby fizycznie prymus Andriej dołącza do bandy, bo ma dość bycia „czuszpanem", bitym, okradanym i poniżanym przez silniejszych uczniów. „A teraz zapamiętaj: teraz jesteś pacanem, jesteś z ulicy, a otaczają cię sami wrogowie" – tymi słowami chuligan Marat, wprowadzając Andrieja do grupy, tłumaczy koledze, na czym polega przestępczy świat.

Wśród „pacanów" panowała ścisła hierarchia pod względem wieku. Najmłodsi to „skorłupa" (ros. skorupa). Nieco starsi to „supiera" (supery), z reguły między 16. a 18. rokiem życia. Wyżej stali kolejno „młodzi", „średni", „starsi" i „stariki" (często byli to ci, którzy przeszli służbę w armii). Nieformalną elitą w danej bandzie były „awtory" (skrót od „awtoritiety", czyli „autorytety"), najbardziej szanowani chuligani, swego rodzaju starszyzna gangu. Spośród tego grona był „demokratycznie", drogą głosowania, wyłaniany „lider", czyli dowódca. Członków grup obowiązywał zakaz picia alkoholu i brania narkotyków, bo mieli być zdrowi, silni i na każde zawołanie gotowi do walki w obronie swojej ekipy. Na potrzeby działalności organizowano składkę, tzw. obszczak. Jak nietrudno się domyślić, środki na ten cel pochodziły z kradzieży. Później bandy zaczęły zarabiać na siebie w bardziej zorganizowany sposób – m.in. ściągając haracze.

Zadziwiające, że nastoletni bandyci potrafili stworzyć prawdziwe „państwo w państwie", rządzące się zupełnie wyjątkowymi prawami. Stąd też pojawiają się głosy, że „fenomen kazański" mógł zostać sztucznie wykreowany przez KGB jako narzędzie kontroli nad trudną młodzieżą. Nie ma na to jednak poważniejszych powodów. Na powstanie „fenomenu" wpłynęły raczej inne czynniki. W ramach amnestii, ogłoszonej po śmierci Stalina, ponad połowa więźniów Gułagu wyszła na wolność. Społeczeństwo zostało zainfekowane przestępczymi nawykami i typową w świecie kryminalnym agresją. W 1968 r. kołchoźnicy otrzymali paszporty krajowe, a w związku z tym możliwość przemieszczania się. W efekcie rozpoczęła się masowa migracja ze wsi do miast za pracą, której tam nie brakowało, szybko rozwijał się bowiem przemysł. Pierwsze pokolenie było zajęte próbami przystosowania się do nowej rzeczywistości. Drugie poczuło się już jak u siebie, przynosząc do miasta swoje dawne przyzwyczajenia i wartości. Dzielenie między siebie terytorium, kontrola nad swoją ziemią – to elementy raczej wiejskiej niż miejskiej mentalności. Podobnie jak „kułaczne boje", które do czasów sowieckich, jeśli się zachowały, to raczej na głębokiej prowincji niż w wielkich metropoliach. Tym samym tradycja masowych bójek, w których naprzeciwko siebie stawały całe wsie, została przeniesiona na ulice Kazania. Nienawiść między sąsiednimi wioskami została tylko zastąpiona nienawiścią między sąsiednimi dzielnicami, osiedlami czy ulicami.

Przed bójką. Grafika z XVIII w.
FOT. WIKIPEDIA

Wiele wskazuje na to, że nawet uporządkowany, zhierarchizowany charakter gangów miał, paradoksalnie, oddolne przyczyny. Bandy były – patologicznym, ale jednak – sposobem na odbudowę tradycyjnych więzi, zerwanych w rezultacie migracji ze wsi do miast. Tęsknota za porządkiem i zdrową hierarchią spowodowała, że nastolatkowie własnymi rękami (albo raczej pięściami) tworzyli na nowo własną hierarchię. Brak możliwości normalnego awansu społecznego w sowieckiej rzeczywistości młodzi ludzie rekompensowali sobie, budując takie możliwości w ramach swojej grupy, gdzie „czuszpan" po dołączeniu do bandy mógł wspinać się po drabinie aż do „lidera". Jednak te substytuty normalnego świata prowadziły w sposób oczywisty jedynie do jeszcze głębszego kryzysu. Uliczna moralność z prawdziwą moralnością nie miała wiele wspólnego. Chuligani dawali „słowo pacana", czyli obietnicę, której teoretycznie nie można było łamać. Nie obowiązywało ono jednak wobec „czuszpanów", których oszukiwano nagminnie. Tak naprawdę tym światem rządziła jedna „etyczna" zasada – trzeba być silnym, żeby móc bić słabych. Ci ostatni nie mają żadnych praw. Nie dlatego, że są gorsi, ale dlatego właśnie, że są słabsi.

Sztab w siłowni

Nazwy kazańskich band brały się od części miasta, w których mieszkali ich członkowie. Jedną z pierwszych grup była Tiap-Lap, działająca w drugiej połowie lat 70. w dzielnicy Tiepłokontrol. „Kontora" liczyła kilkaset osób – głównie uczniów i absolwentów dwóch miejscowych szkół. Na jej czele stali Siergiej Antipow „Antip", Zawdat Chantimirow ps. Dżawda oraz Siergiej Skriabin „Skriaba". Czyli Rosjanin, Tatar i Żyd. Sztabem gangu była siłownia w piwnicy jednego z bloków. Z braku sprzętu do ćwiczeń służyły grzejniki (jako sztangi), żelazka (jako hantle) i rury ciepłownicze (jako drążki do podciągania się). Władze, nie wiedząc, co naprawdę dzieje się w środku, nie zamykały tej siłowni, ponieważ było to jedyne miejsce rozrywki dla mieszkańców dzielnicy. A w środku nie tylko planowano kolejne działania bandy, lecz także prowadzono „egzaminy wstępne". Przyjmowano tego, kto nie padał po pierwszym uderzeniu w twarz. Podczas ustawek używano nie tylko pięści, lecz także łomów i prętów zbrojeniowych. Tiap-Lap zajmowali się nie tylko „dzieleniem asfaltu" dla samego dzielenia. Zaczęli też zarabiać pieniądze

Bandy były – patologicznym, ale jednak – sposobem na odbudowę tradycyjnych więzi, zerwanych w rezultacie migracji ze wsi do miast

eprasa.pl 45fa4c575c

– na włamaniach i ściąganiu haraczu od „cechowników", czyli drobnych przedsiębiorców, działających nielegalnie, w podziemiu. Tych, którzy nie chcieli płacić, okradano, bito, czasem zabijano. Śmiercią karano też swoich. Taki los spotkał Nikołaja Dan'szyna. Liderzy Tiap-Lap podejrzewali go o współpracę z milicją. Nie podobały im się również jego koleżeńskie relacje z jednym z konkurencyjnych gangów. Dan'szyn został śmiertelnie pobity pod jednym z kazańskich barów. Zabójcy używali metalowych prętów, skakali mu po głowie.

Jedną z najbardziej spektakularnych akcji Tiap-Lap był najazd na terytorium gangu Nowa Słoboda Tatarska. Dwustu bandytów okładało kawałkami armatury każdego, kogo spotkali na „wrogim" osiedlu, w tym milicjantów, kobiety w ciąży i seniorów. Dwa lata później liderzy gangu znaleźli się na ławie oskarżonych. Sądzono ich za bandytyzm, 36 przypadków kradzieży, 4 zabójstwa i 15 prób zabójstwa. Był to pierwszy w dziejach ZSRS proces zorganizowanej grupy przestępczej. „Skriaba" i „Antip" dostali po 15 lat odsiadki, „Dżawda" – karę śmierci przez rozstrzelanie.

Część niedobitków Tiap-Lap dołączyła do utworzonej na początku lat 80. grupy Chadi Taktasz („chadiszewscy"). Nazwa pochodzi od nazwiska słynnego tatarskiego poety. A właściwie – od ulicy jego imienia. Początkowo banda zajmowała się napadami na przechodniów, bójkami o „asfalt" i ściąganiem haraczu. U progu rozpadu ZSRS w Chadi Taktasz doszło do rozłamu. „Starsi" chcieli działać tak jak do tej pory. „Młodsi" zamierzali wykorzystać możliwości, które dawała gospodarka rynkowa, a raczej jej wypaczona forma. Chcieli rozwijać „biznes". Wzięli pod kontrolę fabrykę folii polietylenowych i zarabiali na sprzedaży jej produkcji. „Starsi" chcieli dostać swój procent, ale spotkali się z odmową. Szef „młodych", Anwar Chaliullin, został zastrzelony. Kilka miesięcy później zemsta dosięgnęła lidera „starszych" – Raufa Szarafutdinowa.

Bójka wieśniaków. Grafika z XIX w.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Ostatecznie tę międzypokoleniową wojnę wygrali „młodzi", na czele z Radikiem Galiakbierowem ps. Radża, który szybko pozbył się wszystkich wrogów i stał się jednym z najbardziej wpływowych gangsterów w Kazaniu. Wtedy dewizą grupy było „Chadi Taktasz – wies' gorod nasz", czyli „całe miasto jest nasze". Gang przejął kontrolę nad prostytucją i usługami pogrzebowymi w Kazaniu. Organizował też walki psów. W rękach ludzi „Radży" znalazły się dwa miejskie cmentarze, ponad 40 firm, fabryk, banków i restauracji. Handlowali też narkotykami, choć sami ich nie zażywali, zgodnie z „pacanowskim" kodeksem. Latem 1997 r. stoczyli zwycięską wojnę z grupą Pierwaki po tym, jak jeden z jej członków nie zapłacił za kokainę kupioną od „chadiszewskich". W listopadzie 1999 r. na rozkaz „Radży" został zamordowany przywódca bandy Pawluchinska. Zatrzymany przez milicję zabójca zeznawał przeciwko swojemu szefowi. Niedługo później Galiakbierow i 11 jego współpracowników zostali aresztowani. „Radża" odsiaduje dożywocie w kolonii karnej o wdzięcznej nazwie Czarny Delfin.

Zblatowanie elit

W połowie lat 80. powstała grupa Żyłka. Jej lider, Chajdar Zakirow ps. Chajder, próbował podbić cały kryminalny świat Kazania. W wojnach o „asfalt" uzbrojeni w noże bandyci z Żyłki podporządkowali sobie 18 grup przestępczych. Okazali się jednak za słabi na gang Boriskowo. „Chajder" uciekł do Petersburga. Po pewnym czasie został zwabiony do Kazania przez dawnych wrogów, którzy proponowali zawarcie pokoju. To była pułapka. Niedoszli zabójcy zablokowali go w windzie i wystrzelili w niego serie z karabinów maszynowych. Cudem przeżył, bo własnym ciałem zasłonili go ochroniarze. Okno szpitala, w którym potem leżał, ostrzelano z granatnika. Zakirow znów miał szczęście, bo chwilę wcześniej został przeniesiony do innej sali. Trzeci zamach zakończył się powodzeniem. Po śmierci Zakirowa grupa jeszcze przez kilka lat funkcjonowała. Została rozbita przez milicję na początku XXI w. Aresztowanych członków gangu oskarżono m.in. o ok. 20 zabójstw.

Młodzieżowe bójki na pięści, regulowane uliczną pseudomoralnością, wyewoluowały w regularne wojny uzbrojonych po zęby gangów, których jedyną ideologią było już nawet nie tyle bić słabszych, ile zarabiać pieniądze. Władze sowieckie nie zauważały, albo nie chciały zauważać, problemu, ponieważ podważało to oficjalną narrację o ZSRS jako o państwie, w którym nie ma miejsca na negatywne zjawiska społeczne. W pierwszej dekadzie XXI w. z jednej strony gangsterzy masowo trafiają za kratki, a z drugiej – część kryminalnych elit zrasta się z elitami politycznymi. Przestępczy świat cywilizuje się i wycofuje się w cień, rozpoczynając grę o większe kwoty niż haracz z drobnych przedsiębiorców. Dziś Kazań jest o wiele bardziej bezpiecznym miastem niż dwie czy trzy dekady temu. A jednak problem nie zniknął całkowicie. Minister spraw wewnętrznych Tatarstanu Artiom Chochorin ogłosił rok 2020 rokiem walki z przestępczością zorganizowaną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45fa4c575c

Georg Heinrich Sieveking „Egzekucja Ludwika XVI" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

1794 r. / Heroiczne życie i śmierć Elżbiety de France

Męczennica rewolucji

Piotr Tylus

Ludwik XVI stałby się zapewne sprzymierzeńcem i marionetką rewolucjonistów, gdyby nie jego młodsza siostra. Dzięki Madame Elżbiecie król mógł umrzeć jak święty. Jej heroizm – okazywany do samego końca – sprawił, że Kościół uznał ją za służebnicę Bożą

Apogeum rewolucji, która później zostanie nazwana „Wielką"... 5 września 1793 r. Konwent wprowadza „terror na porządek dzienny". Kraj jest w rękach Komitetu Ocalenia Publicznego, który stanowi instancję kontrolującą wszystkie organa cywilne i wojskowe państwa, oraz Komitetu Bezpieczeństwa Powszechnego, który kieruje policją polityczną. Czas wszechwładnej „bezpieki" – owszem, możemy doszukiwać się tutaj analogii z najgorszym okresem stalinowskiego terroru. Absolutny triumf reżimu. Trybunał rewolucyjny pracuje w sposób ciągły, a gilotyna kosi głowy na okrągło.

21 stycznia, na dzisiejszym placu Zgody, wstępuje na szafot Ludwik XVI, pośród licznego, radosnego tłumu. 16 października kolej przychodzi na Marię Antoninę. Wiosną wybucha powstanie w Wandei, gdzie Wielka Armia Katolicka i Królewska, złożona przede wszystkim z ochotniczych oddziałów chłopskich, mająca na swych sztandarach podwójne Serce: Jezusa i Maryi, walczy w obronie wiary i monarchii. Potem „pacyfikacja" Wandei – „Uczynimy z Francji cmentarz, jeżeli nie odrodzi się na naszą modłę"; „Trzeba, aby Wandea została unicestwiona, gdyż ośmieliła się wątpić w dobrodziejstwa Wolności"...

5 października 1793 r. zostaje wprowadzony kalendarz rewolucyjny: lata są liczone od 22 września 1792 r., który był pierwszym dniem Republiki (dekret o zniesieniu monarchii i ustanowieniu republiki ogłoszono dzień wcześniej). Ten zabieg ma zastąpić erę chrześcijańską nową erą – rewolucyjną. 10 listopada 1793 r. katedra Notre Dame w Paryżu jest przekształcona w świątynię Rozumu. Niedługo potem będzie tam celebrowany kult Istoty Najwyższej, która nie ma nic wspólnego z Bogiem z Objawienia chrześcijańskiego. Potem wszystkie kościoły paryskie zostają zamknięte. W Paryżu i na prowincji fala wandalizmu dotyka kościoły, które są plądrowane i czasem niszczone. Jeden z deputowanych oficjalnie ogłasza się „osobistym wrogiem Jezusa Chrystusa". Rewolucja październikowa w Rosji bardzo się starała, by dorównać „Wielkiej" Rewolucji Francuskiej, swojej „matce".

Jest to czas, gdy rewolucja pożera także swe własne dzieci. Czas rządów Robespierre'a... W ciągu 10 miesięcy jego

eprasa.pl 45fa4c575c

dyktatury 500 tys. osób zostaje uwięzionych, a 16 tys. zgilotynowanych. Na śmierć idą zarówno zagorzali przeciwnicy, jak i dawni przyjaciele rewolucji: żyrondyści, Madame Roland (znana rewolucyjna działaczka), Bailly (były mer i przywódca Komuny Paryża), pani du Barry (niegdysiejsza kochanka Ludwika XV, którą trudno było podejrzewać o jakieś poglądy polityczne), a 10 maja 1794 r., w wieku 30 lat, wstępuje na szafot Madame Elżbieta, młodsza siostra Ludwika XVI.

Naznaczona przez krzyż

Kim była Elżbieta de France – Madame Élisabeth? W Polsce postać w zasadzie nieznana; nawet wielu historykom nic ona nie mówi. Płynęła w niej polska krew, dzięki babce Marii Leszczyńskiej, córce Stanisława, dwukrotnego króla Polski. Przyszła na świat 3 maja 1764 r., w dniu święta upamiętniającego odnalezienie Krzyża Świętego w Jerozolimie, i ten dzień jej narodzin, gdy obchodzono to właśnie święto, naznaczył całe jej życie, w którym nie zabrakło cierpień krzyża, oraz naznaczył jej śmierć – męczeńską i heroiczną. Jej matką była polska królewna, Maria Józefa Karolina Saska – córka Augusta III, króla Polski, a ojcem – syn Ludwika XV, delfin Ludwik Ferdynand, który zmarł, nie zdążywszy zostać królem.

Do czasu wybuchu rewolucji życie Elżbiety, przedwcześnie osieroconej przez ojca i matkę, było raczej monotonne i nudne. Nie miało w sobie nic nadzwyczajnego. Toczyło się w atmosferze standardowych dworskich intryg, walk różnych dworskich koterii, także walk o jej względy, co bardzo ją męczyło. Odczuwała odrazę do dworskiej hipokryzji, gdyż w przeciwieństwie do większości osób z jej otoczenia pragnęła szczerych i autentycznych przyjaźni. Dwukrotnie spaliły na panewce projekty jej małżeństwa, najpierw z portugalskim następcą tronu, a potem z cesarzem Józefem II. Jednak nie była z tego powodu zawiedziona, nie chciała zamążpójścia, wolała na zawsze zostać we Francji, tak jakby przeczuwając, że będzie potrzebna

Jean-Marc Nattier „Portret Marii Józefy Karoliny Saskiej"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

swojemu bratu, Ludwikowi XVI, gdy nadciągnie burza i gdy wielu jego przyjaciół go opuści. Gdy cały ten tłum ludzi, którzy zawsze znajdywali tysiące powodów, żeby tłoczyć się w korytarzach pałacu w Wersalu, nagle znajdzie tysiąc innych powodów, żeby stamtąd uciec, a wieczorem w oknach pałacu będzie panowała ciemność, ponieważ zabraknie służących, którzy mogliby zapalić świece.

Ludwik rzeczywiście zasługiwał na opinię króla nieudolnego, a przede wszystkim cechowało go niezdecydowanie. Na początku rewolucji wystarczyło, żeby podjął kilka decyzji, niekoniecznie pociągających za sobą przelew krwi, a rewolucyjny zryw umarłby w powijakach. Jutrzenka Wolności, Równości i Braterstwa nie zajaśniała w czasach Ludwika XV – choć ogólny klimat już temu sprzyjał – gdyż zostałaby wówczas zduszona w zarodku. Poza tym Ludwik XVI sprzyjał „filozofom" oraz ich poglądom, które stały się fundamentem rewolucji. Ostatecznie, wprawdzie działając pod presją, zaakceptował Deklarację praw człowieka i obywatela, która była fundamentalnym tekstem wartości rewolucji, niewymieniającym ani Boga z Objawienia chrześcijańskiego, ani króla przyjmującego sakrę w Reims, tekstem

Élisabeth Vigée-Lebrun „Portret Elżbiety de France"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/PAŁAC W WERSALU

ukazującym otwarcie swą wolę zerwania z tradycją religijną i polityczną Francji.

I ostatecznie zaakceptował też Konstytucję cywilną duchowieństwa, która otwierała haniebny rozdział w historii Francji, mianowicie czas krwawych prześladowań Kościoła – poprzez fakt podpisania się pod tym dokumentem formalnie zaciągnął na siebie ekskomunikę. Ten niezdecydowany król, oszołomiony rozwojem wypadków, znalazł się na równi pochyłej, prowadzącej go do sytuacji, w której stałby się marionetką w rękach nowych ojców narodu, wręcz sprzymierzeńcem tej rewolucji, która była prowadzona w imieniu ludu, ale rozwinęła się bez przyzwolenia ludu i często przeciwko ludowi. Owszem, stałby się marionetką… i stałby się sprzymierzeńcem… gdyby nie Elżbieta. To właśnie ona niestrudzenie w tym czasie uświadamiała mu, jakie obowiązki spoczywają na nim w związku z przysięgą złożoną przez niego podczas ceremonii sakry w Reims, i to właśnie

ANNE BERNET
„MADAME ELŻBIETA. KSIĘŻNICZKA W CIENIU GILOTYNY"
ANDEGAVENUM

Elżbieta nakłoniła go do dokonania aktu poświęcenia swojej osoby i królestwa Najświętszemu Sercu, choć stało się to dopiero w Le Temple – tym więzieniu o zaostrzonym rygorze, w którym znalazła się rodzina królewska. Król dokonał tego aktu prywatnie, ślubując jednocześnie, że Najświętsze Serce zajmie należne mu miejsce w odnowionej monarchii francuskiej.

Głęboka religijność

Przypomnijmy, że ponad 100 lat wcześniej francuskiej wizytce z Paray-le-Monial objawiał się Chrystus, który wyraził życzenie, aby poświęcono mu Francję i aby obraz Jego Najświętszego Serca znalazł się na sztandarach królewskich. Dzięki temu zawierzeniu monarchia miała cieszyć się ochroną i zawsze wychodzić obronną ręką z konfrontacji ze swoimi

eprasa.pl 45fa4c575c

wrogami. Jednak żaden z królów nie dokonał tego aktu, dopiero Ludwik XVI, ale uczynił to w swoim więzieniu, które dla niego było przedsionkiem szafotu. Umęczeni, prześladowani francuscy katolicy interpretowali zjawisko rewolucji w świetle objawień, które miały miejsce w Paray-le-Monial, i dostrzegali w ówczesnych wydarzeniach karę, która była wynikiem nieposłuszeństwa ich królów wobec woli Boga. W ten sam sposób rozumiała to Elżbieta, która przez całe swoje życie odznaczała się żarliwym nabożeństwem do Najświętszych Serc Jezusa i Maryi, a także do Krzyża Świętego – jej religijność była autentyczna.

I to właśnie dzięki swojej siostrze Ludwik XVI się nawrócił i dzięki niej mógł umrzeć jak święty, o czym świadczą słowa wypowiedziane przez niego tuż przed śmiercią, w obecności tłumu zgromadzonego na placu Zgody: „Umieram niewinny zarzucanych mi zbrodni, wybaczam autorom mej śmierci i modlę się do Boga, aby krew, którą przelejecie, nigdy nie spadła na Francję".

Elżbieta miała wiele okazji pozwalających jej uciec za granicę. Gorąco była do tego namawiana przez swojego brata, hrabiego d'Artois, przyszłego Karola X, który opuścił Francję już na samym początku rewolucji i stał się przywódcą emigrantów. Namawiały ją tzw. Panie Ciotki (Mesdames Tantes), siostry jej ojca, które wyjechały do Rzymu. Namawiali ją przyjaciele. I tych okazji było naprawdę dużo. Natomiast ona postanowiła trwać wiernie przy królu, jednak nie po to, żeby sprowokować swoje męczeństwo, ale dlatego, że doskonale zdawała sobie sprawę, iż jest ona dla Ludwika niezbędnym filarem. I to nie tylko filarem pod względem duchowym.

Otóż działała ona w samym sercu kontrrewolucyjnej siatki wywiadowczej, potajemnie przekazywała swojemu bratu, hrabiemu d'Artois, bardzo istotne informacje na temat rozwoju wypadków, dokonując przy tym ich interpretacji jak wytrawny analityk obdarzony wyostrzonym zmysłem politycznym. Jej siatka działała w trakcie pobytu rodziny królewskiej w Tuileries. A także w Le Temple – gdzie król i jego najbliżsi zostali osadzeni po wydarzeniach z 10 sierpnia 1792 r., gdy pałac Tuileries został zdobyty siłą przez rozjuszony tłum, w tym przez

Agnolo Gaddi „Odnalezienie Krzyża Świętego" (fragment) FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ BASILICA OF SANTA CROCE

„chłopaków" z Marsylii, którzy potem posilali się upieczonymi udźcami szwajcarskich żołnierzy z gwardii przybocznej króla (akty kanibalizmu naznaczyły wiele rewolucyjnych wydarzeń) – Elżbieta znalazła sposoby na komunikowanie się ze światem zewnętrznym, werbując niektórych przedstawicieli Komuny Paryża, oddelegowanych do pilnowania więźniów. Była więc ona Marią i Martą w jednej osobie.

Cień gilotyny

Nie można postrzegać Elżbiety w oderwaniu od rewolucji i od wydarzeń związanych z Ludwikiem XVI – i w taki właśnie sposób ukazuje jej sylwetkę francuska pisarka, historyczka i publicystka, Anne Bernet, w bardzo dynamicznie napisanej biografii „Madame Elżbieta. Księżniczka w cieniu gilotyny", opublikowanej niedawno w języku polskim przez wydawnictwo Andegavenum (Kraków 2023) – bo przecież była to Elżbieta „de France", zatem „z Francji", mocno wrośnięta w swój kraj. Gdy została doprowadzona przed rewolucyjny trybunał, jej sędziowie zaczęli od standardowych pytań o nazwisko i stan społeczny. Wówczas z dumą odpowiedziała: „Elżbieta de France. Ciotka waszego króla" (chodziło o młodocianego, wprawdzie niekoronowanego Ludwika XVII). Ona była „de France", choć pogardliwie nazywano ją „obywatelką Kapet". Rewolucja widziana oczyma tej księżniczki, bardzo przenikliwej obserwatorki ówczesnych wydarzeń… – taką właśnie perspektywę zawiera w swej książce Anne Bernet.

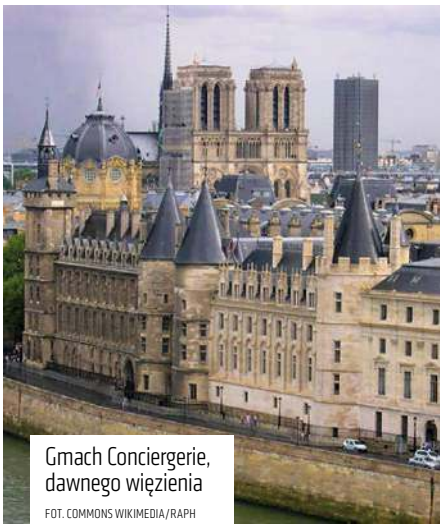

Gmach Conciergerie, dawnego więzienia FOT. COMMONS WIKIMEDIA/RAPH

Proces Elżbiety miał miejsce 10 maja i zaraz potem przewieziono ją na plac Zgody, gdzie czekała gilotyna. Rewolucjoniści zapewnili jej odpowiednią „świtę": 23 starannie dobranych innych oskarżonych, przede wszystkim arystokratów z urodzenia, m.in. niegdysiejszych bywalców na wersalskim dworze, ale nie tylko, ponieważ w tej grupie znaleźli się także arystokraci w znaczeniu nadawanym temu słowu przez rewolucjonistów, czyli wrogowie zmian, a wśród nich pewien aptekarz, który potajemnie, „nielegalnie" dostarczał rodzinie królewskiej lekarstw, czy dwaj młodzi służący, których jedyna wina polegała na dochowywaniu wierności swoim panom. Proces księżniczki trwał nie dłużej niż trzy lub cztery godziny, czyli w przypadku wyroku skazującego na śmierć był wyjątkowo krótki; natomiast jeśli chodzi o pozostałych podsądnych, tworzących jej „świtę", to nikt nie zaprzątał sobie głowy uzasadnianiem wyroku.

Przez cały czas, aż do chwili egzekucji, Elżbieta nie przestawała dodawać tym ludziom otuchy. Niosła im pocieszenie, nie pozwalała załamać się. W tym także przejawiały się heroizm jej życia oraz heroiczność cnót (jest oficjalnie uznana przez Kościół za służebnicę Bożą). Została stracona jako ostatnia. Kat i jego pomocnicy uwijali się szybko: od wezwania skazańca na szafot do odcięcia mu głowy nie upływały nawet dwie minuty. W rytm pracy gilotyny głowy trafiały do tego samego wiklinowego kosza, a reszta ciała do drugiego. Gdy spadła głowa Elżbiety, królewska krew Francji zmieszała się z krwią ludu Francji… a na placu pojawił się zapach róż…

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45fa4c575c

Emigracja Irlandczyków / Wystawa w Dublinie

Żegnam cię jak Irlandię

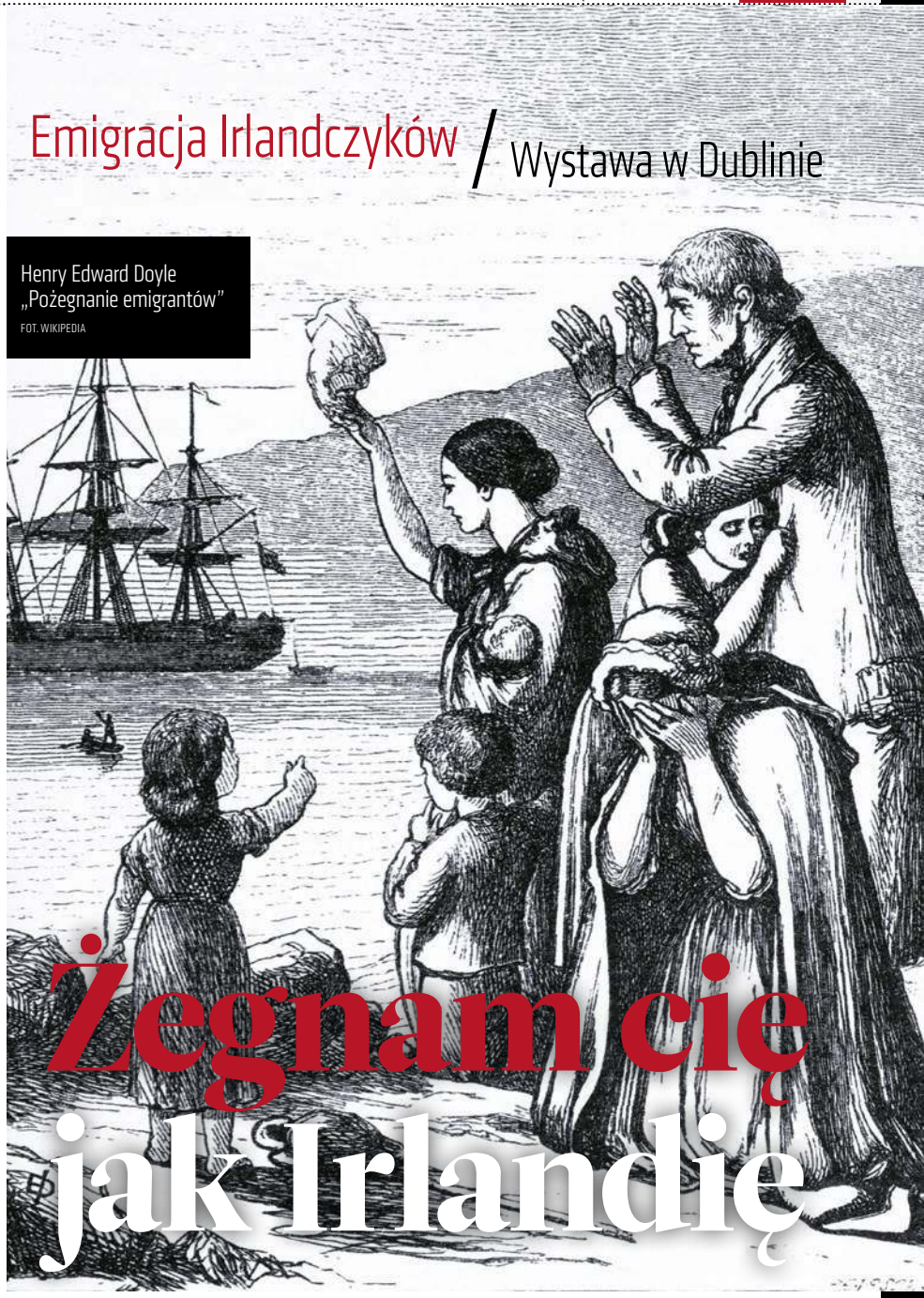

Henry Edward Doyle „Pożegnanie emigrantów"
FOT. WIKIPEDIA

Piotr Semka

Zielona Wyspa liczy dziś jedynie 5 mln mieszkańców, natomiast badacze z uniwersytetu w Dublinie szacują, że ok. 100 mln ludzi na całym świecie ma irlandzkie korzenie. Emigracja to trudny i ważny temat dla mieszkańców tego kraju

W przypadku Irlandii, zielonej wyspy otoczonej przez Atlantyk, emigracja bywała dobrowolna, ale znacznie częściej przymusowa. Brytyjskie represje, wygnanie Irlandczyków z ich własnej ziemi przez angielskich kolonistów i okupantów, głód i nadzieja na odmianę losu pchały Irlandczyków w nieznane. Cała ta wielka, ponad 1700-letnia epopeja została opowiedziana w Muzeum Emigracji „EPIC" w Dublinie. Trzeba przyznać, że synowie Zielonej Wyspy potrafią doskonale opowiadać o swoich niełatwych dziejach.

Stara hala wolnocłowa z 1820 r. na brzegu rzeki Liffey aż do drugiej połowy XX w. była miejscem składowania ładunków herbaty, tytoniu i kawy. Dziś ten imponujący zabytek architektury industrialnej Dublina zamieniony został w wielkie centrum handlowe. Od 2015 r. w jej solidnie wykonanych piwnicach, gdzie kiedyś przechowywano wino, brandy i rum, mieści się Muzeum Emigracji, które doskonale opisuje irlandzką traumę – wygnanie.

Irlandia, która liczy obecnie ok. 5,2 mln mieszkańców, do dziś pod względem demografii zmaga się z konsekwencjami nieszczęść, które spadły na nią między wiekami XVII a XIX. Badacze z uniwersytetu w Dublinie szacują, że ok. 100 mln ludzi na całym świecie ma irlandzkie korzenie. Niektórzy badacze twierdzą, że gdyby nie emigracyjny upust krwi, niepodległa Irlandia liczyłaby dzisiaj 14 lub nawet 20 mln ludzi. Tyle że takie rozumowanie zawiera też wewnętrzną sprzeczność. Gdyby nie ta ogromna rzesza ludzi pochodzenia irlandzkiego na całym świecie, szczególnie w USA, Irlandia być może nadal byłaby brytyjską kolonią. Po pierwszej wojnie światowej to właśnie bowiem wsparcie opinii publicznej w USA i innych krajach wymusiło na Londynie uznanie wolnego państwa irlandzkiego. Bez irlandzkich imigrantów rozsianych po całym świecie ten niewielki kraj na północno-zachodnim skraju Europy nie podyktowałby tylu mód w kulturze i obyczajach, które chętnie przyswaja świat. Corocznym, najbardziej wyrazistym hołdem dla tego dziedzictwa jest fetowanie Dnia św. Patryka. Nawet jeśli oznacza to

eprasa.pl 45fa4c575c

Jan Wyck „Bitwa nad Boyne"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/NATIONAL GALLERY OF IRELAND

w wielu krajach jedynie wzmożone picie ciemnego guinnessa w lokalach stylizowanych na irlandzkie puby.

Tradycja pożegnań

Irlandzkie sagi, pieśni i poematy pełne są dramatycznych skarg na los zmuszający do emigracji. W jednej z sal Muzeum Emigracji odczytać można słowa jednej z tradycyjnych irlandzkich ballad: „W nocy przed wyjazdem mówili sobie nawzajem: »Żegnaj!«. I wczesnym rankiem ich serca wydały głębokie westchnienie. Całowali matki i rzekli: »Żegnaj, najukochańszy ojcze, musimy już odpływać«".

W innym miejscu wyeksponowany jest fragment elegii irlandzkiej poetki Helen Seliny Blackwood, Baronessy Dufferin (1807–1867) „Lament irlandzkiego emigranta": „Czeka nas długie rozstanie, moja Mary uczynna i szczera / Nigdy nie zapomnę cię, droga, w kraju, do którego zmierzam / Mówią, że jest tam chleb i praca dla każdego, a słońce świeci dla wszystkich / Ale nigdy nie zapomnę Irlandii. Ileż razy bardziej godziwej i uczciwej, mej ukochanej ojczyzny".

Kim byli pierwsi Irlandczycy, którzy opuszczali wyspę, nigdy się nie dowiemy. Badania archeologiczne prowadzone na zachodnich brzegach Anglii i Walii wykazały, że „cicha" irlandzka inwazja trwała na tych terenach przynajmniej od końca epoki rzymskiej. Irlandzka tradycja opowiada, że iryjskie klasztory, które ocaliły wiele dzieł starożytności przed zniszczeniami barbarzyńców, były od V w. ośrodkami, które wysyłały misjonarzy na kontynent. Najbardziej znanym misjonarzem był św. Kolumban Młodszy (546–615) urodzony w irlandzkiej prowincji Leister, który ewangelizował zachodnią Europę i zmarł w klasztorze Bobbio we Włoszech. W Niemczech i Austrii do dziś czczony jest św. Kilian (640–689), który nawrócił w Würzburgu pogańskiego króla germańskiego Gozberta, ale potem zmarł śmiercią męczeńską. Inny mnich, Brendan Żeglarz (484–577/583?), był nie tylko misjonarzem, lecz także wytrawnym żeglarzem. Podejrzewa się, że dopłynął na Wyspy Kanaryjskie, Azory, Maderę i dotarł aż do równika. Naukowiec Tim Severin twierdzi nawet, że pokryta skórą łódź Brendana dotarła do Ameryki Północnej na długo przed wikingami.

Ta wspaniała tradycja irlandzkich misji dotyczy też być może Polski. Historycy spekulują, że Aaron, pierwszy opat klasztoru w Tyńcu koło Krakowa, mógł mieć irlandzkie albo szkockie pochodzenie, choć przybył do Krakowa z Kolonii. Imię Aaron było w tamtych czasach znakiem rozpoznawczym zakonników o irlandzkich korzeniach. Pisarze tacy jak Thomas Cahill do dziś zdumieni są, jak gigantyczny wpływ na ewangelizację północnej Europy wywarli misjonarze z odległej, położonej na peryferiach Europy małej, półdzikiej wyspy. Te tradycje odnowiły się w XIX w., kiedy irlandzcy misjonarze oddawali życie za Boga, niosąc wiarę narodom Afryki i Azji. Ojciec Constantine Scollen (1841–1902) ewangelizował Indian w północnej Ameryce i ocalił od wymarcia dziesiątki języków plemion indiańskich. Edel Quinn (1907–1941) z Legionu Maryi budowała sieć szkół i placówek Kościoła katolickiego w Afryce Wschodniej. Z kolei ojciec Joseph Shanahan (1871–1943) – jak się szacuje – miał wpływ na nawrócenie ok. 2 mln mieszkańców Nigerii, a ojciec Michael Kelly (1929–2021), pracujący w Zambii, nosi w tym afrykańskim kraju zaszczytny tytuł ojca zambijskiego szkolnictwa.

Powody emigracji

W jednej z sal muzeum czytamy: „Decydujemy się na emigrację, bo nie możemy zostać w rodzinnym kraju, bo chcemy i marzymy o wyjeździe". Czasami te czynniki występują osobno, a czasami razem. Ponadto szczególnie te trzy elementy są silne w irlandzkiej opowieści o emigracji: głód, częsty w krainie, w której angielscy najeźdźcy wyzuli prawowitych gospodarzy z posiadania własnej ziemi; nadzieja na lepsze życie i uzyskanie własnej ziemi w dominiach imperium brytyjskiego i wreszcie chęć wyjazdu zarobkowego w celu wspomożenia pozostałych w kraju członków klanu.

Dla irlandzkiej szlachty cezurą była słynna bitwa nad Boyne z 1690 r., kiedy to protestanckie siły Wilhelma III Orańskiego starły siły króla Anglii Jakuba II Stuarta, którego poparli irlandzcy katolicy. To wygnanie irlandzkiej szlachty zaowocowało pojawieniem się w szeregach armii Francji, Hiszpanii i imperium Habsburgów irlandzkich rekrutów. W samej Irlandii ten exodus zwany jest poetycznie „odlotem dzikich gęsi". Kolejnym szczytem emigracji była druga połowa XVIII w., kiedy to dziesiątki tysięcy Irlandczyków wyjechały do Ameryki. Gdy koloniści wypowiedzieli lojalność królowi Jerzemu III, Irlandczycy w szeregach armii George'a Washingtona mogli po raz pierwszy od czasów klęski nad Boyne odpłacić się angielskim okupantom. Nieco później bardzo wielu Irlandczyków „wchłonęła" rewolucja przemysłowa w Anglii. Takie industrialne ośrodki jak Glasgow, Manchester czy Londyn potrzebowały taniej siły roboczej do pracy w fabrykach i stoczniach.

Ponurą dla Irlandczyków cezurą były lata 1847–1850, kiedy wielka zaraza ziemniaczana przyczyniła się do głodu, który pochłonął ponad milion istnień ludzkich. Zieloną Wyspę opuściło wtedy

eprasa.pl 45fa4c575c

Wejście do EPIC – The Irish Emigration Museum
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/JKIELTY82/CC BY-SA 4.0

milion ludzi, czyli jedna czwarta ówczesnej ludności. Później jeszcze tysiące Irlandczyków, za swoje dążenia niepodległościowe, było deportowanych przez Anglików na Karaiby i do Australii.

Oblicza się, że w XIX w. 60 proc. emigrantów przybywających do Kanady pochodziło z Irlandii. W latach 1863–1869 3 tys. Irlandczyków budowało amerykańską kolej transkontynentalną. Synów Zielonej Wyspy było też sporo w czasie gorączki złota, która wybuchła w Kanadzie, USA i Australii w XIX w. Osobnym zjawiskiem była irlandzka emigracja do Argentyny. Szacuje się, że ok. miliona Argentyńczyków ma irlandzkie korzenie.

W latach 1914–1945 ok. 240 tys. Irlandczyków walczyło po stronie aliantów w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej. Po wojnie to tani robotnicy z Irlandii odbudowywali zbombardowane przez Luftwaffe Londyn, Coventry czy Birmingham. Wejście Irlandii do Unii Europejskiej w 1973 r. jeszcze bardziej ułatwiło wyjazdy w celu poszukiwania lepszego życia. Ostatnie dane mówią, że tylko w 2022 r. aż 89 tys. Irlandczyków wyjechało na stałe z wyspy w poszukiwaniu lepszej pracy.

Irlandzcy prezydenci

Wystawa w Dublinie uświadamia, że z wielowiekowej irlandzkiej emigracji wywodziło się wielu liderów politycznych na całym świecie. Przodków z Zielonej Wyspy miało trzech sygnatariuszy Deklaracji niepodległości USA z 1776 r. Na irlandzkich przodków mogło się powoływać aż 23 prezydentów USA i trzech ojców Kanadyjskiej Konfederacji. Irlandzkie korzenie mieli Patrice de Mac Mahon, prezydent Francji w latach 1873–1879. Synem Irlandczyka był Bernardo O'Higgins, ojciec niepodległości Chile. Irlandzkie korzenie miał też prezydent Meksyku Álvaro Obregón (1880–1928) i prezydent Argentyny Edelmiro Farrell (1887–1980). Irlandczykiem był także Ulysses Grant, głównodowodzący sił Unii w wojnie z konfederatami w amerykańskiej wojnie secesyjnej w latach 1861–1865.

Ale być może jeszcze ważniejszy od wpływu Irlandczyków na politykę był ich wpływ na kulturę i gusta w różnych częściach świata. Inspirację Irlandią wyczuwa się w muzyce ludowej Stanów Zjednoczonych, Australii czy Kanady. Bez wszechobecnych potomków rodów z Zielonej Wyspy nie powstałby fenomen popularności irlandzkiej whisky na całym świecie. To Irlandczycy nauczyli ludzi na całym świecie zalet „kultury pubowej" i to oni nauczyli wiele narodów irlandzkiego futbolu, curlingu i specyficznej irlandzkiej dyscypliny sportu Camogie (żeńskiej odmiany hokeja na trawie).

Osobny, mniej chlubny rozdział irlandzkiego wychodźstwa to irlandzcy gangsterzy w USA. Podobnie jak inni przedstawiciele emigracji – Włosi i Żydzi – Irlandczycy szybko zdobyli sławę szefów gangów monopolizujących szmuglowanie alkoholu w czasach prohibicji. Takie nazwiska jak Bill „Big" Dwyer, Arthur „Butchy" Doe czy Bernard „Bernie" McLaughlin wzbudzały strach w światku nielegalnych zakładów, zawodowego kidnapingu czy wymuszania haraczy na sklepikarzach i restauratorach. Irlandczycy przywieźli ze swej wyspy za ocean nawyk sięgania po broń i zasadę krwawej zemsty za swoje krzywdy. Na amerykańskiej ziemi doszła do tego żądza szybkiego wzbogacenia się. Co ciekawe, często z irlandzkimi gangami walczyli policjanci o takich samych korzeniach. Na przełomie wieków XIX i XX Irlandczycy stanowili bowiem najliczniejszą grupę etniczną w nowojorskiej policji.

Ofiary głodu. Grafika Jamesa Mahony'ego FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Dziś Irlandia przeżywa odwrotny proces, gdyż coraz większy napływ imigrantów wywołuje obawy wielu mieszkańców wyspy. W grudniu zeszłego roku Irlandczyków zaszokował atak z nożem w ręku algierskiego imigranta na dzieci w centrum Dublina. Incydent ten wywołał zamieszki, dochodziło do podpaleń i rabunku sklepów. W nocy z 16 na 17 grudnia 2023 r. doszło do podpalenia hotelu w miejscowości Rosscahill, który miał zostać przeznaczony na kwatery dla 70 uchodźców ubiegających się o azyl. Irlandczycy, którzy przez wiele stuleci sami emigrowali, teraz obawiają się napływu imigrantów z Afryki i krajów arabskich.

Oczywiście na wystawie nie ma mowy o tak aktualnych wydarzeniach. Organizacje praw człowieka i federacje wspierające emigrantów z lubością wypominają jednak Irlandczykom, że sami korzystając z prawa do emigracji, dziś odmawiają jej osobom, które chcą przedostać się na Zachód, aby polepszyć swój poziom życia. Na forach internetowych ten zarzut odpierany jest przez anonimowych Irlandczyków, którzy wskazują, że wyjeżdżając do innych krajów europejskich, szanowali obyczaje państw, które ich przyjęły, a wielu dzisiejszych imigrantów w Irlandii wcale nie ma ochoty na asymilację.

Oglądając ekspozycję na temat emigracji w Dublinie, pomyślałem o naszym Muzeum Emigracji w Gdyni. Na tle dublińskiego muzeum gdyńska ekspozycja jawi się jak szary Kopciuszek. Irlandczycy mówią o swojej przeszłości w sposób, który wciąga i który w subtelny sposób uzmysławia wpływ Irlandczyków na kulturę na całym świecie. I tej biegłości w opowiadaniu o swojej przeszłości synom Zielonej Wyspy należy zazdrości. Myślę, że możemy jeszcze wiele nauczyć się od Irlandczyków o tym, jak opowiedzieć o własnych, trudnych dziejach emigracji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Muzeum Emigracji w Dublinie mieści się w The CHQ Building, North Dock Dublin 1. Szczegóły na stronie: https://epicchq.com.

eprasa.pl 45fa4c575c

Historia ukryta w obrazie / Zgon w ciemnej wieży

Wojciech Gerson „Kiejstut i Witold"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MUZEUM SZTUKI W ŁODZI

Tajemnica śmierci Kiejstuta

Leszek Lubicki

Czy Władysław Jagiełło „maczał palce" w śmierci swojego stryja? Nie ulega wątpliwości, że to właśnie zwycięzca spod Grunwaldu najwięcej na niej skorzystał, zostając niekwestionowanym i jedynym władcą całej Litwy

Tak wróg jak przyjaciel wiedzieli, że świętem jest słowo Kiejstuta, że nad odwagę wyżej cenił tylko honor [...]. Natura gorąca a piękna, której nie brakło »skończoności«, bo po życiu bohaterskim miał śmierć tragiczną i wzruszającą" – tymi słowami opisał księcia litewskiego Kiejstuta, syna Giedymina, wybitny historyk Julian Kleczko (1901). Historia jego śmierci jest do dzisiaj zagadką nierozwiązaną i zapewne nigdy się nie dowiemy, jak było w rzeczywistości. To jakże istotne wydarzenie dla narodu litewskiego, i częściowo także naszego, jest u nas mało znane. Przyjrzymy się więc okolicznościom, w jakich zszedł z tego świata stary litewski książę i czy późniejszy zwycięzca spod Grunwaldu, Władysław Jagiełło, „maczał palce" w śmierci swojego stryja.

Obiecał wierność Jagielle

Po śmierci w 1377 r. wielkiego księcia litewskiego Olgierda Giedyminowicza wielkoksiążęcy stolec na Litwie obejmuje jego młody syn Jagiełło, a nie brat dotychczasowego władcy, doświadczony w bojach Kiejstut, najstarszy z rodu Giedymina. A walk wówczas nie brakowało. Tylko Krzyżacy w latach 1345–1382 dokonali 96 rejz, czyli napadów na Litwę. Litwini odpowiedzieli 42 wyprawami odwetowymi. Jeżeli to zsumujemy, to wyjdzie nam, że wojna była wówczas dla Litwy stanem permanentnym. I w tych warunkach Kiejstut po śmierci brata lojalnie uznał władzę Jagiełły, a nawet go wspierał, choć

eprasa.pl 45fa4c575c

ich główne cele były zgoła inne. Jagiełło dążył do pokoju z Krzyżakami, będąc zainteresowanym pobijaniem wschodu. Krzyżacy natomiast na zachodzie, gdzie zarządzał Kiejstut, chcieli opanować Żmudź, aby połączyć się z inflancką częścią zakonu. Kiejstut nie chciał do tego dopuścić i bronił tej części Litwy oraz swoich pogańskich bogów. Wojny te wyczerpały siły litewskich książąt.

W „Kronice Polaków" Miechowity czytamy, że „stryj Kiejstut odnosił się do niego [Jagiełły – przyp. red.] z takim samym posłuszeństwem i czcią, jak zwykł [traktować] jego ojca Olgierda, [i] często odwiedzał [jego] siedzibę oraz [mu] doradzał". Jednak później nie było już tak pięknie, jak to zapisał kronikarz. Knuł jeden przeciwko drugiemu, a i trzeci wszedł w ten spór – książę Witold, syn Kiejstuta, ten sam co tak znaczącą rolę odegrał w bitwie pod Grunwaldem. Ale było to dużo później. Teraz, już dwa lata po śmierci Olgierda, w końcu 1379 r., Kiejstut „zawarł z Krzyżakami 10-letni rozejm, nieobejmujący wszakże Żmudzi. W dyplomacji jednak panowie Malborka byli na pewno bardziej biegli od swoich litewskich przeciwników. Chętnie przyjmując propozycję chwilowych rozmów z Jagiełłą i Kiejstutem, wysłannicy Zakonu starali się prowadzić je w taki sposób, by jak najskuteczniej poróżnić młodego wiekiem księcia z jego stryjem. W lutym 1380 r. udało im się doprowadzić do tajnej umowy Jagiełły z mistrzem inflanckim Zakonu, przewidującej wstrzymanie ataków wzajemnych, ale nie ujmujących ani Żmudzi, ani posiadłości samego Kiejstuta" (Nowak, 2017).

W kolejnym roku Kiejstut doznaje dwóch najazdów Krzyżaków. Równocześnie bracia zakonni informują go o prowadzonych tajnych rozmowach z Jagiełłą. Stary książę uznaje zatem, że bratanek go zdradził. Wzywa swojego syna Witolda i namawia go do porzucenia Jagiełły. W tym czasie wojska młodego wielkiego księcia pod dowództwem jego brata Skirgiełły oblegają Połock. Sam Jagiełło przebywa w Wilnie. „Pod pozorem wyprawy na Krzyżaków [Kiejstut – przyp. red.] zebrał wojsko [...], ruszył na Wilno i znienacka opanował gród. Zaskoczony i bezbronny Jagiełło został ujęty wraz z matką i braćmi" (Krzyżaniakowa, Ochmański, 1990).

Kiejstut FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Jednak stary książę nie zamierza bratanka całkowicie wyeliminować. Pozbawia go tytułu wielkiego księcia. Sam natomiast przejmuje władzę nad całym Wielkim Księstwem Litewskim. Jagiełłę pod strażą wysyła do Witebska. Wydaje się, że to koniec władzy późniejszego króla Polski. Nic bardziej mylnego. Walka o przywództwo w rodzie Giedymina będzie trwała nadal. Kiejstut w tym czasie podejmuje dwie wyprawy na ziemie zakonne. Podczas drugiej dowiaduje się, że na Litwie rebelię przeciw niemu podniósł brat Jagiełły, Korybut. Rusza z wojskiem tłumić bunt na wschodzie. W tym samym czasie Jagiełło opuszcza Witebsk i rusza na Wilno. Ta strategia zapewne była umówiona przez dwóch braci. „Rządy Kiejstuta nie trwały długo. Mieszczanie wileńscy opanowali miasto i przekazali je Jagielle. Znowu syn Olgierda zdobył naczelną władzę na Litwie. Aresztował Kiejstuta oraz jego syna Witolda" (Barański, 2012). Dodajmy, że zaraz pod władzę Jagiełły przeszły dobrowolnie Troki, czyli stolica Kiejstuta i Witolda.

Uwięzienie Kiejstuta i Witolda

Aresztowanie Kiejstuta i jego syna Witolda odbyło się jednak podstępem. „Jagiełło w tym momencie swej kariery posunął się do najbardziej niegodnego podstępu" (Nowak, 2017). Przepiękny opis tego wydarzenia znajdujemy w kronice Barnarda Wapowskiego. Zacytujmy zatem dłuższy fragment z „Dziejów Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego" tegoż autora: „Gdy Kiejstut zjednoczywszy wojsko swoje z Witoldowem, pod Troki podstąpił i wobec nieprzyjaciela obóz rozłożył, Jagiełło mając już wydać hasło do bitwy, użalił się rozlewu krwi litewskiej, która, skoroby do walki przyszło, za klęską którejkolwiek strony, obficie płynąćby musiała, wezwał przez posła stryja Kiejstuta do układów; azaliby obecna walka na słusznych warunkach, zakończyć się nie dała? Na mocy dawniejszej przyjaźni i poufałej zażyłości, kazał upomnieć Witolda: aby ojca do pokoju skłaniał, oraz do obozu swego zapraszał, gdzie za wspólną namową, rzeczy, sprawiedliwie i dogodnie pojednają. Witold, po długiej z ojcem Kiejstutem naradzie, odpowiedział przez posła Jagielle, że jeżeli brata swego Skirgiełłę przyszle jako zakładnika, wówczas dla zawarcia pokoju do obozu przybędzie. Jagiełło po dojrzałym namyśle, dla spokojności Kiejstuta Skirgiełłę wyprawia, natychmiast więc i Witold do namiotu Jagiełły przyjeżdża, gdzie po różnych umowach, do tego na koniec przyszło: że Kiejstut Skirgiełłę w swoim obozie jako zakładnika zostawiwszy,

eprasa.pl 45fa4c575c

dla potwierdzenia już prawie zawartych warunków ugody, na mocy uroczyście danego słowa, podobnież uda się do namiotu Jagiełły. Kiejstut pragnąc pokoju i woląc, bez narażania się na wątpliwą walkę, rzeczy ułożyć, prócz tego zniewolony prośbami Skirgiełły i Witolda, nie domyślając się bynajmniej zdrady, przybył razem z synem Witoldem do obozu Jagiełły, lecz skoro przed jego obliczem stanął, Jagiełło wyćwiczony w zdradach krzyżackich, którzy największą część sił jego składali, Kiejstuta i Witolda, wojownikom swoim otoczyć i mimo wzywania Boga i ludzi na świadectwo swojej krzywdy, w kajdany okuć rozkazał. Witold pod ścisłą strażą odprowadzony do Wilna, książę Kiejstut łańcuchami i więzami skrępowany odwieziony do Krewa i tam wtrącony do ciemnej wieży, po pięciu dniach niewoli od nasłanych siepaczów, przez Proksze, cześnika Jagiełłowego uduszony został…".

Michał Elwiro Andriolli „Na dworze Kiejstuta"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. H. ŁOPACIŃSKIEGO W LUBLINIE

Kaźń księcia

Czy aby na pewno zabito starego księcia z rozkazu Jagiełły? Są jeszcze inne przypuszczania, jak zakończył życie Kiejstut. Przyjrzyjmy się im, poczynając od naszych najstarszych kronikarzy, którym ów konflikt nie umknął. Janko z Czarnkowa, żyjący jeszcze w czasie, gdy to wydarzenie miało miejsce, sprawę śmierci Kiejstuta widzi inaczej. Kronikarz pisał: „W tym więzieniu [w Krewie – przyp. red.] po niejakim czasie Kiejstut sam się, jak powiadają, udusił. Tym sposobem sława jego i cała dzielność, z którą się tak okrutnie przeciwko chrześcijanom srożył, została teraz obrócona w niwecz, za sprawą pychy, przez którą, wyzuwszy synowca, zagarnął sobie nienależące do niego księstwo litewskie". Czyli samobójstwo, i to jeszcze z poczucia winy. Niesamowite uzasadnienie! Natomiast największy nasz dziejopis Jan Długosz podaje, że „Kiejstuta zakutego w kajdany przewieziono do Krewa i związanego wrzucono na dno ciemnej i brudnej wieży. W końcu piątej nocy duszą go – krzyczącego, że ginie haniebną śmiercią z pogwałceniem prawa narodów i układów – podczaszy księcia Jagiełły Proksa, brat jego Bilgen oraz Mostew, Getkeo, Krewdów, Kuczuk i Lisica (którego obowiązkiem było rozpalanie ogniska i zapalanie światła na cześć boga Żywie) i inni. Zadanie to zlecił Jagiełło". Podobne stwierdzenie znajdujemy w „Kronice Polaków" Miechowity.

Mamy zatem dwie wersje śmierci starego księcia – zakończył życie z własnej ręki bądź został uduszony. Jeżeli dokonano na nim zbrodni zabójstwa, to mogło do niej dojść za wiedzą i być może z rozkazu Jagiełły bądź bez jego rozkazu, wiedzy i zgody. Przypuszczać możemy, że otoczenie wielkiego księcia samo chciało przypodobać się swojemu panu i wyręczyć go w tej niezręcznej sytuacji. Jak było faktycznie, pozostanie to na zawsze tajemnicą. Paweł Jasienica natomiast w „Polsce Jagiellonów", powołując się na badania prof. Stefana M. Kuczyńskiego, twierdzi, że w sprawę śmierci Kiejstuta nie należy włączać Jagiełły. „Śmierci starca pragnęły rozmaite sfery i czynniki – Krzyżacy, którzy w oficjalnych pismach zwali Kiejstuta »wściekłym psem«, niemieccy mieszczanie Wilna, bojarzy, rodzeństwo Jagiełły, a zwłaszcza okrutny Skirgiełło". Choć pewności nie mamy, to jednak ta opcja wydaje się najbardziej prawdopodobna. Wiemy, że Skirgiełło stał mocno przy Jagielle i wiedział dobrze, że jeżeli udusi stryja, to wiele problemów brata rozwiąże, a jemu, jako jedynemu, nic nie grozi z jego ręki, nawet w przypadku gdyby Jagiełło śmierci starego księcia nie pragnął. Żeby jednak nie było to zbyt proste, podajmy za cytowanym już prof. Andrzejem Nowakiem jeszcze jedną przyczynę zejścia z tego świata Kiejstuta. „Możliwa była także śmierć starca pod wpływem szoku, jakim stało się dla niego niespodziewane uwięzienie". Innymi słowy – udar, a może zawał serca? Jest to także możliwe, zważywszy na to, że miał on wówczas ponad 70 lat, na czasy średniowiecza wiek rzadko spotykany. Poza tym to człowiek umęczony wojowniczym życiem. Jak widzimy, wiele jest przypuszczeń, a prawda na zawsze pozostanie nierozwiązaną tajemnicą. Jedno jest jednak pewne. Najwięcej korzyści ze śmierci stryja wyniósł Jagiełło, zostając niekwestionowanym i jedynym władcą całej Litwy. Wyprawił mu na ko-

Pieczęć Kiejstuta

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 45fa4c575c

niec piękny pochówek według obyczaju przodków, paląc jego zwłoki na stosie w szatach książęcych wraz z rynsztunkiem i jego końmi. „Świetnym pogrzebem żegnała Litwa swego bohatera, ostatniego władcę pogańskiego" (Krzyżaniakowa, Ochmański, 1990). Nie tylko zakończył wówczas życie stary książę, lecz także – jak trafnie ujął to Ludwik Kolankowski – „wraz z jego śmiercią wybiła ostatnia godzina i litewskim bogom". A to oznaczało, że przed Litwą otwierał się nowy, przełomowy okres. Śmierć bohaterskiego i walecznego księcia Kiejstuta w 1382 r. rozpoczyna samodzielne wielkoksiążęce rządy Jagiełły na całej rdzennej Litwie. Zaczyna się upragniony spokój. Jest on jednak tylko pozorny, bo żyje przecież odrzucony i pozbawiony ojcowizny Kiejstutowicz, książę Witold. Po śmierci ojca zostaje on wraz z żoną i dzieckiem przewieziony do Krewa. Według latopisu litewskiego „żona Witolda Litwinka Anna w obawie, by jej męża nie spotkał ten sam los, co Kiejstuta, namówiła go, aby, gdy przyjdą żonki układać ją do snu, ubrał szaty jednej z nich, a z drugą wyszedł w przebraniu niewieścim. Witold spróbował szczęścia i powiodło mu się całkowicie. Gdy umówiona żonka zajęła jego miejsce, on sam spuścił się z grodu i umknął aż na Mazowsze" (Krzyżaniakowa, Ochmański, 1990).

Lubimy i darzymy estymą naszego najdłużej panującego w Polsce króla, zwycięzcę spod Grunwaldu, założyciela potężnej dynastii Jagiellonów. Natomiast na Litwie nie jest już tak miło, gdyż – jak zauważa Jerzy Sperka – Jagiełło „w litewskiej historiografii występuje jako morderca Kiejstuta i zdrajca, który sprzedał kraj Polakom. W Wilnie, gdzie jego dziadowi Giedyminowi w 1996 r. postawiono okazały pomnik na najważniejszym placu miasta, Jagiełło ma ledwie małą uliczkę. Natomiast Witolda w okresie międzywojennym uhonorowano pomnikiem na jednej z głównych ulic w Kownie" („Władcy Polski", 2018).

Zdrada, zbrodnia i władza

Opowieść tę ilustrujemy obrazem Wojciecha Gersona „Kiejstut i Witold więźniami Jagiełły". Wspomnieliśmy wyżej, że wydarzenie to jest u nas mało znane. Jednak w trzeciej ćwierci XIX stulecia poświęcił mu swój pędzel ten znany warszawski malarz. Dlaczego zdecydował się przypomnieć epizod z XIV w., który tylko pośrednio dotyczył dziejów Polski? Jego malarstwo historyczne koncentrowało się przede wszystkim na przypominaniu wydarzeń dotyczących bezpośrednio naszego kraju. Poza tym nawiązując do tego tematu – jak zauważa współczesny nam biograf artysty Piotr Kopszak – malarz „stawia w dwuznacznym świetle postać przyszłego polskiego króla […]. Czy Gerson chciał odbrązowić władcę, który zapisał się w zbiorowej pamięci przede wszystkim jako zwycięzca spod Grunwaldu? To mało prawdopodobne. Mogło mu raczej chodzić o artystyczne ujęcie dramatycznej sytuacji i konfliktu między pokoleniami".

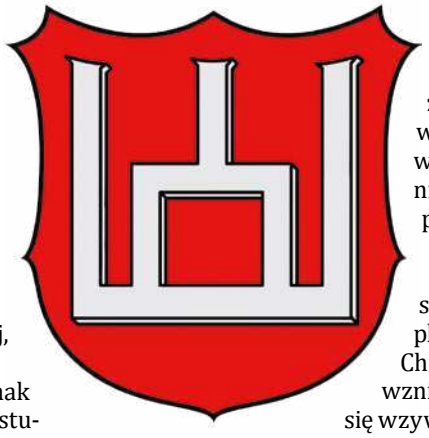

Herb Giedyminowiczów

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ARZ/BEGOON

Być może artysta chciał podważyć legendę króla Polski, jednak musielibyśmy wówczas założyć, że nie przepadał za twórcą drugiej dynastii na polskim tronie. Gerson jednak, wielki polski patriota, raczej takiego celu nie miał. Nie można odrzucić również hipotezy, że chciał tym obrazem przypomnieć współczesnym, że często w czasach średniowiecza zdobywało się pełnię władzy poprzez zbrodnię na rywalu do tejże władzy, nierzadko także w wyniku zdrady. W tym natomiast przypadku chodziło także o cele wyższe niż wyłącznie książęcy stolec – chrystianizację Litwy, a tym samym „wejście do Europy", czemu Kiejstut był całym sobą przeciwny. Z żyjącym starym księciem taka opcja nie wchodziła w grę. Na obrazie jednak kaźni Kiejstuta nie zobaczymy, o ile oczywiście doszło wówczas do zbrodni. Gerson ukazał nam chwilę, która miała miejsce kilka dni przed śmiercią stryja Jagiełły.

Na zakończenie przedstawmy ciekawą ocenę krytyka podpisującego się inicjałami F.T., która została opublikowana w „Tygodniku Ilustrowanym" (1874, nr 331) niemal natychmiast po publicznej prezentacji obrazu: „W obrazie p. Gersona po jednej stronie pierwszy plan zajmuje Kiejstut. Chmurny starzec, z ręką wzniesioną w górę, zdaje się wzywać zemsty nieba na zdrajców, których przemocy pada ofiarą. Przed nim, w postaci klęczącej Witold, zakrywający twarz ręką, z wyrazem rozpaczy i żalu, że skłonił ojca do zaufania Jagielle. Obok Witolda żona jego Anna ręką i wzrokiem błaga o litość. Poza Kiejstutem zabierający się do zakucia go w kajdany Tatarzyn, którego powstrzymuje brat Jagiełły, Wigand. W głębi dwaj inni synowie Kiejstuta, Patryk i Zygmunt. Po drugiej stronie obrazu siedzą rzędem stronnicy Jagiełły, książęta: Korybut, Włodzimierz, Lichwen i Korygieł. W głębi obrazu, na wzniesieniu przy książęcym krześle, Jagiełło z groźbą i niepokojem trzymając za rękojeść szabli, oczekuje wypełnienia swych rozkazów. Po za nim cześnik Proksza, z miną zausznika, usiłuje widocznie utrzymać Jagiełłę w raz powziętym postanowieniu, przypominając mu głównych pomocników, krzyżaków [w oryginale pisanych małą literą – przyp. red.], których widać poza drzwiami namiotu. Ogólne wrażenie obrazu osłabia nieco zbyt spokojne przedstawienie sceny, tak wysoce dramatycznej, a może i ta okoliczność, że właśnie i zdrady, zwykłe pomiędzy Olgierdowiczami, nie budzą w widzu ani wielkiej sympatyi dla jednej, ani wielkiego oburzenia przeciw drugiej stronie. Nosił wilk, ponieśli i wilka. Przytem Jagiełło, wystawiony tu niekorzystnie, jest dla nas, bądź co bądź, postacią zupełnie sympatyczną".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA LITERATURA:

Barański M.K., ***„Historia Polski średniowiecznej"***, *Warszawa 2012; Kleczko J.*, ***„Unia Polski z Litwą"***, *Kraków 1901; Kolankowski L.*, ***„Polska Jagiellonów"***, *Olsztyn 1991; Krzyżaniakowa J., Ochmański J.*, ***„Władysław II Jagiełło"***, *Wrocław 1990; Maciorowski M., Maciejewska M.*, ***„Władcy Polski"***, *Warszawa 2018; Nowak A.*, ***„Dzieje Polski"***, *t. 3, Kraków 2017; Ochmański J.*, ***„Historia Litwy"***, *Wrocław 1990.*

eprasa.pl 45fa4c575c

Róg Nowego Światu i Świętokrzyskiej, Warszawa, zima 1940 r. FOT. NAC

Druga wojna światowa / Czystki w szeregach Związku Walki Zbrojnej

Major Kruk – Strzelecki musi odejść

Marek Gałęzowski

Polityczna zemsta objęła piłsudczyków konspiratorów, nawet gdy byli krytyczni wobec własnego obozu rządzącego po maju 1926 r.

Nie ma przesady w stwierdzeniu, że decydującą rolę w budowie wojska w podziemiu, które 82 lata temu stało się Armią Krajową, odegrali dawni żołnierze Legionów Polskich i Polskiej Organizacji Wojskowej, w międzywojniu zwykle zawodowi oficerowie WP, żeby wymienić tylko generałów Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza i Stefana Roweckiego. Z tych najważniejszych formacji niepodległościowych wywodzili się też ich współpracownicy, tworzący zręby wojskowej konspiracji, jak chociażby Marian Kozielewski. Starszy brat słynnego emisariusza, bardziej znanego pod nazwiskiem Karski, „zapamiętały piłsudczyk, wierny ukochanemu Komendantowi", był w konspiracji organizatorem i pierwszym komendantem Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa, czyli podziemnej policji.

Ale może najważniejsza rola wśród tych oficerów, podległych obu pierwszym komendantom ZWZ-AK, przypadła mjr. Tadeuszowi Krukowi-Strzeleckiemu. To pod jego kierownictwem „powstał zrąb późniejszego, silnie rozbudowanego BIP-u" – jak pisał najlepszy znawca dziejów Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK Grzegorz Mazur. Niewątpliwie była to jedna z najważniejszych struktur nie tylko konspiracji wojskowej, lecz także w ogóle Polski podziemnej, z jej sztandarowym wydawnictwem – „Biuletynem Informacyjnym".

Rozliczenia w cieniu terroru

Udział piłsudczyków w tworzeniu struktur wojskowych konspiracji, a w istocie fundamentów Polskiego Państwa Podziemnego, był naturalny – wynikał z ich głębokiej ideowości, patriotyzmu i chęci służenia Polsce. Wywołał

eprasa.pl 45fa4c575c

jednak gwałtowną reakcję stronnictw politycznych w kraju i rządu na uchodźstwie, zarzucających kierownictwu Służby Zwycięstwu Polski, a następnie Związku Walki Zbrojnej sanacyjną proweniencję.

Było to o tyle nieuzasadnione, że żaden z tych dawnych legionistów i peowiaków nie tylko nie przynależał do kierownictwa obozu rządzącego Polską, określanego w społeczeństwie pejoratywnym mianem sanacyjnego, lecz także wielu przejawiało mniej czy bardziej wyraźną postawę krytyczną wobec coraz liczniejszych rozwiązań autorytarnych, niezgodnych z demokratyczną tradycją tego środowiska (jak okazujący wyrazy sympatii ruchowi ludowemu gen. Tokarzewski-Karaszewicz).

Miarą postawy tych piłsudczyków było chociażby to, że pozostali oni w okupowanym kraju, chociaż wielu mogło go przecież opuścić we wrześniu 1939 r. Zarzuty wobec nich były zresztą czasem absurdalne, jak choćby ten, że budują oni organizację na wzór POW. Nie dostrzegano, że POW miała charakter powszechny i z założenia apolityczny, a przynależność do niej nie była równoznaczna z zajmowaniem później stanowisk w sanacyjnym aparacie władzy. Jak zauważył Tomasz Szarota, „nawiązywanie do POW było zupełnie naturalnym sięganiem do doświadczeń ostatniej, żywej jeszcze w pamięci polskiej konspiracji" i to decydowało o popularności nazwy, przyjętej przez liczne organizacje, powstałe w pierwszych miesiącach okupacji niemieckiej i sowieckiej.

Gwałtownej reakcji wobec piłsudczyków w podziemnym wojsku nie tonowała nawet dramatyczna sytuacja kraju, poddanego masowemu terrorowi, a pogłębiona jeszcze przez klęskę Francji, która przerwała nadzieje szybkiego zakończenia wojny i wyzwolenia Polski spod okrucieństwa okupantów. Część piłsudczyków usunięto z organizacji lub przesunięto na mniej eksponowane stanowiska. Skrajnym przykładem tych działań było wyznaczenie gen. Tokarzewskiego-Karaszewicza na komendanta konspiracji pod okupacją sowiecką. Był on tam bowiem osobą powszechnie znaną, co czyniło jego misję niemożliwą; nie dotarł zresztą do Lwowa, aresztowany w czasie przekraczania granicy przez Sowietów. Wkrótce zmuszono do odejścia z ZWZ jeszcze m.in. Henryka Józewskiego, Adolfa Abrama i Zygmunta Hempla. Z przekąsem wspominał o usuwaniu tych uczciwych, oddanych sprawie patriotów nawet niechętny piłsudczykom płk Jan Rzepecki, pisząc o „pokątnych informatorach", którzy „ich rolę i znaczenie widocznie odmalowali takimi barwami, że gen. Sikorski uznał za stosowne na wiosnę 1940 r. żądać usunięcia ich z szeregów".

Ataki polityczne nie ominęły także gen. Roweckiego. W jednym z dokumentów kierowanych do władz polskich na uchodźstwie nazwano go „manekinem w rękach ludzi politycznych". Wśród tych zaś na pierwszym miejscu wymieniono mjr. Tadeusza Kruka-Strzeleckiego. Działacze stronnictw politycznych w okupowanym kraju uznali go za przedstawiciela „reżimu sanacyjnego" i zażądali od władz polskich na uchodźstwie nie tylko odsunięcia od pełnionych funkcji, lecz także w ogóle wykluczenia z ZWZ. W tym wypadku gen. Władysław Sikorski zareagował znacznie ostrzej niż w opisanych wyżej przypadkach. Dwukrotnie wydał on polecenie usunięcia Kruka-Strzeleckiego z ZWZ, uważając to za konieczne – jak twierdził – do zachowania apolitycznego charakteru podziemnego wojska. Tak wyraźnie okazana determinacja sugerowałaby, że Strzelecki był co najmniej sanacyjnym ministrem, gorliwie zwalczającym opozycję polityczną w kraju.

Michał Tokarzewski-Karaszewicz

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Okryty ranami, ze wstążką Virtuti

Tadeusz Strzelecki należał do pokolenia tych, którzy urodzeni w ostatnich latach XIX stulecia angażowali się w działalność na rzecz niepodległości Polski od szkolnej ławy. Najpierw jako zastępowy w tajnej drużynie skautowej im. Waleriana Łukasińskiego w Częstochowie, a po wybuchu wojny legionista I Brygady o pseudonimie Kruk, który później stał się częścią jego nazwiska. Ranny w 1915 r. pod Konarami nie wrócił już na front i został oddelegowany jako instruktor do Okręgu Częstochowskiego POW. Mógł wówczas dokończyć naukę gimnazjalną; zdał maturę, a wśród członków komisji egzaminacyjnej był m.in. wybitny później historyk filozofii Władysław Tatarkiewicz. W POW „Kruk" osiągnął świetne wyniki organizacyjne, z czasem został p.o. komendantem okręgu, wziął udział w rozbrojeniu Niemców w pamiętnym listopadzie 1918 r. i wstąpił do WP.

Zdolny konspirator nie poszedł jednak na front – czy może raczej pozostał na froncie podziemnym. W połowie następnego roku skierowano go na okupowaną przez bolszewików Ukrainę, gdzie objął zastępstwo komendanta KN 3. POW w Kijowie i szefa wywiadu jej Wydziału Wojskowego. Chociaż jako „królewiak" nie znał terenu, to energia i zdolności organizacyjne szybko pozwoliły mu na stworzenie dywersji na tyłach Armii Czerwonej. Po zreorganizowaniu Okręgu Żytomierskiego POW stanął na czele powołanego i wyszkolonego przez siebie Polskiego Oddziału Partyzanckiego, który błyskawicznie rozrósł się z kilku do ok. 200 żołnierzy, w tym Ukraińców. Dezorganizował on rezerwy bolszewickie w rejonie Żytomierza, Berdyczowa, Winnicy i uniemożliwiał wykorzystanie ich na froncie polskim. 5 sierpnia 1919 r. pod Berezówką w rejonie Żytomierza „Kruk" został ciężko ranny, dalej jednak dowodził oddziałem i wkrótce pod Pokostówką rozbił sześciokrotnie liczniejszy oddział bolszewickiej kawalerii, którego niedobitki wznieciły panikę w Żytomierzu,

eprasa.pl 45fa4c575c

jeszcze tego samego dnia opuszczonego przez bolszewików.

Strzelecki bił się przeciw Armii Czerwonej i w następnym roku, na czele sformowanego przez siebie Konnego Oddziału Lotnego Dywizji Ochotniczej płk. Adama Koca (z którego wywodził się późniejszy 24. Pułk Ułanów im. Hetmana Wielkiego Koronnego Stanisława Żółkiewskiego). Najpierw pod Grodnem, a następnie na tyłach bolszewickich pod Wilnem i Trokami, w których to bojach został ranny. Nagrodą za męstwo były Virtuti Militari i Krzyż Walecznych (dwukrotny).

Po zakończeniu wojny pozostał w „dwójce", ale mimo wybitnych lub bardzo dobrych ocen wkrótce przeniesiono go do rezerwy. Powodem był zatarg z szefem Sztabu Generalnego po ujawnieniu inwigilacji byłych legionistów – oficerów WP. „Kruk" próbował następnie działalności gospodarczej, m.in. w Związku Handlowym Rolników Polskich, później prowadził własne przedsiębiorstwo, które padło ofiarą wielkiego kryzysu lat 30. Warto też wspomnieć, że położył duże zasługi w rozwoju radiofonii w Polsce, zakładając jedno z pierwszych towarzystw radiofonicznych Inter-Radio, popularyzował również upowszechnianie radiofonii w szkołach oraz w świetlicach wojskowych.

W 1933 r. Kruk-Strzelecki objął stanowisko p.o. dyrektora Domu Żołnierza w Warszawie. Jeden z jego przełożonych, mjr Jan Styliński, pisał, że wyróżniały go „bardzo duży zmysł organizacyjny, świetna znajomość całokształtu gospodarki, wysoka sumienność i obowiązkowość. Jako Kierownik Placówki Oświatowej wykazał zupełnie odpowiednie wartości moralne, duże zamiłowanie w pracy obywatelskiej nad żołnierzem, znajomość jego duszy i potrafił sobie zyskać poważanie i posłuch wśród nich. Jest jednostką o wysokim poczuciu godności narodowej i państwowej".

Współtwórca Służby Zwycięstwu Polski

W ostatnich dniach września 1939 r., kiedy stolica Polski jeszcze broniła się przed Niemcami, gen. Tokarzewski-Karaszewicz zaproponował siedmiu wybranym oficerom WP budowę organizacji podziemnej. Był wśród nich mjr Kruk-Strzelecki, po wybuchu wojny powołany do służby w Dowództwie Obrony Warszawy (i wkrótce za okazane męstwo ponownie odznaczony Krzyżem Walecznych). W powstającej konspiracji otrzymał polecenie utworzenia Oddziału Politycznego, zajmującego się propagandą i informacją prasowo-polityczną. Zaprzysiężony w połowie października w pierwszej grupie członków SZP przez płk. Roweckiego pod pseudonimem Szczepan objął kierownictwo Oddziału Politycznego Dowództwa Głównego SZP, który wiosną 1940 r. przybrał nazwę Biura Informacji i Propagandy KG ZWZ. Szczególną rolę odegrał przy stworzeniu struktur Biura, sekretariatu i działającej w jego ramach komórki łączności wewnątrzorganizacyjnej oraz Wydziałów Wydawniczego i Prasowego BIP. W końcu grudnia 1939 r., wraz z mjr. Wacławem Berką, opracował projekt zapotrzebowania SZP na radiowy sprzęt nadawczo-odbiorczy. Poza tym wraz z Roweckim był również reprezentantem ZWZ w Politycznym Komitecie Porozumiewawczym, skupiającym przedstawicieli głównych stronnictw politycznych w kraju, a jesienią 1940 r., wspólnie ze Stanisławem Kauzikiem i gen. Roweckim, uczestniczył w opracowywaniu Instrukcji Ogólnej, jednego z pierwszych dokumentów walki cywilnej.

Tadeusz Kruk-Strzelecki FOT. SPMK.EU

Mimo wybitnych lub bardzo dobrych ocen wkrótce przeniesiono go do rezerwy. Powodem był zatarg z szefem Sztabu Generalnego

„Ten pierwszy, pionierski okres działalności BIP-u KG miał w jego dziejach zasadnicze znaczenie. Dzięki bowiem podjętym wtedy pracom organizacyjnym i planistycznym powstała baza, która po niewielkich zmianach strukturalnych na przełomie lat 1940/1941 oraz dalszej rozbudowie w latach następnych stała się podstawą do sprężystej i pełnej rozmachu działalności aparatu BIP-u KG ZWZ-AK" (Grzegorz Mazur).

Mimo tych osiągnięć, wskutek wspomnianych już nacisków, w październiku 1940 r. mjr Kruk-Strzelecki musiał odejść z BIP. Został przeniesiony na stanowisko kierownika komórki „specjalnych prac historyczno-statystycznych dla Terenów Zachodnich" Szefostwa Biur Wojskowych KG ZWZ, w której przygotowywano materiały dotyczące Śląska i Prus Wschodnich na powojenną konferencję pokojową. Rowecki sprzeciwił się jednak usunięciu go z ZWZ. W meldunku do gen. Kazimierza Sosnkowskiego z końca 1940 r. wskazał na niesprawiedliwość kierowanych pod adresem „Szczepana" zarzutów, które uznał za „złośliwe i fałszywe":

„Mjr K.S. przed wojną był majorem urzędnikiem MSWojsk. – a nie politykiem. Od pierwszego dnia obrony Warszawy walczył w szeregach wojska. Stanął w ZWZ na stanowisku jemu wyznaczonym i pełnił swe obowiązki wg najlepszych zawsze chęci, w warunkach nieustannego narażenia przez ciągłe rozmowy i kontakty z politykami i organizacjami wojskowo-niepodległościowymi. Na wiadomość o niezadowoleniu Centrali z jego pracy prosił o zwolnienie go ze stanowiska szefa BIP-u i użycie go na odcinku pracy ściśle wojskowej […]. Rozkaz jego zwolnienia z szeregów ZWZ zaskoczył mnie i jest w kolizji z regulaminem przyjmowania i zwalniania członków ZWZ […], gdzie jedynie na podstawie określonych przewinień mogę zwolnić członka z zaszczytnych szeregów ZWZ. W wypadku podtrzymania

eprasa.pl 45fa4c575c

rozkazu zwolnienia mjra K.S. z szeregów ZWZ proszę o podanie jego przewinień, pozwalających mi na przeprowadzenie formalnych dochodzeń, uzasadniających konieczność zwolnienia. Muszę podkreślić, że przywiązuję tu w Kraju specjalne znaczenie moralne do sposobu i powodów zwalniania żołnierzy z naszych szeregów w toku walki, którą prowadzimy. Niezręczne w tej mierze posunięcie może łatwo podważyć zasady wiary i zaufania podwładnych do przełożonych, co mścić się będzie potem na sprawności i wartości naszego wojska konspiracyjnego".

W dalszej części meldunku gen. Rowecki kategorycznie stwierdzał: „Nie rozumiem zupełnie ustępu o zwolennikach mjra K.S. Mjr K.S. ani żaden z moich oficerów nie prowadzi własnej polityki, jest żołnierzem w szeregach ZWZ, który tak jak inni wykonuje ściśle wydane rozkazy".

Interwencja gen. Roweckiego nie przyniosła jednak efektu i organizator Biura Informacji i Propagandy został zmuszony do odejścia z ZWZ.

Tadeusz Kruk-Strzelecki (pierwszy z prawej) w prezydium kursu dla kierowników Wydziałów Wychowania Obywatelskiego Organizacji Przysposobienia Wojskowego FOT. NAC

Za Polskę do Auschwitz

Major włączył się teraz w działalność polityczną piłsudczyków, zainicjowaną przez swojego byłego podkomendnego z BIP kpt. Hempla, z nim współzałożył pismo konspiracyjne „Myśl Państwowa", a w październiku 1942 r. – Konwent Organizacji Niepodległościowych. Już w następnym miesiącu został jednak aresztowany przez Niemców i uwięziony na Pawiaku. „Z przyjemnością przyjrzałem się temu zdrowemu, beznerwowemu człowiekowi. Niewątpliwie oskarżano go o udział w tajnej organizacji wojskowej, wie, co mu grozi, a jednak nie tracił animuszu" – wspominał Kruka-Strzeleckiego współwięzień, Adam Grzymała-Siedlecki (chociaż – jak przypuszczał pierwszy biograf majora, Andrzej K. Kunert – być może trafił on na Pawiak pomylony z płk. Leonem Strzeleckim). Niemcy raczej nie orientowali się w skali jego wcześniejszej działalności i po przeszło roku major został zwolniony, ale wkrótce znów znalazł się na Pawiaku, a w końcu kwietnia 1943 r. został wywieziony do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Potem przeszedł jeszcze lager w Oranienburgu.

Oswobodzony w ostatnich dnia wojny przez Amerykanów przebywał później w Polskim Obozie Wojskowym w Maczkowie, angażując się w działalność organizacji społecznych na terenie okupowanych przez aliantów zachodnich Niemiec, m.in. jako sekretarz generalny Związku Byłych Więźniów Politycznych Niemieckich Obozów Koncentracyjnych i wiceprezes Rady Naczelnej Zjednoczenia Polskiego w Niemczech.

Ostatnie lata życia mjr Tadeusz Kruk-Strzelecki spędził w Wielkiej Brytanii, gdzie zmarł w 1951 r. na angina pectoris (dławicę piersiową), na którą ten weteran Legionów i POW zapadł w Auschwitz. Kawaler Virtuti Militari, ale przede wszystkim Krzyża Niepodległości z Mieczami – odznaczenia przyznawanego nielicznym, za wybitne zasługi w odzyskaniu utraconej państwowości – współtwórca podziemnej armii w okupowanym przez Niemców i Sowietów kraju, którego usunięcia z niej tak usilnie, z gorliwością lepszej sprawy, domagał się z Londynu Naczelny Wódz, gen. Władysław Sikorski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.

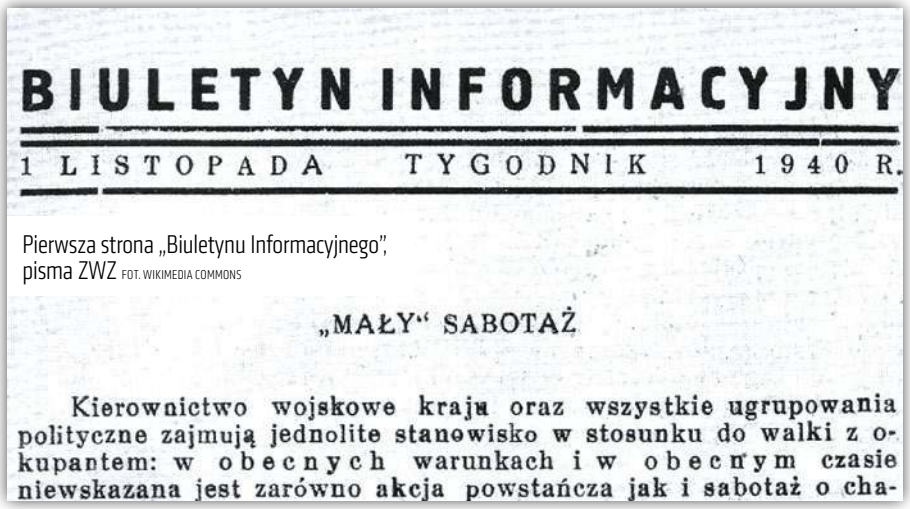

BIULETYN INFORMACYJNY

1 LISTOPADA TYGODNIK 1940 R.

„MAŁY" SABOTAŻ

Kierownictwo wojskowe kraju oraz wszystkie ugrupowania polityczne zajmują jednolite stanowisko w stosunku do walki z okupantem: w obecnych warunkach i w obecnym czasie niewskazana jest zarówno akcja powstańcza jak i sabotaż o cha-

Pierwsza strona „Biuletynu Informacyjnego", pisma ZWZ FOT. WIKIMEDIA COMMONS

eprasa.pl 45fa4c575c

XVI–XIX w. / Kompania Wschodnioindyjska

Perła Albionu

Statki Kompanii Wschodnioindyjskiej na redzie portu w Bombaju. Obraz Samuela Scotta FOT. COMMONS WIKIMEDIA/NATIONAL MARITIME MUSEUM

Grzegorz Janiszewski

Potęga Anglii zbudowana została na dalekim subkontynencie dzięki spółce, której działalność ogromnie wpłynęła także na losy reszty świata. Bez Kompanii Wschodnioindyjskiej najpewniej nie powstałby globalny kapitalistyczny system ekonomiczny

Anglia w XVI w. była niezbyt zamożnym, rolniczym państwem na peryferiach Europy, trawionym przez dynastyczny konflikt. Do tego dochodziły kłopoty ze Szkotami, Walijczykami i Irlandczykami. Dla pogrążonego w matrymonialnym szaleństwie i obsesyjnie pragnącego zapewnić sukcesję Tudorom Henryka VIII receptą miała być nowa, własna religia. Jednak anglikanizm, czerpiący z katolicyzmu i protestantyzmu, tylko oddalił Anglię od Europy. Kraj, który jeszcze niedawno był jednym z głównych graczy na kontynencie, teraz wysyłał pirackie statki, żeby łupiły flotę wrogiej Hiszpanii.

Podczas jednej z takich podróży podążający za wyładowanymi złotem i srebrem hiszpańskimi galeonami Francis Drake dopłynął do Moluków. Od sułtana Baab Ullaha dostał tam egzotyczne przyprawy, którymi załadował swoje statki. Kiedy wrócił w 1580 r. do Anglii, zysk z ich sprzedaży wyniósł kilkaset procent. Angielscy kupcy zrozumieli, że handel z Dalekim Wschodem może opłacić się im bardziej niż podboje terytorialne i korsarskie wyprawy.

Już za czasów Henryka VIII angielska flota powiększyła się dziesięciokrotnie, ale nadal nie mogła równać się z ówczesnymi morskimi potęgami – Hiszpanią i Portugalią, które strzegły swojego monopolu na oceaniczny handel. Szczęście jednak sprzyjało Anglikom. Klęska hiszpańskiej Wielkiej Armady w 1588 r. podmyła hiszpańską pozycję na morzu. Angielscy kupcy mogli zacząć myśleć o prawdziwej ekspansji. Sprzyjały im wyspiarskie położenie i liczne porty, a także niekonwencjonalne używanie floty. Hiszpanie swoje państwowe okręty traktowali głównie jako wehikuły do przewozu piechoty. Prywatne angielskie statki były wykorzystywane jako narzędzie do walki, strzelające do przeciwnika pełną burtową salwą z dział na pokładzie. Jak pokazała przyszłość – zupełnie słusznie. Klucz do światowego imperium leżał – czy też pływał – na morzach i oceanach.

Niemoralne spółki

Angielscy kupcy mieli już gotowy instrument umożliwiający bezpieczne zebranie kapitału potrzebnego na takie wyprawy. Pierwowzór spółki akcyjnej – wynalazek epoki Tudorów – umożliwiał rozdzielenie zarządzania przedsiębiorstwem od jego finansowania. Inwestując cudzy kapitał, łatwiej było wysyłać statki na drugi koniec świata. Zyski mogły być ogromne, ale równie dobrze można było stracić wszystko. Potrzebne było jeszcze królewskie pozwolenie.

Panująca w Anglii Elżbieta I wahała się, nie chcąc wpływać na negocjacje pokojowe między Anglią i Hiszpanią w toczącej

eprasa.pl 45fa4c575c

się wojnie osiemdziesięcioletniej. Angielskim kupcom, niemającym szerszego wsparcia arystokracji, pozostawało jedynie czekać. W końcu 31 grudnia 1600 r. królowa wydała kartę dla Kompanii Wschodnioindyjskiej. Korona desperacko potrzebowała pieniędzy, a tych mogła dostarczyć nowa spółka. Oprócz zwolnienia z cła towarów przywiezionych podczas pierwszych sześciu wypraw i przyznania monopolu na handel z Dalekim Wschodem karta pozwalała na samodzielną administrację zdobytymi terenami i tworzenie własnego wojska.

Początkowo Kompania próbowała skupiać się na sprowadzaniu przypraw z Moluków. Nie miała jednak szans z działającymi tam od lat Holendrami. Po kilku przegranych starciach Anglicy postanowili przerzucić się na mniej lukratywny handel tekstyliami z Indiami. Pierwszy statek Kompanii zawinął do portu w Suracie w sierpniu 1608 r.

Pod panowaniem Wielkich Mogołów ówczesne Indie rozkwitały. Mogolski cesarz był najbogatszym monarchą na świecie. Wydajne rolnictwo potrafiło wykarmić jedną piątą światowej populacji żyjącej wówczas na subkontynencie. Eksport produkowanych w Indiach tekstyliów zapewniał kapitał, którego wystarczało nie tylko na administrację i ogromną, czteromilionową armię, lecz także na budowę pereł architektury, takich jak Tadż Mahal, kanałów nawadniających i zamawianie dzieł sztuki. Kolorowe i wzorzyste bawełniane tkaniny, z których słynęły Indie, były pokusą nie do odparcia dla Anglików, wciąż chodzących w przyciężkich, trudnych do prania i gryzących ubraniach z wełny. Nowe wzory przywożone z Indii szybko stawały się krzykiem mody, w czym można się doszukiwać początków europejskiej kultury konsumpcyjnej. W pierwszym okresie działalność Kompanii była niezwykle zyskowna. W latach 1601–1612 stopa zwrotu wynosiła nawet 150 proc.

Handluj, dziel i rządź

Dotychczasowe europejskie podboje kolonialne często były dziecinnie proste. Prymitywni tubylcy łatwo ulegali najeźdźcom posługującym się wyszkoloną kawalerią i bronią palną. W przypadku potężnego państwa Mogołów nie wchodziło to w grę. Kompania musiała prosić o zgodę na handel. Zgadzało się to zresztą z jej ówczesną filozofią. Zarząd podkreślał, że w odróżnieniu od Portugalczyków czy Holendrów woli negocjować kontrakty niż walczyć. Do roku 1647 założono 23 forty i faktorie handlowe, w tym dzisiejsze Madras i Kalkutę. Tej filozofii trzymano się prawie do końca XVII w., kiedy w 1681 r. gubernatorem Kompanii został agresywny merkantylista Josiah Child. Kiedy Mogołowie odmówili przyznania Anglikom generalnego przywileju handlowego, Child doprowadził do wojny, wzywając posiłki z Anglii. Desanty szybko zostały zniszczone na brzegu. Anglicy zaczęli blokadę morską, ale Hindusi w odpowiedzi przystąpili do niszczenia fortów i faktorii Kompanii. Child musiał się szybko ukorzyć, przepraszając cesarza na kolanach. Jednak oprócz wysokiej grzywny Kompanii nie spotkała żadna kara. Od 1690 r. handel znowu kwitł w najlepsze.

James Lancaster FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Urzędnik Kompanii Wschodnioindyjskiej przyjmuje petenta. Akwarela Dipa Chanda FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Okazja do skolonizowania Indii nadarzyła się wkrótce. Cesarz Aurangzeb w odróżnieniu od swoich poprzedników nie był tolerancyjny dla stanowiących większość ludności wyznawców innych religii niż islam. Niszczono świątynie, budując w ich miejscu meczety, rygorystycznie egzekwowano prawo szariatu i podatki nakładane na niewiernych. Wybuchały bunty, krwawo tłumione przez mogolskie wojsko. Prawie 30 lat trwała wojna z hinduskimi Marathami, którzy stworzyli własne państwo w środkowych Indiach. Nabrzmiałe konflikty po śmierci cesarza w 1707 r. doprowadziły do rozpadu Indii na wiele walczących ze sobą państewek. Część prowincji formalnie tylko uznawała władze w Delhi. Korzystając z zamętu, w 1739 r. kraj najechali Persowie. W tym czasie Kompania miała w Indiach zaledwie cztery placówki handlowe – w Bombaju, Kalkucie, Cuddalore i Madrasie. Podobne posiadali Francuzi, Portugalczycy i Holendrzy, konkurujący o handlowe przywileje u lokalnych władców. Europejczycy walczyli ze sobą w rytm wojen prowadzonych na Starym Kontynencie. Coraz większego znaczenia nabierały ich miejscowe siły zbrojne.

Podczas wojny o sukcesję austriacką w 1746 r. Francuzi zajęli Madras. W czasie walk o jego odzyskanie, a także w obronie miasta Arcot odznaczył się młody urzędnik Kompanii, który właśnie uciekł z francuskiej niewoli – Robert Clive. W 1752 r. zmusił Francuzów do kapitulacji pod Tricinopolu, a trzy lata później został wicegubernatorem w brytyjskim forcie w Cuddalore.

Podczas wojny siedmioletniej, w czerwcu 1757 r., pod wioską Palasi w zachodnim Bengalu Clive pokonał armię Mogołów. Sprzymierzeni z nimi Francuzi zostali wyeliminowani z rywalizacji o Indie, a droga do podporządkowania ich Kompanii stanęła otworem.

Mniejszym państwom, wyczerpanym walkami, brakowało pieniędzy na administrację i żołd dla żołnierzy. Wykorzystywała to Kompania, zagarniając terytoria i władzę. Po pokonaniu trzech

eprasa.pl 45fa4c575c

Okręty Kompanii Wschodnioindyjskiej niszczą chińskie żaglowce podczas pierwszej wojny opiumowej. Obraz Edwarda Duncana

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

mogolskich przywódców w bitwie pod Buxar w październiku 1764 r. Clive wynegocjował z cesarzem tzw. firman, który oddawał wschodnią część Indii we władanie Kompanii.

Mając takie narzędzia, Brytyjczycy szybko zaczęli wprowadzać swoje porządki. Podnieśli podatki trzykrotnie, nie bacząc na słabe zbiory spowodowane trwającą suszą. Konsekwencją był głód, z liczbą ofiar szacowaną na 7–10 mln (jedna trzecia populacji Bengalu).

Globalne efekty

Wtedy też okazało się, że Kompania i jej interesy mogą dosłownie wpływać na losy świata. Głód w Bengalu w 1770 r. sprawił, że wartość Kompanii Wschodnioindyjskiej gwałtownie spadła. Spowodowało to panikę na giełdzie i w bankach, które pożyczały pieniądze na kupno akcji. Zbankrutowało osiem banków w Londynie i 20 na kontynencie, a także kilkaset przedsiębiorstw. Wielu akcjonariuszy straciło swoje domy i posiadłości, nie mogąc spłacić pożyczek, pod które zastawili nieruchomości.

Sama Kompania utraciła płynność finansową, a Bank Anglii nie chciał udzielić jej nowego kredytu. Szansą była sprzedaż zalegających w angielskich magazynach 18 mln funtów herbaty amerykańskim koloniom. Przyjęta w 1773 r. ustawa The Tea Act zezwalała Kompanii na eksport herbaty do Ameryki bez ceł i podatków. Mieli je zapłacić koloniści, dotychczas pijący herbatę tańszą, bo szmuglowaną głównie przez Holendrów. Przelało to czarę goryczy w sprawie „opodatkowania bez reprezentowania" i doprowadziło do słynnej „bostońskiej herbatki" w grudniu 1773 r., a w konsekwencji do wybuchu wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Mimo tego Kompania rozwijała swoją działalność. Jej statki zawijały do zamykanych dla cudzoziemców portów Chin i Japonii. Państwo Środka miało wiele do zaoferowania – herbatę, jedwab, porcelanę, za które trzeba było płacić srebrem. Chińscy kupcy zainteresowani byli głównie bronią i zegarami. Powodowało to deficyt handlowy w obrotach z Europą. Pod koniec XVIII w. cały brytyjski eksport do Chin stanowił zaledwie jedną szóstą wartości kupionej tam herbaty. Urzędnicy Kompanii za pośrednictwem podstawionych kupców zaczęli więc wysyłać do Chin opium z własnych upraw. W drugą stronę płynęło srebro. Od opium uzależniło się ok. 2 proc. społeczeństwa, ale groźniejsze były konsekwencje dla panującej dynastii Qing i państwa. Uzależniali się urzędnicy i żołnierze z gwardii przybocznej cesarza, administracja brała kolosalne łapówki za przymykanie oczu na przemyt. Wieś groziła wybuchem – ubożejący rolnicy musieli wymieniać zarobione miedziaki na drożejące srebro, którym opłacali podatki. Chiński rząd zmusił brytyjskich kupców do wydania opium i zaprzestania handlu nim. Ci, zagrożeni utratą dochodów, wezwali na pomoc Royal Navy. Wybuchła pierwsza wojna opiumowa, zakończona w sierpniu 1842 r. podpisaniem traktatu nankińskiego. Zezwalał on europejskim kupcom na szeroki handel w Chinach. Wielka Brytania uzyskała Hongkong. Władzę w południowych Chinach przejęły w praktyce mafijne triady, a państwo straciło na wiele lat szanse na modernizację, pogrążając się w marazmie.

Działania Kompanii miały też przemożny wpływ na wojny napoleońskie i światowy porządek będący ich wynikiem. To głównie dzięki środkom czerpanym z Indii Wielka Brytania mogła stawić czoła niemal całej opanowanej przez Napoleona Europie, a nawet wspomagać finansowo sojuszników. Zwycięstwa nad Napoleonem utrwaliły brytyjskie panowanie na subkontynencie indyjskim, a sprzedaż Luizjany Stanom Zjednoczonym przez będącego w potrzebie Napoleona znacznie umocniło młode amerykańskie państwo i pchnęło je do sformułowania doktryny „Objawionego Przeznaczenia", którą do dzisiaj kierują się USA.

Ostatecznie to Wielka Brytania, a później Ameryka stały się światowymi hegemonami, narzucającymi anglosaską wizję świata zamiast napoleońskiej. Jak pisała prof. Emily Ericsson z Uniwersytetu Yale: „Nie można zrozumieć globalnego porządku politycznego bez zrozumienia roli Kompanii. Gdyby Anglia nie stała się wtedy tak potężna, nie powstałby dzisiejszy globalny kapitalistyczny system ekonomiczny. Zmieniła się w nowoczesną, przemysłową siłę i narzuciła własną wizję produkcji i zarządzania reszcie świata, włącznie z północną Ameryką. To był kamień węgielny nowoczesnego liberalnego porządku na świecie".

Nowoczesna grabież

Wielka Brytania stała się światowym liderem głównie dzięki rewolucji przemysłowej, na co potrzebne były duże nakłady finansowe. Środki na przemianę z co prawda dobrze rozwiniętego, ale wciąż rolniczo-manufakturowego państwa w potęgę napędzaną parą i elektrycznością zostały w praktyce zrabowane w Indiach. Nawet angielskie słowo „loot", oznaczające grabież, pochodzi z hindi.

Jak obliczała marksistowska historyk Utsa Patnaik, w latach 1765–1938 Wielka Brytania wyciągnęła z Indii – w przeliczeniu na dzisiejszą wartość – prawie 45 bln dol., czyli 17 razy więcej niż dzisiejsze roczne PKB Wielkiej Brytanii. Przy czym ok. jednej trzeciej podatków płaconych przez indyjskich poddanych Jego/Jej

eprasa.pl 45fa4c575c

Królewskiej Mości wykorzystywane było do zakupu indyjskich towarów, przeznaczonych na rynki brytyjskie. Brytyjskie towary mogły być z kolei sprzedawane w Indiach bez ceł i podatków. Nawet po zlikwidowaniu monopolu Kompanii na handel z Indiami wszystkie transakcje i tak przechodziły przez centrum finansowe stworzone w Londynie, zasilając metropolię, a nie peryferie.

Dla potrzeb spekulacji giełdowych, niezbędnych do pozyskiwania kapitału na wyprawy po egzotyczne przyprawy, herbatę, jedwab i porcelanę, wymyślono kontrakty terminowe, zakup opcji i krótką sprzedaż, czyli instrumenty będące podstawą współczesnego obrotu na parkietach całego świata. Anglicy do tradycyjnych form własności dodali nowe, rewolucyjnie zwiększające kapitalizację przedsięwzięć, takie jak akcje, ubezpieczenia czy własność intelektualna, które później rozwinęli Amerykanie.

Kompania została w końcu pokonana własną bronią. Oderwanie kapitału od zarządzania oznaczało również oderwanie od moralności. Poczynania Kompanii i wybryki jej urzędników w Chinach były szeroko komentowane w brytyjskim parlamencie i opisywane w prasie. Kompania korumpowała parlamentarzystów swoimi akcjami. Zyski z nich dochodziły do 40 proc. Jednak brytyjski system polityczny działał. Przeciwnicy polityczni akcjonariuszy potrafili doprowadzić do publikacji w prasie parlamentarnych sprawozdań z kontroli Kompanii, zawierających często drastyczne opisy poczynań jej urzędników. Opisywano ich bezduszność w czasie głodu w Bengalu czy rozstrzeliwanie z armat buntowników. Wyedukowane i zalfabetyzowane społeczeństwo potrafiło to dostrzec, co wpływało na decyzje przy urnach wyborczych. Kompania, jak na spółkę przystało, regularnie też przechodziła kryzysy związane ze spekulacją jej akcjami.

Jej uprawnienia były stopniowo ograniczane przez parlament. W 1783 r. przyjęto India Act, formalnie włączający administrowane przez Kompanię ziemie pod kontrolę Korony. W 1813 r. spółka straciła monopol na handel z Indiami, a w 1833 r. z Chinami. Gwoździem do trumny było powstanie sipajów – miejscowych żołnierzy Kompanii – które wybuchło w Indiach w 1857 r. Trwający dwa lata bunt spustoszył północne Indie i pokazał, że dalsze komercyjno-administracyjne zarządzanie krajem przez Kompanię nie ma już sensu. W 1858 r. władzę przejęła Korona, tworząc tzw. Indie Brytyjskie, a sama Kompania została ostatecznie zlikwidowana w 1874 r. na mocy ustawy East India Stock Divident Redemption Act.

Spotkanie Roberta Clive'a z Mirem Jafarem po bitwie pod Palasi

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/NATIONAL PORTRAIT GALLERY

Przełożyć zwrotnice dziejów

Kompania miała jednak nie tylko cienie, lecz także blaski, z biegiem lat skutecznie przykurzane przez potępianie kolonializmu. To kartografowie Kompanii stworzyli dokładne mapy subkontynentu i zmierzyli wysokość Mount Everestu i K2. Spółka na zlecenie rządu wzięła udział w tworzeniu potężnej sieci kolejowej, która do dzisiaj ma podstawowe znaczenie w systemie transportowym Indii. W 1817 r. w Kalkucie powstał Hindu College, oferujący dla zamożnych Hindusów kształcenie na europejskim poziomie. Angielski od połowy XVIII w. wypierał urzędowy perski, stając się językiem elit, a także zwykłych ludzi. Do dzisiaj jest używany jako lingua franca dla mówiących ok. 400 różnymi językami mieszkańców subkontynentu. Edukacja i język są również dzisiaj znaczącą przewagą Hindusów, którzy bez kompleksów podejmują pracę w innych częściach globu.

Z punktu widzenia człowieka Zachodu najważniejszym osiągnięciem Kompanii było przekierowanie strumienia bogactw. Od czasów Imperium Rzymskiego płynął on z indywidualistycznej Europy w kierunku „hydraulicznych" cywilizacji Wschodu, osiągających niewyobrażalne bogactwa z kolektywnej pracy mas za przysłowiową miskę ryżu. Kompania dzięki śmiałości swoich urzędników i żołnierzy tudzież stosowanym innowacjom potrafiła ów trend odwrócić, walnie przyczyniając się do opanowania świata przez – jakby nie było – wolnościową i indywidualistyczną kulturę anglosaską. Odbyło się to wysokim kosztem, ale przebiegli Anglicy, wzorem Lorda Farquaada, byli wówczas gotowi na takie poświęcenie Hindusów. W myśl starego porzekadła kupców z Kompanii – „Jeśli nie zrobimy tego my, to zrobi to ktoś inny". Patrząc choćby na dzisiejsze zmagania amerykańsko-chińskie, można dojść do wniosku, że dla Zachodu nie było to bynajmniej najgorsze rozwiązanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45fa4c575c

1759–1848 / Agrippa Hull

William Ranney „Bitwa pod Cowpens" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

„Afrykański książę" i Kościuszko

Łukasz Czarnecki

W trakcie służby w Ameryce przyszły naczelnik insurekcji nawiązał niezwykłą przyjaźń ze swoim czarnoskórym ordynansem

W bibliotece w Stockbridge, mieście w Zachodnim Massachusetts, obejrzeć można wiszące na ścianie portrety jego słynnych synów. Wśród galerii pełnej białych mężczyzn wyróżnia się jedna postać – elegancko ubrany w strój z pierwszej połowy XIX w. siwowłosy czarnoskóry jegomość. To Agrippa Hull, miejscowa legenda, czarnoskóry uczestnik wojny o niepodległość.

Przedstawiony na konterfekcie mężczyzna w latach 30. i 40. XIX stulecia cieszył się w okolicy niemałą sławą, stanowiąc żywy łącznik z chwalebną przeszłością. Lokalna prasa stawiała czarnego wolnego farmera za wzór do naśladowania dla młodzieży.

„Jeśli jesteście młodzi, bierzcie przykład z tego człowieka, a będziecie żyli wiele lat na ziemi i będziecie się cieszyć każdym rokiem" – pisał jeden z redaktorów w roku 1841.

Z kolei Catherine Sedgwick, córka lokalnego prawnika i kongresmena Thomasa Sedgwicka, u którego nasz bohater pracował przez wiele lat jako kamerdyner, opisywała Hulla jako jednego z najbardziej szanownych rolników w okolicy. Sam zainteresowany, który przeżył zarówno swoją pierwszą żonę, jak i czworo spłodzonych z nią dzieci, będąc już dobrze po osiemdziesiątce, mówił, że w pewnym sensie jest ojcem dla mieszkańców całego miasteczka. Pamięć o nim przetrwała przez pokolenia.

Co ciekawe, losy Agrippy Hulla splotły się z historią Polski. W trakcie rewolucji amerykańskiej służył u boku utalentowanego młodego oficera z Rzeczypospolitej, który nie mogąc znaleźć sobie miejsca w chylącej się ku upadkowi ojczyźnie, przeprawił się za Atlantyk. Człowiekiem tym był Tadeusz Kościuszko.

Przez większość wojny o niepodległość amerykańskich kolonii Agrippa Hull służył Kościuszce jako ordynans. Wspólne znoszenie niedoli, długie marsze i praca przy fortyfikacjach kolejnych powstańczych redut zbliżyły do siebie czarnoskórego chłopaka i starszego odeń o pokolenie Polaka. Więź, która między nimi wykuła się w ogniu wojny, okazała się niezwykle silna. Hull przez resztę życia wracał wspomnieniami do czasów służby u boku Kościuszki, które zapamiętał jako najwspanialszy okres w swoim życiu.

eprasa.pl 45fa4c575c

Agrippa Hull przyszedł na świat w roku 1759 w Northampton jako syn pary wyzwolonych niewolników. Nad jego pochodzeniem unosi się mgła tajemnicy, przyszły ordynans polskiego bohatera przez całe życie twierdził, że jest synem afrykańskiego księcia. Czy była to tylko próba przydania sobie znaczenia, desperacki krok człowieka, którego niesprawiedliwy system odsuwał na margines społeczeństwa? Mogłoby się tak wydawać, ale z drugiej strony sąsiedzi Hulla pamiętali go jako człowieka, któremu obca była wszelka fanfaronada, za to obdarzonego wielkim poczuciem własnej godności.

Hull nie miał w zwyczaju płaszczyć się przed kimkolwiek i na wszelkie próby dokuczania mu ze względu na kolor skóry reagował ciętym dowcipem. Nie wahał się bronić swojego honoru nawet przed ludźmi o wiele możniejszymi od siebie. Mieszkańcy Stockbridge zapamiętali choćby, jak któregoś dnia, już jako mężczyzna w średnim wieku, Hull towarzyszył na mszy w lokalnym kościele swojemu pracodawcy – Thomasowi Sedgwickowi. Traf chciał, że w tej konkretnej parafii pastorem był (co stanowiło ewenement) Lemuel Haynes – mulat – syn niewolnika i szkockiej kobiety, który wyrwał się z niewoli, zdobył doskonałe wykształcenie i w końcu zyskał święcenia, z czasem zdobywając sławę dzięki swej mądrości i działaniu w ruchu abolicyjnym. Kiedy po zakończonej mszy Sedgwick wraz z Hullem opuszczali świątynię, zagadnął służącego kpiącym tonem

– Jak ci się podobało kazanie czarnucha?

– On jest w połowie czarny, a w połowie biały. Moja połowa mi się podobała, a pańska? – odpowiedział Hull.

Kiedy Sedgwick, początkowo wspierający ruch na rzecz wyzwolenia czarnych, z czasem zmienił poglądy o 180 stopni, były ordynans Kościuszki nie wahał się porzucić posady u niego, koncentrując się całkowicie na uprawie

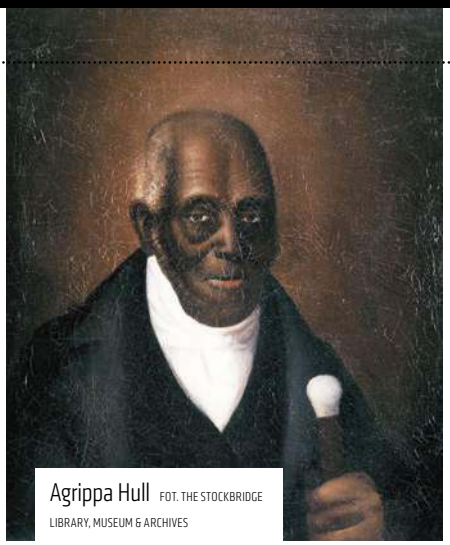

Agrippa Hull FOT. THE STOCKBRIDGE LIBRARY, MUSEUM & ARCHIVES

ziemi, którą latami kupował za pieniądze zarobione w służbie.

Za wolność

Po wybuchu rewolucji amerykańskiej młody Hull, któremu do 18. rodzin brakowało jeszcze trzech tygodni, zaciągnął się do oddziału ochotników ze Stockbridge (gdzie po śmierci ojca mieszkał wraz z matką i ojczymem). Wielu czarnoskórych mieszkańców kolonii w toczącej się wojnie widziało szansę na uzyskanie wolności. Jedni zasilali oddziały buntowników, inni (liczniejsi) dawali się skusić obietnicy brytyjskiego rządu, że każdy niewolnik, który będzie walczył pod królewskim sztandarem, otrzyma wolność. Hull nie miał takich dylematów, urodził się już jako człowiek wolny, a w rodzinnym domu robiło mu się już trochę za ciasno. Z nowym mężem matki nie potrafił się dogadać, a rebeliancka armia kusiła obietnicą przygody i żołdu.

Niestety, szybko okazało się, że Hullowi nie będzie dane walczyć z bronią w ręku za amerykańską wolność (jak się później przekonał, obejmującą tylko białych, w tym właścicieli niewolników) z tego prostego powodu, że na uzbrojenie… nie było go stać. Zgodnie z ustawą o milicji, stanowiącej podstawę formowania amerykańskiej armii, każdy zgłaszający się do punktu werbunkowego żołnierz musiał przynieść ze sobą kompletne wyposażenie, w skład którego wchodziły zarówno utensylia (np. manierka), broń (muszkiet) czy narzędzia do budowania umocnień (topór). Kongres zobowiązał się ochotnikom zwrócić wydane na ten cel pieniądze, tyle że jak się to wszystko zsumowało, okazywało się, że aby walczyć za ojczyznę, śmiały patriota potrzebował całkiem sporej sumy – 20 funtów (w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze: 2 tys. dol.). Hull, którego rodzina żyła biednie, takich pieniędzy oczywiście nie miał. Jednak i dla niego znalazło się miejsce w szeregach rebeliantów, choć możliwe, że funkcja, którą przydzielono młodzieńcowi, nie nastroiła go optymistycznie do wizji ustroju społecznego przyszłych USA. Uczyniono go bowiem… służącym (lub używając terminów wojskowych – ordynansem) gen. Johna Patersona.

Zaledwie tydzień po zaciągu miało miejsce spotkanie,

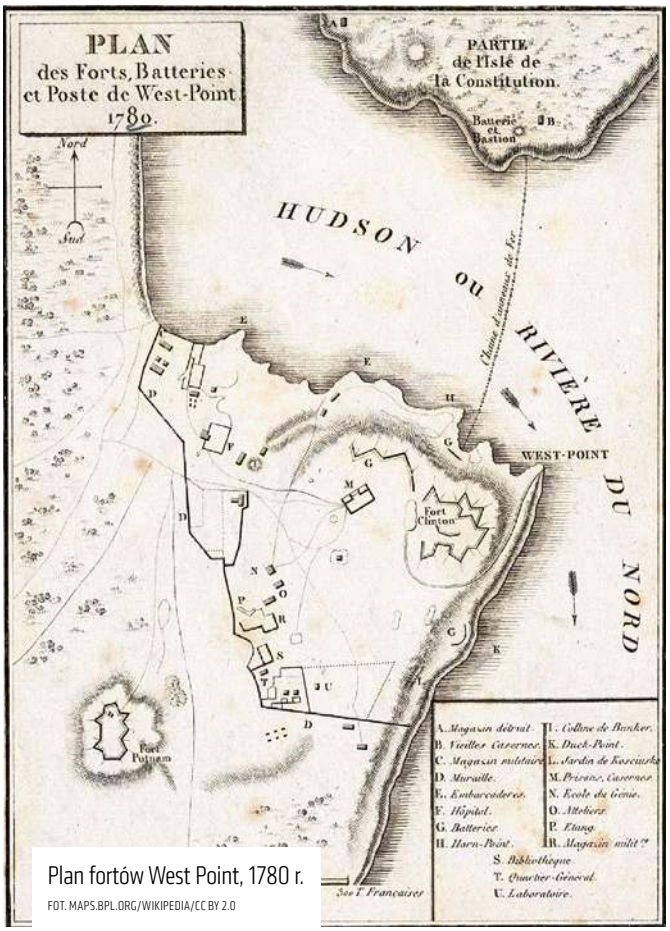

Plan fortów West Point, 1780 r. FOT. MAPS.BPL.ORG/WIKIPEDIA/CC BY 2.0

eprasa.pl 45fa4c575c

które zadecydowało o dalszym życiu Hulla, i choć on sam prawdopodobnie nigdy nie zdał sobie z tego sprawy, to mogło wpłynąć też na dzieje Polski. Podając gościom Patersona kolację w Forcie Ticonderoga, młodzieniec jeden z talerzy postawił przed trzydziestokilkuletnim mężczyzną o charakterystycznym zadartym do góry nosie, który w trackie rozmowy przy stole posługiwał się dość nieporadną angielszczyzną z akcentem, którego Hull nigdy jeszcze nie słyszał – Tadeusz Kościuszko całkiem niedawno podjął służbę w armii zbuntowanych kolonistów.

Co Hull pomyślał o gościu z Polski w trakcie ich pierwszego spotkania, nie wiadomo, prawdopodobnie młody ordynans nie wiedział nawet za bardzo, gdzie owa Polska leży. O stosunkach między tymi dwoma mężczyznami przez następne dwa lata nie wiemy nic, ale jako że Paterson zaprzyjaźnił się z Kościuszką, z którym służyli przez pewien czas wspólnie w ufortyfikowanym przez Polaka West Point, zapewne okazji do kolejnych kontaktów nie brakowało. W maju 1779 r. amerykański generał oddelegował swego ordynansa do służby u boku polskiego inżyniera. Następnie 50 miesięcy działań wojennych Hull spędził właśnie z Kościuszką.

Hulanka Hulla

Codzienność obozowego życia wyglądała przygnębiająco. Zarówno Paterson, jak i inni dowódcy raz za razem słali błagania do Kongresu o pieniądze i wyposażenie. Ich żołnierze nie tylko nie dostawali żołdu, lecz także – jak donoszono w alarmujących listach – nie mieli się nawet w co odziać, brakowało tak podstawowych rzeczy, jak buty, koszule czy pończochy. Dawny zwierzchnik Hulla wprost pisał, że znaczna część jego ludzi chodzi na wpół naga i nie nadaje się przez to do walki. Szerzyły się dezercja i defetyzm, a zrozpaczeni żołnierze nie mogli się nawet upić na smutno, bo alkoholu też nie było pod ręką.

Na szczęście w samym West Point, gdy już zakończono główne prace inżynieryjne, sytuacja przestała wyglądać tak dramatycznie. Fort, który później miał stać się najsłynniejszą amerykańską akademią wojskową, stanowił dowód geniuszu inżynieryjnego Polaka.

Fort, który później miał stać się najsłynniejszą amerykańską akademią wojskową, stanowił dowód geniuszu inżynieryjnego Polaka

W West Point wydarzyła się historia, którą Agrippa Hull lubił opowiadać do końca życia. Pewnego dnia przyszły naczelnik powstania wyjechał na kilka dni, by dokonać inspekcji okolicznych umocnień. W chacie, którą zajmował, zostawił naszego bohatera, przykazując mu, by miał baczenie na jego rzeczy. Hull specyficznie podszedł do tego zadania. Najpierw ustawił na stole cały dostępny w kwaterze pułkownika alkohol, potem zadbał o zakąski, a następnie zaprosił wszystkich innych czarnych – wolnych i niewolników, pracujących w fortecy. Zaczęła się dzika hulanka, nikt nie wylewał za kołnierz, butelki z mocnym trunkiem pustoszały, ale na tym jeszcze ułańska fantazja czarnoskórego ordynansa się nie kończyła. Ponieważ miał on klucze do kufrów przełożonego, czym prędzej zrobił z nich pożytek i wyjąwszy polski mundur, przyodział się weń, na głowę założył czapkę rogatywkę z pękiem piór i tak ruszył w tany. Do pełnego kompletu brakowało tylko oficerskich butów, ale te Kościuszko wziął ze sobą, wyjeżdżając na inspekcję. Jednak potrzeba matką wynalazków i bosy Hull wysmarował sobie nogi czernidłem, tak że mogły one z powodzeniem odgrywać rolę oficerek. Żart ten bardzo spodobał się współbiesiadnikom, którzy ze śmiechem wznosili toasty za „generała Kościuszkę", jak tytułowali teraz swego gospodarza.

Pomnik Tadeusza Kościuszki w West Point

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/AHODGES7

Tymczasem prawdziwy Kościuszko dojechał do rzeki Hudson i stwierdziwszy, że jest ona zbyt wzburzona, by móc się przez nią przeprawić, zawrócił na kwaterę. Gdy zbliżał się do swej chaty, zapewne zadziwiły go dobywające się z jej wnętrza śpiewy i wiwaty. Jeszcze bardziej zaskoczyło go to, że przed wyjściem i wychodzącymi na zewnątrz oknami ktoś ustawił… parawan. Zbity z tropu Polak zeskoczył z konia i zerknął do wnętrza budynku... Chwilę poobserwował balangę, śmiejąc się w kułak z tych harców, po czym sam wskoczył do środka.

W tym momencie zapadła wielka cisza. Chwilę po niej słychać było wrzask przerażonych biesiadników, którzy rzucili się do ucieczki. Jeden z biografów Patersona, który poświęcił temu incydentowi trochę miejsca w życiorysie generała, skwitował cały ten chaos słowami: „[…] gdyby Szatan pojawił się między nimi, nie uciekaliby w większym przerażeniu".

Sam Agrippa Hull, przekonany, że dowódca wygarbuje mu skórę, padł przed nim na ziemię, wołając: „Wychłostaj mnie, zabij mnie, panie; zrób ze mną, co chcesz, panie generale".

Kościuszko odparł krótko:

„Powstań, książę. Nie godzi się afrykańskiemu księciu padać na twarz przed kimkolwiek".

Wypowiedziawszy te słowa, nasz rodak ku zaskoczeniu Hulla przepił do niego, a potem popijali już razem przy jednym stole, sprosiwszy na imprezę pozostałych oficerów.

Na południe!

W sierpniu 1780 r. Tadeusz Kościuszko wyjechał do Karoliny Północnej, gdzie miał dołączyć do oddziałów gen. Horatia Gatesa. W drodze towarzyszył mu

Waszyngton odznacza Kościuszkę Orderem Cyncynata. Tempera Michała Stachowicza

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

wierny ordynans. Kiedy bowiem Polak ogłosił, że rusza na południe, i zapytał służących oficerom ordynansów, kto chce mu towarzyszyć, Hull zgłosił się jako jedyny. Młodzieniec zdążył już całym sercem pokochać swojego dowódcę.

Wyprawa do Karoliny Północnej okazała się morderczym wyczynem. Polak jechał konno z innymi oficerami, ale Hull szedł pieszo. Nim dotarli do celu, miał już całkowicie zdarte buty. W obozie gen. Gatesa powitał ich zatrważający widok – panowała totalna nędza, a żołnierze cierpieli na brak właściwie wszystkiego. Kościuszko i jego ordynans dzielnie wypełniali jednak swoje obowiązki, polski oficer już nie tylko tworzył umocnienia, lecz także prowadził swoich ludzi do bitwy. I choć jego ordynans nie dostał broni do ręki, to czekała go równie ciężka praca – skierowany został do lazaretu, gdzie przytrzymywał miotających się rannych, którym chirurdzy odcinali kończyny.

Kolejne trzy lata, aż do zakończenia działań wojennych, Kościuszko i Hull pozostawali nierozłączni. Gdy w końcu siły rewolucjonistów odniosły zwycięstwo, a ostatni brytyjscy żołnierze opuścili teren Stanów Zjednoczonych, nastał czas rozstania również dla naszych bohaterów. Polak prosił Agrippę, by popłynął z nim do Polski, ale jego ordynans był już zmęczony wielkim światem. Choć ubóstwiał swojego generała, to marzył mu się powrót do cichego Stockbridge. Przyszły naczelnik, który sam tęsknił za domem, w pełni rozumiał te uczucia. Żegnając się z wiernym towarzyszem, dał mu na pamiątkę inkrustowany złotem pistolet, którzy przywiózł ze sobą do Ameryki z Warszawy. Hull zachował tę pamiątkę aż do śmierci i pokazywał ją równie chętnie, co opowiadał o swoich przeżyciach u boku Kościuszki, zawsze kończąc wspomnienia o polskim oficerze słowami: „Zaprawdę to był wspaniały człowiek". Dane im było spotkać się jeszcze raz w roku 1797, kiedy nasz rodak ponownie przyjechał do USA. Na wieść, że ukochany generał jest w Nowym Jorku, Hull czym prędzej wyruszył w drogę. Po 14 latach rozłąki przyjaciele znów mogli cieszyć się swoich towarzystwem.

Niewykluczone, że to właśnie znajomość z Hullem zainspirowała Kościuszkę do sporządzenia w swej ostatniej woli zapisu mającego posłużyć wyzwoleniu, wyedukowaniu i zapewnieniu środków do życia jak największej liczbie amerykańskich niewolników. Niestety, testament ten nigdy nie został zrealizowany. Wyznaczony na jego wykonawcę Thomas Jefferson, sam posiadający niewolników, gestem Piłata umył po śmierci Polaka ręce i sprawa pozostawionych przez naszego rodaka tysięcy dolarów przeleżała w sądach następne kilkadziesiąt lat. Żadna z osób, do których miały trafić te pieniądze, nie zobaczyła z nich ani centa. Niewykluczone również, że wzbudzone przez kontakt z Agrippą refleksje na temat losu czarnych niewolników Kościuszko rozciągnął potem na żyjących w równie strasznych warunkach polskich chłopów pańszczyźnianych. Jeśli tak, to „Uniwersał połaniecki" do pewnego stopnia zawdzięczał swoje powstanie pracowitemu i dowcipnemu czarnemu farmerowi, który przez dekady uprawiał swoją rolę w Stockbridge, w wolnym czasie zabawiając sąsiadów swoimi opowieściami o polskim generale.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 45fa4c575c

Żołnierze z 10. Inter-Allied Commando w akcji

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/LAWS, G (SGT), ARMY FILM AND PHOTOGRAPHIC UNIT

Książka miesiąca / Tajny brytyjski oddział

Żydowscy komandosi Churchilla

Teoretycznie ta kompania nigdy nie powinna zostać powołana przez brytyjską armię. Jej żołnierze byli bowiem – oficjalnie – wrogami Wielkiej Brytanii. Większość z 87 komandosów z kompanii X pochodziła przecież z III Rzeszy – w tym z anektowanej przez nią Austrii – która toczyła właśnie z Brytyjczykami wojnę na śmierć i życie. W praktyce trudno byłoby jednak znaleźć na Wyspach żołnierzy, którzy byliby bardziej zmotywowani do walki z Niemcami. „Wszyscy nie mogliśmy się doczekać zabijania" – wspominał później Peter Terry, jeden z komandosów.

Kompania X wchodziła w skład 10. (Międzyalianckiego) Commando. Tworzyły ją następujące kompanie: 1. (francuska), 2. (holenderska), 3. (brytyjska), 4. (belgijska), 5. (norweska), 6. (polska) i 7. (jugosłowiańska). Dlaczego w składzie jednostki składającej się z obcokrajowców znaleźli się Brytyjczycy? Była to oczywiście tylko przykrywka. W rzeczywistości 3. kompania „brytyjska" złożona była z żydowskich uciekinierów z Europy kontynentalnej (głównie z III Rzeszy), dla których niemiecki był pierwszym językiem. Prawdę na temat składu osobowego tej kompanii znała bardzo wąska grupa osób. Chodziło oczywiście o bezpieczeństwo żydowskich żołnierzy. Dołączając do jednostki, porzucili swoją dotychczasową tożsamość i przybrali brytyjskie imiona i nazwiska, a wraz z nimi musieli się nauczyć swojego nowego życiorysu. Ponieważ mieli działać głęboko za liniami wroga, musieli jak najlepiej ukryć swoją żydowskość – w przypadku pojmania od tego mogło zależeć ich życie.

Tworzeniu tego oddziału przypatrywał się z zaciekawieniem sam premier, który lubił takie niestandardowe działania. I to jemu żydowscy żołnierze zawdzięczają nazwę, pod którą ich oddział przeszedł do historii. „Ponieważ będą nieznanymi wojownikami, […] muszą z konieczności być uznawani za niewiadomą. Jako że w algebrze niewiadomą oznaczamy jako X, nazwijmy ich więc Kompanią X" – stwierdził Winston Churchill.

Żołnierze tego oddziału jako nastolatkowie przeszli przez piekło. Ich rodziny były poddawane coraz ostrzejszym represjom. Część tych chłopaków była świadkami, gdy niemiecka policja bezpieczeństwa aresztowała i wywoziła w nieznane ich ojców (zazwyczaj do obozów koncentracyjnych). Jedynym ratunkiem była ucieczka z III Rzeszy.

W Wielkiej Brytanii ci młodzi chłopcy znaleźli możliwość zemszczenia się za krzywdy, których doświadczyły ich rodziny. Po wybuchu wojny Brytyjczycy zaczęli poszukiwać żołnierzy, którzy byliby gotowi wziąć udział w szalenie niebezpiecznych misjach na kontynencie, głęboko na niemieckim zapleczu. Znajomość języka była kluczowa, szczególnie jeżeli w grę wchodziło wyciągnięcie „na miejscu" informacji od pojmanego niemieckiego żołnierza, np. na temat rozlokowania niemieckich wojsk, wielkości sił i uzbrojenia. Takie dane były na wagę złota choćby przy okazji planowania lądowania w Normandii.

Opisując historie żołnierzy z Kompanii X, Leah Garrett wykorzystała tajne do niedawna raporty, do których nie dotarł wcześniej żaden historyk czy dziennikarz. Wynika z nich, że żydowscy komandosi Churchilla uczciwie zapracowali na swoją późniejszą sławę. Doskonale wyszkoleni pod kątem fizycznym, dysponujący świetnymi umiejętnościami „miękkimi" żołnierze z „brytyjskiej" 3. kompanii brali udział w najtrudniejszych, najbardziej wymagających misjach. Jedna z nich zawiodła nawet żydowskiego komandosa Churchilla do gabinetu feldmarszałka Erwina Rommla… ©℗

Piotr Włoczyk

LEAH GARRETT
„KOMPANIA X. TAJNA JEDNOSTKA ŻYDOWSKICH KOMANDOSÓW PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ"
REBIS

eprasa.pl 45fa4c575c

Miłość do polskiego Lwowa

Gdy Lwów stał się po drugiej wojnie światowej sowiecko-ukraiński, 12-letnia Maria Woś wyjechała z niego wraz z rodziną. Ale nie do Polski, choć zamieszkała we Wrocławiu. Jak bowiem mocno podkreśla w swojej wspomnieniowej książce, nigdy nie mówiła, tak jak bliscy i znajomi, że wyjeżdżają do Polski, tylko na zachód, za San. Bo przecież Lwów to Polska. Jak więc można mówić o tzw. repatriacji do Polski? Miasto założone zostało wprawdzie przez ruskiego księcia, ale przez wieki było kształtowane i budowane przez Polaków. Oni nadali mu swój charakter. Przed wojną Ukraińcy stanowili tylko kilkanaście procent jego mieszkańców.

Lwów ukształtował autorkę książki „LeoPolka …ja się ze Lwowa nie ruszę za próg…" na całe życie, nigdy go więc mentalnie nie opuściła.

„Lwów już nie mój, a Wrocław nigdy mój się nie stanie" – deklaruje Maria Woś. Ma jednak we Wrocławiu „skraweczek Lwowa" – Ossolineum, którego jednak większość lwowskich zbiorów zatrzymali Sowieci, a teraz przetrzymują Ukraińcy, choć instytucja miała służyć Polakom.

W książce autorka wspomina miasto takie, jakie zapamiętała dziewczynka: zabytkowe mury, ich piękno, strzępki rozmów dorosłych o masakrze dokonanej w więzieniach lwowskich przez NKWD w 1941 r. Autorka pisze o matce, która ratowała jej rówieśnice Żydówki. Wspomina swoją pierwszą wspólnotę – chór przy kościele Dominikanów, którego 18-letnia prezeska Maria Piskorzówna uczyła dzieci historii i literatury polskiej. Pod koniec niemieckiej okupacji dziewczynki z chóru szły na wycieczkę na Pohulankę, przez Cmentarz Obrońców Lwowa. „Modlimy się za nich, za nas i znów cierpiący Lwów". Uczestniczyła w 1944 r. w pogrzebie abp. Bolesława Twardowskiego, ostatniej manifestacji polskiego Lwowa. Za tysięcznym konduktem posuwał się sowiecki czołg…

W swoje wspomnienia autorka wplata fragmenty pamiętników i relacji innych lwowskich Polaków, pisze o zamordowanych przez NKWD Januszu Witwickim, autorze plastycznej panoramy Lwowa i ormiańskokatolickim księdzu Adamie Bogdanowiczu, uwiecznionym na słynnym fresku Rosena „Pogrzeb św. Odilona". Lwów! „Przecież gdyby nie to miejsce, ja sobie po prostu nie wyobrażam siebie. Kim ja bym była, no kim?". ©℗ *Tomasz Stańczyk*

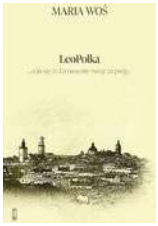

MARIA WOŚ
„LEOPOLKA …JA SIĘ ZE LWOWA NIE RUSZĘ ZA PRÓG…"
PIW

Afera „Złotogłowych"

Potężna dwutomowa, wydana w jednym woluminie książka Jacka Dehnela doskonale opisuje proceder przemytu złota i dewiz, a także dzieł sztuki, z udziałem dyplomatów brazylijskich. Sprawa ta zakończyła się w latach 70. głośnym procesem tzw. Złotogłowych. Autor nie tylko sięgnął do dokumentów sądowych i relacji prasowych, lecz także rozmawiał z członkami rodzin osób skazanych, m.in. z bratankiem głównego oskarżonego Witolda Mętlewicza i z córką wiedeńskiego antykwariusza Czesława Bednarczyka. To opowieść o bogaczach PRL, a także o legendarnym serwisie łabędzim Brühla. ©℗ *(t.s.)*

JACEK DEHNEL
„ŁABĘDZIE", T. I, „BAJORO. ŁABĘDZIE", T. II
WYDAWNICTWO LITERACKIE

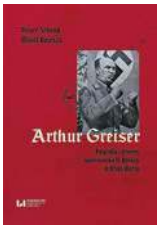

D. SCHENK, W. KULESZA
„ARTHUR GREISER. BIOGRAFIA I PROCES NAMIESTNIKA III RZESZY W KRAJU WARTY"
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

KAT KRAJU WARTY

Praca ukazuje funkcjonowanie „wzorcowej, narodowosocjalistycznej" prowincji, Kraju Warty, życie jej namiestnika (i zatwardziałego nazisty) Arthura Greisera oraz jego proces, który zakończył się skazaniem na śmierć. Książka jest hołdem dla prof. Mieczysława Siewierskiego, oskarżyciela w procesie Greisera, więzionego później przez komunistów za rzekomą „faszyzację kraju". ©℗ *(ASZ)*

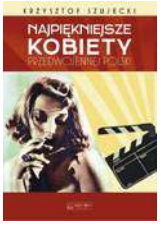

KRZYSZTOF SZUJECKI
„NAJPIĘKNIEJSZE KOBIETY PRZEDWOJENNEJ POLSKI"
KSIĘŻY MŁYN

PRZEDWOJENNE CELEBRYTKI

W II RP były na ustach wszystkich, marzyły o nich tłumy mężczyzn, a młode dziewczyny śniły o ich karierach. Część wspięła się na szczyt wbrew wszystkiemu – bieda w domu i praca fizyczna od dziecka nie podcięły im skrzydeł. Życiorysom tych utalentowanych piękności towarzyszy wiele zdjęć przedstawiających je na estradzie i egzotycznym planie filmowym. ©℗ *(p.w.)*

JACQUES LE GOFF
„CZY EUROPA NARODZIŁA SIĘ W ŚREDNIOWIECZU?"
ALETHEIA

TWORZENIE EUROPY

Zmarły 10 lat temu wybitny francuski mediewista twierdził, że „Europa się tworzy". Aby jednak proces ten szedł właściwie, musi być ona świadoma swojej historii. Bez niej będzie tylko „nieszczęśliwą sierotą". I jeszcze jedno zdanie uczonego: „Każda książka historyczna, nawet jeśli dotyczy czasów bardzo odległych, ma związek z teraźniejszością". ©℗ *(L.L.)*

eprasa.pl 45fa4c575c

Za stołem prezydialnym Kazimierz Mijal, szef Kancelarii Rady Państwa, 1949 r. FOT. PAP

Zakute łby

W nie tak znów prehistorycznych czasach Polski Ludową zwanej rządzących z ramienia PZPR aparatczyków z grubsza dzielono – zgodnie z podziałem zaproponowanym przez Wiktora Jedlickiego – na „chamów" i „Żydów".

Prawem kaduka ci pierwsi uchodzili za brutalnych, tępych dogmatyków, drudzy zaś za komunistycznych intelektualistów, którzy niczym średniowieczni alchemicy szukający przepisu na pozyskiwanie złota usiłowali zbrodniczemu systemowi nadać jakikolwiek ludzki charakter. W rzeczywistości jedni i drudzy ślepo wykonywali rozkazy płynące z Moskwy, tyle że może jedni bardziej, a drudzy mniej ochoczo.

Najwierniejszym z wiernych, do których przylgnęła etykieta „twardogłowych", a których nawet ich partyjni towarzysze nazywali „betonami", poświęcił swoją najnowszą, ciekawą, choć nie wolną od uproszczeń książkę publicysta Andrzej Brzeziecki. Zaproponował istną galerię komunistycznych potworów, na czele z takimi zapomnianymi postaciami jak Kazimierz Mijal, przez lata pouczający z Tirany, jak ma wyglądać „prawdziwy" komunizm, wolny od wszelkich rewizjonistycznych domieszek. Skądinąd fragmenty książki odnoszące się właśnie do pierwszych lat komunistycznej Polski, wraz z wnikliwie przedstawionym podziałem na „natolińczyków" i „puławian" w momencie dojścia Gomułki w październiku 1956 r. do władzy, wydają się najciekawsze.

Im dalej jednak, tym gorzej. Czy bowiem osławiony gen. Moczar, o którym Stefan Kisielewski powiadał, że w końcu „czegoś on chciał, był to jakiś polityk", zasłużył na miano człowieka z betonu? A dlaczego „betonowy" nie miałby być Gierek? Problem tkwi m.in. w tym, że choć autor nie ukrywa tego, że taki np. Mieczysław F. Rakowski w swoich „Dziennikach politycznych" dopuścił się manipulacji, a całe ich fragmenty retuszował i uzupełniał, to w gruncie rzeczy powiela jego opinie.

W efekcie czytelnik, zwłaszcza młody wiekiem, dojść może do wniosku, że niepodległości ojczyzny zagrażali tacy ludzie aparatu jak Olszowski czy Grabski, a suwerenność Polski uratowali Jaruzelski z Kiszczakiem. Przy wydatnej pomocy dzisiejszych, a jakże, demokratów w rodzaju Millera czy Cimoszewicza. Ludzi nie z betonu, broń Boże, tylko z tego samego g... ©℗

Krzysztof Masłoń

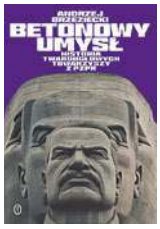

ANDRZEJ BRZEZIECKI
„BETONOWY UMYSŁ. HISTORIA TWARDOGŁOWYCH TOWARZYSZY Z PZPR"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Grecka lekcja

Lepsze zrozumienie starożytnych Greków, lepsze zrozumienie ich świata, jest niezbędne, aby przełożyć antyk na nasze czasy. Paraleli między starożytną Grecją a współczesnością prof. Marek Węcowski wywodzi wiele. Pandemia, kryzys migracyjny, kryzys demokracji, wojna na Ukrainie – przyszło nam żyć w ciekawych czasach, z historii można wyciągnąć nie tylko wnioski, można odnaleźć w niej także ukojenie.

„Wielką zagadką naszego związku z Grekami jest właśnie to, że ludzie tak różni od nas, myślący tak odrębnie, w jakiś sposób są dla nas wciąż ciekawi, nadal nas inspirują i skłaniają do refleksji – pisze prof. Węcowski. – Żeby poradzić sobie z paradoksem bliskości i zarazem obcości greckiego antyku, musimy przyjrzeć się Grekom w ich »naturalnym środowisku«, a jednocześnie patrzeć na nich z dystansu".

Przyglądamy się zatem Grekom – ich podejściu do polityki, miłości do teatru, ich skomplikowanemu związkowi z morzem i skomplikowanym związkom z sobą nawzajem, wszak starożytna Grecja „nie była żadnym konkretnym państwem, bo na grecki świat składało się około tysiąca mniejszych lub większych organizmów politycznych […]". Co było spoiwem? Wspólnota kulturowa. I właśnie o tak rozumianej Grecji jest książka prof. Węcowskiego. ©℗

Radosław Wojtas

MAREK WĘCOWSKI
„TU JEST GRECJA! ANTYK NA NASZE CZASY"
ISKRY

eprasa.pl 45fa4c575c

Zagłada polskich Połowców

W katalogu zbrodni dokonanych przez UPA na terenie Galicji Wschodniej znajdują się zarówno takie, o których do dziś wiedza historyków jest zasadniczo niewielka lub żadna, jak i takie, które są dość dobrze opisane i udokumentowane. Masakra dokonana w Połowcach, liczącej przed wojną niemal 2 tys. mieszkańców polsko-ukraińskiej wsi, należy bez wątpienia do tej ostatniej kategorii. Doszło do niej zimą 1944 r., gdy sotnie UPA zaczęły intensyfikować akcję selektywnej eksterminacji Polaków. W styczniu mordy przybrały na sile, a w gronie ofiar, oprócz mężczyzn, jak to miało miejsce wcześniej, zaczęły coraz częściej pojawiać się kobiety i dzieci. Wydarzenia w Połowcach miały także bardziej sytuacyjny kontekst niż tylko ten związany z akcją „antypolską".

6 stycznia 1944 r. do wsi przybył oddział niemiecki, w którego skład wchodzili najprawdopodobniej Rosjanie. Miejscowość okrążono i rozpoczęto aresztowania osób podejrzanych: Polaków i Ukraińców (tylko mężczyzn). Przesłuchiwano ich w szkole, po czym Polaków zwolniono (było ich pięciu), a ok. 30 Ukraińców zatrzymano i wywieziono do pobliskiego Czortkowa. Natomiast 11 Ukraińców Niemcy i kolaboranci przed odjazdem rozstrzelali w publicznej egzekucji. Wśród nich był rejonowy prowydnik OUN-B Mykoła Basij „Jarema". Kolejnych czterech ounowców, na czele z nadrejonowym prowydnikiem Mychaiłem Czajkowskim „Wołodymyrem", przypadkowo jadąc na furmance, natknęło się na blokadę wsi i zostało zatrzymanych. Ponieważ znaleziono u nich broń, natychmiast zostali oni rozstrzelani.

W odwecie za to w nocy 16 stycznia sotnia UPA „Siri Wowki" (Szare Wilki) Petro Chamczuka „Bystrego" lub bojówka SB OUN-B Antona Mychalczuka „Kryłatego" dokonała napadu na polskich mieszkańców Połowców. Napastnicy wdzierali się do domów, wiązali i kneblowali ofiary, a następnie wywieźli je w kierunku wsi Jagielnica. Nie wszystkich przeznaczonych do zabicia udało się Ukraińcom ująć. Dwudziestosześcioletni Jan Grodecki, broniąc się, zastrzelił trzech napastników, m.in. członka OUN Antoniego Słoniewskiego, ale ostatecznie sam padł ugodzony nożem lub bagnetem.

Przed śmiercią uratował się ks. Bernard Pyclik. Ukrywając się na kościelnej wieży, dostrzegł on, jak „na plebanię zajechała furmanka z banderowcami, którzy za jednym uderzeniem wywalili drzwi jedne i drugie, weszli do mieszkania, a potem nastąpiła chwila ciszy: za chwilę wynosili coś długiego na sanie". Niestety, tym „czymś" były zapewne siostry zakonne, które z uwagi na mróz zdecydowały się spędzić noc nie na wieży, a na plebanii. W sumie zabito we wsi lub wywieziono 27 osób. W tej grupie znajdowali się mężczyźni, kobiety i dzieci. Od początku nie było wątpliwości, że ich zamordowano.

Lokalne struktury OUN przyznały się do popełnienia zbrodni, rozrzucając w okolicy ulotki, w których obciążali niezidentyfikowaną Polkę odpowiedzialnością za egzekucję wspomnianych 11 Ukraińców. 19 stycznia ciała pomordowanych Polaków zostały odnalezione. Były pozbawione odzieży, a każda z ofiar miała przytroczony do szyi sznur konopny, którym została uduszona. Natychmiast wezwano władze niemieckie. Policjanci Kripo zrobili zdjęcia zwłok, a kilka dni później pochowano je w Połowcach. Ceremonię pogrzebową ubezpieczał oddział AK. Po jej zakończeniu Polacy opuścili miejscowość. Niektórzy zdecydowali się do niej wrócić, już po nastaniu sowieckiej okupacji. 1 stycznia 1945 r. doszło tam do ostatniego mordu UPA na Polakach. Zginęło wówczas 14 osób. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

WSTĘP I REDAKCJA: T. BEREZA
„ZBRODNIE ORGANIZACJI UKRAIŃSKICH NACJONALISTÓW I UKRAIŃSKIEJ POWSTAŃCZEJ ARMII NA KRESACH POŁUDNIOWO-WSCHODNICH II RZECZYPOSPOLITEJ (1939–1945) W DOKUMENTACH"
IPN

Gdy Polska i Litwa były razem

Historyczna i sentymentalna podróż poprzez dzieje Litwy od czasów legendarnych i najdawniejszych do upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów i trzeciego rozbioru. Besala z nostalgią (ale bez „niezdrowych" terytorialnych roszczeń!) oraz ogromnym znawstwem opowiada o historii naszego sąsiada i o dziejach naszych wspólnych relacji.

Z sąsiadem tym przez lata łączyło nas znacznie więcej niż osoba władcy i wspólnota interesów. Choć przez ponad dwa wieki (1569–1795), a de facto przez ponad cztery (od unii w Krewie w 1385 r.) byliśmy jednym państwem, to dzisiaj wiemy o sobie niewiele i chowamy różne, niekiedy nieuzasadnione urazy. W XIX w., kiedy rodziły się nowożytne państwa narodowe, wielu mieszkańców Litwy ze złością odrzucało wszystko, co z Polską związane, upatrując w Polakach odpowiedzialnych za wszelkie swoje nieszczęścia.

Ten negatywny trend w naszych relacjach zaczęto przełamywać dopiero w latach 90. XX w. Sumienna praca autora sprawiła, że czytelnik otrzymał niezwykle drobiazgowy podręcznik do dziejów Litwy. Lektura porywa już od pierwszych stron. „Ziemie litewskie" to, po „Ziemiach ukrainnych", drugi tom z serii. ©℗

Anna Szczepańska

JERZY BESALA
„ZIEMIE LITEWSKIE. TAM KIEDYŚ BYŁA RZECZPOSPOLITA"
ZYSK I S-KA

eprasa.pl 45fa4c575c

/ Felieton

Rafał A. Ziemkiewicz

Donald de Bourbon

/ Restauracja Bourbonów jest modelowym przykładem, jak po powrocie do władzy stać się zakładnikiem ultrasów, którzy **przez lata dyszeli żądzą zemsty i dla których nie ma nic ważniejszego niż odreagowanie przeżytych frustracji**

Niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli" – napisał, czy powiedział, Talleyrand o rządach francuskich Bourbonów po upadku Napoleona. Już teraz, gdy piszę ten felieton – po dwóch miesiącach od wyborów parlamentarnych i po zaledwie kilku burzliwych tygodniach rządu PO, Trzeciej Drogi oraz Lewicy – można powiedzieć, że ta obserwacja wytrawnego cynika doskonale pasuje do naszej obecnej sytuacji. W ogóle prześledzenie tego momentu francuskiej historii, generalnie mało pamiętanego, wydaje się w Polsce przełomu lat 2023 i 2024 bardzo pouczające.

Dynastia de Bourbon, jak można łatwo sprawdzić w podręcznikach, została przywrócona do władzy dzięki siłom zewnętrznym. Byłoby przesadą twierdzić, że nikt jej we Francji nie chciał – Republika i Napoleon mieli zawsze silną opozycję, a nieustanne wojny tego drugiego coraz bardziej wyniszczały i męczyły społeczeństwo, zwłaszcza że coraz mniej postrzegano je jako niesienie innym ludom wywalczonych przez Francuzów wolności obywatelskich i praw człowieka – a coraz bardziej jako awanturnictwo władcy, służące usadzaniu na odległych tronach kolejnych napoleońskich pociotów, doprawdy niewartych takich ofiar. Gdyby z zadaniem odsunięcia Napoleona od władzy musieli poradzić sobie sami Francuzi, prawdopodobnie panowałby on do późnej starości – ale gdy zbyt wątłej do samodzielnego załatwienia sprawy opozycji pomogła międzynarodowa koalicja zbudowana wokół Anglii i Rosji, Francuzi nie stanęli w obronie cesarza. Byli zbyt zmęczeni jego polityką i za mało szanowali wykreowane przez niego nowe, porewolucyjne elity.

To częsta sytuacja w historii – rewolucje równie często, co zbiorowe uniesienia, są skutkiem totalnego „zwisu"; podobnym do restauracji Bourbonów przykładem jest pucz bolszewicki w listopadzie 1917 r., który powiódł się dzięki kompletnej obojętności skrajnie wymęczonego społeczeństwa. „A niech się dzieje, co chce, gorzej nie będzie". Dopiero z czasem wraca chęć, żeby było lepiej.

Restauracja Bourbonów jest modelowym przykładem, jak po powrocie do władzy stać się zakładnikiem ultrasów, którzy przez lata dyszeli żądzą zemsty i dla których nie ma nic ważniejszego niż odreagowanie przeżytych frustracji. Kolejne ponapoleońskie rządy miotały się między potrzebą przyjęcia do wiadomości, że Francja diametralnie się zmieniła, jej struktura społeczna jest inna, mieszczaństwo wyrosło na wielką siłę społeczną i do czasów Ludwików nie ma powrotu a tępą zajadłością uskrzydlonych upadkiem „uzurpatora" arystokratów, domagających się, „żeby znowu było, jak było". Miotałaby się tak zapewne znacznie krócej, gdyby nie to, że i opozycja początkowo zdominowana była przez bonapartystów, uporczywie pragnących przywrócić Napoleona, a po jego śmierci – znaleźć jakiegoś nowego, co dla ogółu, delikatnie mówiąc, nie było porywające. Dopiero po 15 latach okrzepła nowa, republikańska opozycja, która przeprowadziła skuteczną rewolucję.

Morał z tego banalny, ale nie dla wszystkich do pojęcia: w polityce, tak jak wszędzie indziej, nie da się cofnąć czasu. W roku 2024 np. nie będzie znowu 2014. Ale nie będzie też znowu roku 2022. Niby nic odkrywczego. Ale czy nasi polityczni liderzy potrafią to ogarnąć? Mam wrażenie, że solidny wykład o francuskich wydarzeniach spomiędzy 1815 a 1830 r. bardzo by się im przydał.

©℗

eprasa.pl 45fa4c575c

Piotr Semka

/ Felieton

Zaczarowany świat Zakopanego w PRL

Jest już tradycją moich felietonów w „Historii Do Rzeczy", że dzielę się z państwem wspomnieniami, które wywołują u mnie filmy sprzed lat. Tym razem okazją do spojrzenia w epokę PRL był obejrzany w jednej ze stacji film „Ściana czarownic" w reżyserii Pawła Komorowskiego z 1966 r. Przypomniał mi specyficzny światek Zakopanego w czasach Polski Ludowej. Ten status kurortu pod Giewontem porównywalny był tylko z Sopotem na Wybrzeżu. Oba miasta były miejscami wyjątkowymi – tutaj zjeżdżali zamożni Polacy na urlop, tutaj przybywało stosunkowo najwięcej cudzoziemców i w życiu obu tych miejscowości ważną rolę odgrywał sport.

„Ściana czarownic" to dość sprawnie zrealizowana opowieść o narciarzu Jędrku Gajdzie, ambitnym góralu, któremu udało się dostać do reprezentacji Polski w slalomie narciarskim. Mniejsza o dość banalną opowieść o sercowych rozterkach bohatera i jego staraniach o zwycięstwo w turnieju narciarskim Polska – Austria w Zakopanem. Film Komorowskiego jest cenny, bo pokazuje, jak w realiach komunizmu wytwarzały się pewne nisze, do których aspirowały tysiące chętnych. Taką niszą był sport. Socjalistyczne państwo nie żałowało pieniędzy na reprezentacje sportowe w najrozmaitszych dziedzinach, gdyż sukcesy sportowców traktowano jako potwierdzenie wyższości socjalizmu nad kapitalizmem. I dlatego doskonale sportretowani w filmie zawodnicy kadry opanowani są obsesją rywalizacji. Wiedzą, że wygrane turnieje i sportowe medale to przepustka do wyjazdów zagranicznych i gwiazdorskiego statusu.

Fantastyczna jest scena, gdy narciarze zachwycają się drogim sprzętem z Zachodu, który funduje im socjalistyczne państwo. Działacze sportowi w filmie przedstawieni są jako brutalni macherzy niemający żadnych skrupułów w wywyższaniu tych, którzy dają szansę na zwycięstwo, i w strącaniu z piedestału tych, którzy nie spełniają oczekiwań. Przy okazji przedstawieni są jako obsesjonaci rozwoju infrastruktury narciarskiej marzący o wycinaniu lasów tatrzańskich na rzecz nowych skoczni, tras narciarskich i ośrodków szkoleniowych. Ich cynizm kontrastuje z idealizmem dwóch postaci, którym wyraźnie nadano cechy pokolenia wychowanego jeszcze w II RP. Pierwsza z nich to stary trener wymagający wiele, a także poświęcający się dla swoich zawodników. Człowiek ten oburza się, że młodzi zamiast ciężko pracować, po pierwszych sukcesach zaczynają marnować noce na dancingach, zmieniać kochanki jak rękawiczki i szybko kombinować, jak swój status przedstawicieli elity w szarzyźnie PRL zamienić na grube pieniądze. Gdy działacze sportowi cały czas chcą się fotografować z mistrzami stoków narciarskich, stary trener unika fotografów, żartując, że „jeszcze klisza pęknie", bo on jest od trenowania, a nie od fotografowania. Drugą postacią reprezentującą stary świat miłośników Tatr jest sędziwy profesor, który mimo siódmego krzyżyka na karku odbywa forsowne wspinaczki w górach i zasypuje organy państwowe protestami przeciw kolejnym wycinkom tatrzańskich lasów.

> „Ściana czarownic" to dość sprawnie zrealizowana opowieść o narciarzu **Jędrku Gajdzie, ambitnym góralu, któremu udało się dostać do reprezentacji Polski w slalomie narciarskim**

Tłem dla całego tego sportowego światka są bogaci warszawiacy, którzy przybywają do Zakopanego, aby przepuścić pieniądze i zabawić się w hałaśliwym „stołecznym" stylu. Ich kwaterą główną jest Hotel Kasprowy, skąd wyruszają w okolice stoków. Nie po to jednak, by jeździć na nartach, ale żeby podrywać panienki i szukać ofiary dla swoich „warszawskich" dowcipów, czyli robienia ludzi w balona. Kolejnym elementem tła jest świat zagranicznych sportowców, którzy są obiektem westchnień zwykłych zakopiańczyków, a także obiektem skubania ze strony kanciarzy i aferzystów.

Reżyser filmu, Paweł Komorowski, pokazał cały ten złożony świat, formalnie uzyskując od władz alibi w postaci piętnowania aspołecznych postaw niezgodnych z kanonem socjalistycznej moralności. Ale przy okazji uwiecznił on całą nienormalność PRL, w której dostęp do bogactwa był wyłącznie efektem spełniania jakiejś społecznej roli, którą władcy PRL uważali za ważną dla siebie lub która wynikała z pasożytowania na licznych cudzoziemcach, którzy odwiedzali wtedy Polskę Ludową. Filmy typu „Ściana czarownic" wzbudzają żywe wspomnienia u takich dinozaurów jak ja, natomiast młodszym mogą wydawać się jakąś dziwną anomalią. Ale może jednak bardziej powinniśmy ufać inteligencji młodych widzów. O ile w ogóle ktoś z nich chce jeszcze oglądać filmy sprzed blisko 60 lat. ©℗

eprasa.pl 45fa4c575c

Oddział armii tambowskiej
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

1919–1921 / Wojna domowa w Rosji

Tambowscy chłopi przeciw Leninowi

Mikołaj Iwanow

Jednym z najokrutniejszych rozdziałów „czerwonego terroru" było zdławienie w 1921 r. chłopskiego powstania w guberni tambowskiej

Ten region Rosji mógł się pochwalić najlepszymi czarnoziemami na świecie – żyzna warstwa w niektórych miejscach osiągała głębokość aż 4 m! Z powodu tego naturalnego bogactwa gubernia tambowska uznawana była za jeden z najzamożniejszych regionów kraju. Wraz z wybuchem pierwszej wojny światowej jego sytuacja ekonomiczna wcale się nie pogorszyła. Choć Tambowszczyzna straciła część europejskich rynków zbytu, to straty te zostały zrekompensowane dostawami na potrzeby armii walczącej na froncie. Gubernia nie zanotowała spadku produkcji żywności i pozostała jednym z najważniejszych spichlerzy Imperium

eprasa.pl 45fa4c575c

RYS. MARZENA WŁOCZYK

Rosyjskiego. Ogromna obszarowo gubernia (66 tys. km kw.) liczyła ok. 4 mln ludności. W miastach żyło jednak zaledwie 268 tys. osób. Zdecydowana większość mieszkańców zamieszkiwała więc tereny wiejskie.

Względna gospodarcza stabilizacja, mimo wojennej zawieruchy, zniknęła po bolszewickim przewrocie w październiku 1917 r. Nieudolna polityka ekonomiczna bolszewików i wojna domowa zmusiły zwolenników Lenina do wprowadzenia polityki „komunizmu wojennego", polegającej na konfiskowaniu produktów rolnych od chłopów bez rekompensat. Pozbawiono chłopstwa części praw politycznych i gospodarczych, wprowadzono zakaz handlu zbożem i zaczęto rekwirować jego nadwyżki. Użyto w tym celu tzw. prodotriadów (oddziałów żywnościowych), w rzeczywistości stanowiących zbrojne narzędzie do ograbiania chłopów.

Płomień oporu

Względna bliskość guberni tambowskiej do centrum kraju i znaczny dystans od frontów wojny domowej przesądziły o szerokim zakresie działalności „oddziałów żywnościowych". To z kolei wywołało jednak stanowczy sprzeciw miejscowej ludności. Chłopskie masy odpowiedziały na rekwizycje aktywnym oporem zbrojnym. Już w 1918 r. w lokalnych powstaniach i ruchu partyzanckim przeciwko bolszewikom wzięło udział do 40 tys. osób. Sytuacja bolszewickich władz komplikowała się z powodu bardzo częstego przechodzenia żołnierzy Armii Czerwonej (zazwyczaj z bronią w ręku) na stronę powstańców.

Również późniejszy przywódca powstania na Tambowszczyźnie, Aleksander Antonow, początkowo był zwolennikiem władzy bolszewickiej. Sprawował on funkcję naczelnika oddziału milicji we wsi Kirsanowo, ale już w styczniu 1919 r. Antonow stworzył z byłych milicjantów oddział partyzancki liczący 12 osób i rozpoczął walkę z „prodotriadami". Latem 1919 r. oddział Antonowa liczył już 150 osób, wybranych głównie spośród dezerterów z Armii Czerwonej. Na terenach, gdzie działały wojska Antonowa, oddziały żywnościowe starały się nie pojawiać, a miejscowi chłopi uważali go za swojego obrońcę.

W 1920 r. okolice Tambowa nawiedziła susza i zebrano zaledwie 12 mln pudów zboża. Władze bolszewickie jednak nie zmniejszyły celu aprowizacyjnego dla „prodotriadów", który wynosił 11,5 mln pudów. W tym momencie do historii powstania tambowskiego wkracza polski wątek. Otóż głównym bolszewickim komisarzem w tej guberni był Polak Aleksander Szlichter, który nieudolnie próbował zdławić opór chłopów. W sierpniu 1920 r. powstańcy odnieśli ogromne zwycięstwo. We wsi Chitrowo rozbrojono wielki „oddział żywnościowy". Do rąk powstańców trafiło wówczas mnóstwo broni. Wkrótce niszczenie i rozbrajanie „prodotriadów" stało się zjawiskiem powszechnym, a bezradnego Szlichtera odwołano. Tak wyglądał pierwszy rozdział powstania, które do historii przeszło również pod nazwą

eprasa.pl 45fa4c575c

„antonowszczyzna" – od nazwiska przywódcy rebelii.

Z inicjatywy Antonowa kilkanaście grup rebeliantów połączyło się w armię partyzancką i powstanie zaczęło się szybko rozprzestrzeniać. Utworzono Zjednoczoną Armię Partyzancką guberni tambowskiej, na której czele stał także były milicjant, por. Piotr Tokmakow. Wkrótce rebelia objęła tereny powiatów tambowskiego, kirsanowskiego, borysoglebskiego, morszańskiego i kozłowskiego guberni tambowskiej, a także sąsiednie powiaty guberni saratowskiej i woroneskiej. Powstańcy zlikwidowali organy władzy sowieckiej oraz jej przedstawicieli, garnizony wojskowe, a w niektórych wsiach przejęli władzę.

Bolszewicy zmuszeni byli ogłosić w guberni tambowskiej stan oblężenia, ale było już za późno, ponieważ utracili kontrolę nad rozwojem wydarzeń. Powstanie nabrało masowego charakteru i oczywiste stało się, że nie da się go szybko zgasić. Swój maksymalny zasięg osiągnęło w styczniu–lutym 1921 r., gdy liczba powstańców przekroczyła 50 tys. ludzi działających w dwóch armiach (składających się z 14 pułków piechoty, pięciu pułków kawalerii i jednej oddzielnej brygady z 25 karabinami maszynowymi i pięcioma armatami).

Powstańcy zniszczyli 60 bolszewickich komun i przejęli kontrolę nad niemal całą gubernią, a także sparaliżowali ruch na linii kolejowej Riazań – Ural i skutecznie odpierali próby wtargnięcia wojsk bolszewickich na terytorium guberni. W rękach bolszewików pozostały tylko miasta.

Czerwony kontratak

Bolszewicy podjęli zdecydowane działania. W kwietniu 1921 r. Biuro Polityczne KC RKP(b) mianowało Michaiła Tuchaczewskiego dowódcą wojsk w guberni tambowskiej. Na jego zastępcę wyznaczono Litwina Ijeronima Uborewicza. Do guberni skierowano liczne doborowe jednostki Armii Czerwonej, w tym słynną brygadę kawalerii pod dowództwem Grigorija Kotowskiego. Z ramienia Czeka Feliksa Dzierżyńskiego operację zdławienia powstania nadzorowali przyszły szef GPU-NKWD Gienrich Jagoda i inny przyszły kat stalinowski z okresu wielkiego terroru, wywodzący się z bałtyckich Niemców Wasilij Ulrich.

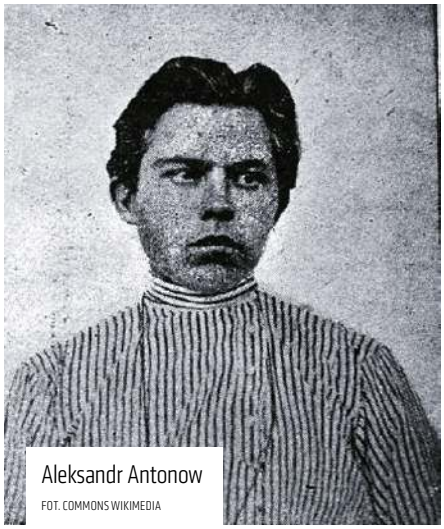
Aleksandr Antonow
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Piotr Tokmakow
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Michaił Tuchaczewski
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Tuchaczewski otrzymał polecenie likwidacji powstania na Tambowszczyźnie nie później niż w ciągu miesiąca. Zakończona wojna polsko-bolszewicka, a wcześniej ewakuacja białej armii gen. Wrangla z Krymu pozwoliły bolszewikom wysłać przeciwko powstańcom stosunkowo duże siły Armii Czerwonej. Liczba żołnierzy szybko rosła i pod koniec maja 1921 r. wynosiła już 43 tys. żołnierzy, uzbrojonych w 463 karabiny maszynowe i 63 działa. Dodatkowo zmobilizowano 300 komunistów z Moskwy, Piotrogrodu i Tuły dla wsparcia działalności partyjnej w Tambowie.

Do ostatecznego starcia szykowali się również powstańcy. 20 maja 1921 r. Antonow i Tokmakow na wiecu we wsi Karai-Sałtyki proklamowali Tymczasową Demokratyczną Republikę Tambowskiego Obwodu Partyzanckiego.

Siły były jednak bardzo nierówne. W maju 1921 r. brygada kawalerii Kotowskiego rozbiła dwa pułki rebeliantów. W kolejnych walkach, które trwały w maju i czerwcu, bolszewicy pokonali 2. Armię Powstańczą pod dowództwem Antonowa. 1. Armia Powstańcza pod dowództwem płk. Antona Bogusławskiego uniknęła generalnego starcia z bolszewikami i rozpoczęła działania partyzanckie. Inicjatywa ostatecznie przeszła w ręce Armii Czerwonej. Jednak stłumienie powstania, mimo zdecydowanej przewagi liczebnej Armii Czerwonej, która górowała nad przeciwnikiem zwłaszcza w uzbrojeniu, było niełatwym zadaniem. Powodami kłopotów bolszewików były zastosowane przez powstańców taktyki partyzanckiej i powszechne poparcie rebeliantów przez miejscową ludność.

W związku z postawą chłopstwa zastosowano wyjątkowo ostre i masowe represje. Centralny Komitet Wykonawczy Rosji bolszewickiej wydał wówczas rozkaz nr 171, dotyczący taktyki zwalczania powstańców:

„1. Obywateli, którzy podczas sprawdzania ich tożsamości odmówią podania swoich nazwisk, należy rozstrzelać na miejscu bez sądu.

eprasa.pl 45fa4c575c

2. W przypadku wsi, w których wykryta jest broń, należy brać zakładników i rozstrzeliwać ich, jeśli natychmiast nie będzie wydana cała schowana broń.

3. W przypadku znalezienia ukrytej broni w poszczególnych rodzinach należy bezzwłocznie rozstrzeliwać starszych jej członków.

4. Rodzina, u której bandyta się schronił, podlega aresztowaniu i wydaleniu z guberni, jej majątek zostaje skonfiskowany, starszy członek tej rodziny zostaje bez sądu rozstrzelany.

5. Rodziny ukrywające członków rodziny lub własność bandytów będą traktowane jak bandyci, a starszy członek tej rodziny zostanie rozstrzelany na miejscu bez sądu.

6. W przypadku ucieczki rodziny bandyty jej majątek należy rozdzielić między chłopów wiernych władzy sowieckiej, a pozostawione domy spalić lub rozebrać.

7. Rozkaz ten należy wykonać surowo i bezlitośnie".

Powyższy dokument został podpisany przez kierownictwo CKW i Michaiła Tuchaczewskiego, dowódcę Armii Czerwonej na Tambowszczyźnie.

Trujące gazy

Tuchaczewski dodatkowo wydał rozkaz w sprawie użycia broni chemicznej przeciwko rebeliantom:

„1. Lasy, w których ukrywają się bandyci, należy oczyścić za pomocą trujących gazów bojowych. Szczególną uwagę trzeba zwrócić, aby chmura duszących gazów rozprzestrzeniła się całkowicie po całym lesie, niszcząc wszystko, co się w nim kryło.

2. Inspektor artylerii armii powinien niezwłocznie dostarczyć wymaganą liczbę butli z trującymi gazami oraz niezbędnych specjalistów.

3. Dowódcy obszarów bojowych są zobowiązani wytrwale i energicznie wykonywać niniejszy rozkaz".

Przeciwko rebeliantom użyto artylerii, lotnictwa i pojazdów opancerzonych. Latem 1921 r. w guberni tambowskiej działały m.in. dziewięć brygad artylerii, cztery pociągi pancerne, pięć oddziałów pancernych i dwa oddziały lotnicze. Na porządku dziennym było używanie broni chemicznej. Przeważnie był to chlor. Rutynowo brano zakładników i rozstrzeliwano ich bez sądu. Tuchaczewski w swych raportach tłumaczył, że jest to jedyny skuteczny środek pozwalający na złamanie powszechnego oporu chłopów. Przebieg represji odbywał się przeważnie według następującego, opisanego w sprawozdaniu Tuchaczewskiego, scenariusza:

„27 czerwca 1921 r. wieś Osinowka została otoczona szczelnym kordonem przez podlegające mi oddziały Armii Czerwonej. Wszystkich mieszkańców zwołano w centrum wsi. Wzięto 40 zakładników, w tym kilkanaście kobiet. Wydano rozkaz wyznaczający dwugodzinny termin przekazania ukrywających się bandytów i schowanej broni z zastrzeżeniem, że za niezastosowanie się do rozkazu zakładnicy zostaną rozstrzelani. Po ustalonym terminie w obecności zgromadzenia chłopów rozstrzelano 21 zakładników, po czym chłopi udali się na poszukiwanie broni i chwytanie bandytów. Wydano 3 karabiny i 5 bandytów. Rodziny rozstrzelanych zakładników, a także rodziny ukrywających się bandytów wywieziono do obozów".

Gdy rozstrzeliwanie zakładników nie przynosiło skutków i chłopi nadal odmawiali wydawania powstańców, palono cale wsi, dokonywano egzekucji mężczyzn, a kobiety, dzieci i starszych ludzi wysiedlano do odległych rejonów Rosji, przeważnie na Syberię. Tworzono liczne obozy koncentracyjne, do których zapędzano oporną ludność.

Branie zakładników nie zostało bez odpowiedzi ze strony rebeliantów, którzy również brali zakładników i rozstrzeliwali wziętych do niewoli żołnierzy Armii Czerwonej, komunistów, pracowników administracji sowieckiej, a także członków ich rodzin. Wzajemny terror pustoszył jeden z najbogatszych regionów Rosji.

W licznych obozach koncentracyjnych na Tambowszczyźnie, działających często jako obozy pracy przymusowej, trzymano dorosłych wraz z dziećmi. Było to posunięcie na tyle nieludzkie, że niepokój wyraziły w związku z tym nawet władze centralne w Moskwie. Postanowiono więc, aby dzieci zakładników (do 15. roku życia) mogły być trzymane oddzielnie od dorosłych, a matki powinny mieć prawo do przebywania ze swoimi dziećmi (ale tylko z tymi, które miały mniej niż trzy lata). Po stłumieniu powstania rozpoczęło się „rozładowywanie" obozów koncentracyjnych. Zakładnicy z małymi dziećmi zostali odesłani do domu, jednak w obozach nadal przebywało ponad 1450 dzieci rozstrzelanych zakładników w wieku od jednego roku do 10 lat.

Masowy charakter represji wobec ludności Tambowszczyzny przeraża. Według danych rosyjskich badaczy różnym formom represji (rozstrzeliwanie, skazanie na obozy pracy, wyroki więzienne i inne) objęto do 10 proc. ludności guberni tambowskiej.

Pomnik chłopa powstańca w Tambowie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/DMITRY 9568

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45fa4c575c

1918–1939 / Unikatowe zabytki przedwojennej zbrojeniówki

Myśliwce, tankietki, pepance

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Wydawało się, że nie ma szans na zdobycie oryginalnych egzemplarzy broni. Okazało się jednak, że niezupełnie – wystarczyło poszukać...

W latach PRL tradycje przedwojennego Wojska Polskiego nie były kultywowane z przyczyn politycznych. Mimo to armia, która w 1939 r. stawiła czoło Wehrmachtowi, nie była zupełnie pomijana w przestrzeni publicznej, a w muzeach pokazywano cenne zabytki związane z techniką wojskową okresu 1918–1939, Jednak dopiero po 1989 r., na fali ogromnego zainteresowania dziejami sił zbrojnych II RP, wzmożono wysiłki w celu pozyskania kolejnych, unikatowych obiektów.

Kampania 1939 r. zakończyła się katastrofą. Wojsko Polskie oprócz zabitych, rannych i jeńców straciło też ogromną ilość rozmaitego sprzętu. Wiele zniszczono na polu walki, resztę przejęli Niemcy i Sowieci, którzy przetopili go w hutach lub wykorzystali i zużyli do własnych celów (część przekazano sojusznikom III Rzeszy). Polscy żołnierze ukryli trochę uzbrojenia, ale niemal wyłącznie lekkiego; to z niego korzystała potem konspiracja. Nie może więc dziwić, że oryginalne zabytki związane z przedwojennym WP są stosunkowo rzadkie. Dotyczy to przede wszystkim sprzętu ciężkiego.

Krakowska „jedenastka"

Przed 1989 r. w muzeach było zaledwie kilka „rodzynków". Należał do nich samolot myśliwski P.11c z Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie. Maszyna przetrwała zawieruchę drugiej wojny światowej, a także lata 50. – najgorszy okres PRL, kiedy rządzący komuniści, nie mając sentymentu do pamiątek po „sanacyjnej" armii, oddawali je na złom. Krakowska „jedenastka" wyprodukowana została w listopadzie 1935 r., a rok później trafiła do 2. Pułku Lotniczego z Krakowa. W 1939 r. znalazła się w składzie 121. Eskadry Myśliwskiej przydzielonej do Armii „Kraków". Niemcy zdobyli samolot w stanie prawie nieuszkodzonym i wyeksponowali go w berlińskim Deutsche Luftfahrtsammlung w charakterze trofeum. W 1944 r. maszynę ewakuowano do wielkopolskiego Czarnkowa; rok później trafiła z powrotem w polskie ręce. W 1963 r. samolot ostatecznie „wylądował" w krakowskim muzeum.

W Muzeum Wojska Polskiego zachowało się natomiast nieco sprzętu artyleryjskiego, w tym francuska szybkostrzelna armata wz. 97 po polskim remoncie i trzy przeciwpancerne boforsy wz. 36 (jeden z nich na zdjęciu) odnalezione na warszawskich pobojowiskach. Warto dodać, że w latach 80. ubiegłego wieku udało się pozyskać ze Związku Sowieckiego dwie legendarne przedwojenne konstrukcje: pistolet maszynowy Mors wz. 39 i karabin samopowtarzalny wz. 38 inż. Józefa Maroszka (na zdjęciu). Oba egzemplarze były niestety zdekompletowane.

Rozpoznawczy TK-S

Kiedy upadł PRL i zaczęto na nowo odkrywać przedwojenne Wojsko Polskie,

eprasa.pl 45fa4c575c

historycy i muzealnicy stanęli przed dużym wyzwaniem. Jak zilustrować tamtą armię i dorobek zbrojeniówki II RP, nie dysponując oryginalnymi zabytkami? Wydawało się, że wszystko przepadło. Okazało się jednak, że niezupełnie – wystarczyło poszukać. Ot, choćby w Skandynawii. W 2003 r. zbiory Muzeum Wojska Polskiego wzbogaciły się o czołg rozpoznawczy TK-S (na zdjęciu), czyli popularną tankietkę. W okresie PRL pojazdy te były obiektem drwin, traktowanym jako widomy znak zacofania przedwojennej Rzeczypospolitej i jej armii. Uznawano je za substytut prawdziwych czołgów i konstrukcję zupełnie nieprzydatną w walce z bronią pancerną wroga. Z perspektywy czasu ocena ta wydaje się niesprawiedliwa. Cóż, tankietka może i nie była czołgiem w pełnym tego słowa znaczeniu, miała jednak wiele zalet. Poza tym stała się symbolem motoryzacji Wojska Polskiego, nowoczesnego na tyle, na ile pozwalały skromne środki finansowe państwa na dorobku.

Tankietka pochodziła ze szwedzkiego muzeum w Axwall, była zdekompletowana i wymagała żmudnej renowacji. Przed wojną produkcją wozów bojowych zajmowały się Państwowe Zakłady Inżynierii w Warszawie. W 1930 r. do przedsiębiorstwa włączono Zakłady Mechaniczne „Ursus" z Czechowic. To tutaj produkowano tankietki. Ponad 70 lat później ten sam zakład przeprowadził najważniejsze prace remontowe pojazdu sprowadzonego ze Szwecji. Historia zatoczyła koło. W 2007 r. po raz pierwszy zaprezentowano go podczas pokazu dynamicznego.

Dziś w polskich kolekcjach państwowych i prywatnych jest już kilka tankietek w różnych odmianach. Większość pochodzi ze Skandynawii, a konkretnie z Norwegii, dokąd trafiły w czasie drugiej wojny światowej jako niemieckie ciągniki. W MWP w Warszawie można też oglądać

dwa ciągniki artyleryjskie: C2P, zbudowany na podwoziu tankietki, oraz C7P, w którym wykorzystano podzespoły czołgu 7TP. Ten ostatni pozostaje wciąż marzeniem entuzjastów przedwojennego WP. W 1939 r. było sto kilkadziesiąt czołgów tego typu. Uzbrojone w doskonałą armatę przeciwpancerną kal. 37 mm okazały się groźne dla ówczesnych niemieckich czołgów. Od kilku dekad trwają poszukiwania 7TP na pobojowiskach i trasach przemarszów polskich jednostek. W ich efekcie pozyskano bardzo dużą liczbę rozmaitych części i elementów, które wykorzystano do budowy niezwykle efektownej kopii pojazdu. Od 2017 r. można ją podziwiać w MWP.

Czołg legenda

Nie mniej spektakularnym zabytkiem jest Renault FT, czołg legenda, który przebojem wdarł się na zachodnioeuropejski front pierwszej wojny światowej i stał się wzorcem dla wszystkich późniejszych czołgów. „Renówki" przybyły do Polski w 1919 r. wraz z żołnierzami gen. Józefa Hallera i wzięły udział w walkach w bolszewikami. Jako maszyny zupełnie już przestarzałe w 1939 r. stawiały czoła niemieckiemu najeźdźcy. Pojazd będący własnością MWP pochodzi z Afganistanu (czołgów tych używano tam jeszcze w okresie monarchii, trwającym do 1973 r.) i został sprowadzony do kraju w 2013 r. dzięki zabiegom żołnierzy, polskiej dyplomacji i prezydenta RP. Ponieważ był mocno zniszczony i niekompletny, poddano go drobiazgowej, w pełni profesjonalnej renowacji w Pracowni Konserwacji Sprzętu Ciężkiego MWP i przy współpracy Zakładów Mechanicznych Bumar-Łabędy. 11 listopada 2013 r. czołg wziął udział w rocznicowej paradzie.

Niezwykle obfitym terenem łowów dla poszukiwaczy przedwojennego sprzętu używanego w WP okazała się Finlandia, która w obliczu sowieckiego agresora szukała uzbrojenia w niemal całej Europie. Zdobyczna polska broń trafiała na północ nie tylko z Niemiec, lecz także z Węgier, dokąd ewakuowało się sporo jednostek WP. Wśród pozyskanej przez Finów broni było m.in. działa. Kilka z nich, wcześniej nienotowanych w polskich kolekcjach, sprowadziły do Polski osoby prywatne. Niektóre zostały potem odkupione przez instytucje państwowe. To m.in. armaty kal. 105 mm i 120 mm, produkowane bądź remontowane przez Towarzystwo Starachowickich Zakładów Górniczych S.A. Z demobilu armii fińskiej pochodzą też armaty przeciwpancerne Boforsa, które były produkowane przez prywatne zakłady w Pruszkowie na szwedzkiej licencji. Najładniejszy i najbardziej kompletny egzemplarz eksponowany jest w bydgoskim Muzeum Wojsk Lądowych. Także tam można zobaczyć jeden z kilku najlepiej zachowanych w kraju karabinów przeciwpancernych wz. 35, czyli słynnych „urów". Pozyskano go dzięki zabiegom dyplomatycznym z Norwegii kilkanaście lat temu. Twórcą tej na poły legendarnej broni, notabene całkiem nieźle radzącej sobie w 1939 r. z niemiecką bronią pancerną, był wspominany już inż. Maroszek. Do kraju – tym razem z USA – powróciły też niedawno dwa jego karabiny wz. 38. Oba egzemplarze (jeden jest własnością Muzeum Historii Polski, a drugi MWP) są doskonale zachowane i w pełni sprawne.

Wiele udało się już zrobić dla przywrócenia pamięci o armii II RP i przedwojennym przemyśle zbrojeniowym. Trzeba podkreślić, że jest to zasługa zarówno instytucji państwowych, jak i prywatnych entuzjastów, których fachowa wiedza techniczna okazywała się nierzadko kluczowa w procesie konserwacji i rekonstrukcji odnalezionych zabytków.

Lista marzeń wciąż jest jednak długa. Poza wspomnianym 7TP najbardziej chyba brakuje samolotów, jak choćby legendarnego „Łosia" (P.37). Na razie musi wystarczyć kopia wykonana w skali 1:1 w 2012 r. w Polskich Zakładach Lotniczych w Mielcu. Zbudowano ją w tej samej hali, w której przed wojną montowano te bombowce.

Nie sposób wymienić wszystkich cennych zabytków polskiej techniki wojskowej pozyskanych do krajowych zbiorów – prywatnych i państwowych – w ciągu ostatnich trzech dekad. Jedno nie ulega wątpliwości: wiedza o przedwojennej armii znacząco się poszerzyła, a muzealne ekspozycje zyskały zupełnie nowy blask.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45fa4c575c

1976 r. / Kontenery wpływają na świat

Sposób na drobnicę

FOT. ADOBE STOCK

Tymoteusz Pawłowski

Transport towarów masowych – np. zboża, węgla – nie był nigdy takim problemem jak przewożenie tzw. drobnicy – niewielkich przedmiotów. Rozwiązanie w postaci kontenerów znaleziono całkiem niedawno

Rzeki przez tysiąclecia były najlepszym – a często jedynym – szlakiem komunikacyjnym i handlowym. Sprawa jest prosta: wóz konny o drewnianych kołach ma nośność ok. 500 kg i rozwija prędkość 30 kilometrów na… dobę. Przetransportowanie szlakiem lądowym dwóch tuzinów beczek z winem z Krakowa do Warszawy zajmowało dwa tygodnie i wymagało zatrudnienia 10 woźniców. Ten sam ładunek można było spławić Wisłą w jednej łodzi kontrolowanej przez dwóch ludzi w czasie dwukrotnie mniejszym.

Ludzie zauważyli to już dawno i dlatego najważniejszym szlakiem handlowym świata starożytnego było Morze Śródziemne. Morze jest jeszcze lepsze niż rzeka: mogą po nim pływać większe statki, przewożące większe ładunki, co daje większe zyski. Nic dziwnego, że to Fenicjanie wynaleźli pieniądze, to oni pierwsi opanowali światowy – wówczas śródziemnomorski – handel, a ich kontakty sięgały od Fenicji w Palestynie, przez Kartaginę, do Gibraltaru (być może nawet opłynęli Afrykę i dotarli do Ameryki).

Jednym z większych problemów w starożytnym handlu morskim było odpowiednie pakowanie wysyłanych za morze przedmiotów (jak widać, niewiele się zmieniło przez 3000 lat). Jako że największe zyski osiągano, handlując oliwą i winem, znaleziono odpowiednie rozwiązanie. Były nim gliniane dzbany z nisko położonym środkiem ciężkości, o długiej szyi i z dwoma uchwytami, znane dziś pod grecką nazwą amfora. Przewożono je w okrętowych ładowniach, umieszczając ich podstawy w specjalnych kratownicach. Amfory miały standardową wielkość i objętość, zarówno dla ułatwienia rozliczeń, jak i ze względu na oszczędności – ozdobne amfory, którymi zachwycamy się w muzeach, stanowiły ułamek promila produkcji.

Baryłki i kanistry

Kartagina została zniszczona, później zostały zniszczone Rzym, Konstantynopol; minęła starożytność, średniowiecze, więc ludzkość – a przynajmniej Europa – weszła w nowożytność i w nowożytność

eprasa.pl 45fa4c575c

Rzymskie amfory z Pompejów
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/COMMONISTS/CC BY-SA 4.0

weszły również amfory. Ale ich czas się kończył, ponieważ zwiększał się wolumen przewożonych towarów. Słowo „wolumen" jest w tym przypadku całkiem na miejscu, po łacinie oznacza bowiem objętość. Potrzebne były pojemniki o większej objętości, a zostały nimi beczki. Znane były już w końcu starożytności, ale problemem był brak odpowiedniego drewna w basenie Morza Śródziemnego i jego dostępność na północy Europy.

Beczki miały olbrzymią przewagę nad tańszymi opakowaniami, amforami, skrzyniami i workami: nawet ciężkie beczki mogą być z łatwością przetaczane. Najbardziej wydajne okazały się beczki o pojemności ok. 200 litrów, na tyle dużej, żeby opłacało się ich używać, a jednocześnie na tyle małej, że mogły być obsługiwane przez jednego człowieka. W 1866 r. wieku beczki takie stały się standardem w handlu ropą i do dziś jej cenę podaje się tradycyjnie w dolarach za baryłkę (ale rozliczenia odbywają się w metrach sześciennych).

Baryłka naftowa to 42 galony: z grubsza 160 litrów, które wlewa się do typowej, 200-litrowej beczki wykonanej ze stali lub z tworzywa sztucznego. Beczki takie są bardzo często spotykane i w Polsce, ale ich popularność zawdzięczamy nie Amerykanom, lecz Włochom. Podczas drugiej wojny światowej uznali, że przepompowywanie ropy z tankowców do cystern zajmuje zbyt wiele czasu, więc może skończyć się zbombardowaniem, zatem powrócili do nieco zapomnianych beczek, które w porcie można było wyrzucić za burtę (a one pływały). Podobna jest geneza 20-litrowych kanistrów na benzynę, które jeszcze przed wojną wymyślili niemieccy wojskowi, a które niemal natychmiast zaczęli produkować Amerykanie.

W czasie drugiej wojny światowej ruszyła również masowa produkcja ujednoliconych skrzyń. Paradoksalnie znamy bardzo niewiele szczegółów dotyczących ich historii sprzed XIX w., są to dość proste konstrukcje, których nie opisywano w dokumentach, nie uwieczniano na obrazach ani nie zachowywano w muzeach. Zwrócono na nie uwagę w pierwszej połowie XX w., gdy pojawił się inny wynalazek – sklejka, czyli tania namiastka drewna. Podobne były dzieje drewnianych palet: one również stały się popularne w latach 40. XX w., ale ich rozwój związany jest z wcześniejszym zastosowaniem wózków widłowych.

Mechanizacja

Rozwój środków komunikacji doprowadził również do powstania metalowych – stalowo-aluminiowych – kontenerów transportowych. Zaczęto ich używać po obu stronach Atlantyku jeszcze w latach 20. XX w., ale każda z firm budowała je w różnych rozmiarach. Próbowano to ujednolicić, zakładając w 1933 r. w Paryżu Bureau International des Containers – Międzynarodowe Biuro Kontenerów – ale wybuch drugiej wojny światowej powstrzymał standaryzację. Wielkość ówczesnych kontenerów podawano w systemie metrycznym, podstawowy rodzaj miał być pudełkiem o wymiarach 3,25 x 2,15 x 2,20 metra.

Dużo sprawniej standaryzacja kontenerów poszła amerykańskim siłom zbrojnym, które tuż po drugiej wojnie światowej przyjęły system zwany „Conexem" (od słów container, express).

Kontener Conex
FOT. WIKIMEDIA COMMONS/WIKIDEAS1

Zaczęto ich używać w czasie wojny koreańskiej, na masową skalę wykorzystano podczas wojny wietnamskiej i kariera tych kontenerów trwa do dziś, ale niemal wyłącznie w sferach wojskowych. W cywilu kontenery typu Conex nie przyjęły się – są zbyt małe, aby stosować je w handlu międzynarodowym.

W 1955 r. Amerykanin Malcolm McLean – właściciel jednej z największych amerykańskich firm przewozowych – skonstruował kontenery odpowiedniej wielkości, wyprodukował je i przebudował dwa tankowce na statki do ich przewozu (później nazwane kontenerowcami). W ciągu kilku lat odniósł olbrzymi sukces, przede wszystkim dlatego, że zredukował koszt transportu tony ładunku przez Atlantyk z 5,86 dolara do 16 centów. Zysk brał się przede wszystkim z ograniczenia czasu trwania załadunku i rozładunku statków.

Na przełomie lat 60. i 70. wymiary kontenerów zostały ujednolicone przez ISO (Międzynarodową Organizację Normalizacyjną) i w ten sposób pojawiła się jednostka miary zwana TEU. TEU to „twenty-foot equivalent unit", czyli „dwudziestostopowa jednostka kontenerowa". Współczesne kontenery mają więc długość 20 stóp – czyli 6,1 metra – albo ich wielokrotność: 40 stóp (2 TEU) lub 48 stóp (2,4 TEU). Szerokość wynosi 8 stóp (2,44 metra), a wysokość… bywa różna, z reguły ok. 8,5 stopy (2,59 metra). Pusty kontener o wymiarze 1 TEU waży ok. 2,4 tony, a pełny ok. 24 ton.

Warto zwrócić uwagę na to, że popularność kontenerów w naszym kraju – a, co za tym idzie, gwałtowne zwiększenie ilości przewożonych towarów – nastąpiła wówczas, gdy Polska zmieniła swój kształt terytorialny, tracąc ziemie na wschodzie naturalnie połączone z Warszawą i Krakowem, a zyskując ziemie na zachodzie, oddzielone trudnym do przebycia Pojezierzem Pomorskim i działem wodnym pomiędzy Wisłą i Odrą. Bez kontenerów, samochodów i pociągów towary z Warszawy do Wrocławia musiałyby być transportowane Wisłą do Gdańska, następnie Bałtykiem do Szczecina, a stamtąd w górę Odry. Zmieniło się to na skutek rewolucji spowodowanej konteneryzacją.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45fa4c575c

Izraelscy żołnierze wracający z drugiej wojny libańskiej

FOT. DOR POSNER/DOMENA PUBLICZNA/WIKIPEDIA

Pod prąd / Fragment książki „Wojna o Ukrainę. Wojna o świat"

Polski nie stać na słabość

Jacek Bartosiak

Piotr Zychowicz

Palestyńczycy – to słabość. Izrael – to siła. To ważna lekcja dla Polski. Nie możemy znowu znaleźć się w pozycji bezradnej ofiary. Potrzebujemy muskułów. Luf i stali

PIOTR ZYCHOWICZ: Co się liczy w polityce?

JACEK BARTOSIAK: Liczy się tylko siła. Słabości nikt nie szanuje. Wiesz, kiedy tak naprawdę, namacalnie zdałem sobie sprawę z tej prawidłowości? Oczywiście poza czytaniem książek i przemyśleniami o powstaniu warszawskim. Gdy byłem w Izraelu. Widziałem tam żołnierzy izraelskich patrolujących Autonomię Palestyńską. Obwieszonych nowoczesną bronią i wyposażeniem. Pilnowali ogrodzenia, za którym stali Palestyńczycy.

Zestawienie siły i słabości.

Tak. I gra toczy się o to, żeby być silnym, a nie słabym. Trzeba mieć zdolność do obrony własnego społeczeństwa. Do tego, żeby nikt ci nie mógł powiedzieć, że masz stać za płotem. Był taki film, „Walc z Baszirem", o wojnie w Libanie w 1982 r. i masakrze w obozach dla uchodźców palestyńskich.

Sabra i Szatila.

Izraelska armia była oskarżana, że co najmniej pośrednio pozwoliła chrześcijańskim bojówkom libańskim wymordować mieszkających w tych obozach ludzi. Zdałem sobie sprawę, że jeśli nie masz własnego państwa, nie masz własnych sił zbrojnych, nie masz rozsądnej strategii, które pozwalają zapewnić bezpieczeństwo własnym obywatelom – to jesteś skazany na takie katastrofy i rzezie. Silne państwo to takie, które wybija zęby tym, którzy próbują zrobić krzywdę jego obywatelom. Naprawdę dużo czasu spędziłem w Izraelu i patrząc na los Palestyńczyków, zrozumiałem, że w polityce słabość jest rzeczą niewybaczalną.

Zgadzam się, że ochrona swoich obywateli, oszczędzanie krwi własnej muszą być absolutnymi priorytetami. Ekonomia krwi. Pod tym względem niedoścignionym wzorem jest dla mnie polityka Wielkiej Brytanii podczas drugiej wojny światowej. Idealna strategia dla mnie jest prosta: przy minimum strat należy osiągać maksimum zysków. Tymczasem Polska podczas wojny prowadziła politykę odwrotną. Przy maksimum strat osiągnęliśmy minimalne zyski. Co ja mówię? Jakie minimalne? Zerowe. To była sytuacja nienormalna, anomalia nawet jak na naszą – obfitującą w rozmaite samobójcze zrywy – historię.

Pamiętam, jak kiedyś wracałem samolotem z Tel Awiwu do Warszawy i miałem dokładnie takie wrażenie. Pamiętam, że

eprasa.pl 45fa4c575c

Rafał A. Ziemkiewicz swego czasu posługiwał się taką frazą, że w Polsce jesteśmy jak w kisielu. Pływamy w basenie z kisielem. Wszystko jest rozmyte, brakuje energii, jasności i ostrości myślenia.

Dyskusja o sprawach międzynarodowych przelewa się z jednej strony na drugą, ale tak naprawdę nie wiadomo, o co chodzi. Jakie są konkrety? Jakie są interesy poszczególnych graczy? Jaki jest układ sił? Jak ten świat właściwie działa? Jak wygrywać, a nie przegrywać? Brakuje jasnej, konsekwentnie realizowanej, długofalowej strategii. Wszystko jest doraźne. Staram się to przełamać.

W 2018 r. zostałeś prezesem Centralnego Portu Komunikacyjnego. Po co ci to było? Wierzyłeś, że możesz coś zmienić?

Uważałem, że jest na to duża szansa. Człowiek wierzy w różne rzeczy. Nieraz musi z tego powodu ponosić porażki. Centralny Port Komunikacyjny w założeniach był wielkim projektem geopolitycznym, który miał zmodernizować państwo polskie.

Zostałem prezesem CPK, bo przekonałem tych, którzy o tym decydowali, że trzeba zbudować potężne koło zamachowe dla Polski. Stworzyć własne łańcuchy wartości. Wykorzystać nasze kluczowe pomostowe położenie między Zachodem a Wschodem, między Północą a Południem. Stworzyć infrastrukturę, która pozwoliłaby przejąć dużą część światowego ruchu – ludzi, towarów – i zarabiać na tym pieniądze. A nie tylko wylać dużo betonu i latać sobie samolotami.

CPK miało być tylko sercem większego systemu – sieci dróg, linii kolejowych. To byłoby wielkie przeorganizowanie przestrzeni państwa polskiego, ale nie tylko. Bo taki potężny port komunikacyjny mógłby stać się jednym z fundamentów Międzymorza, bo siłą rzeczy ściągałby ruch z całego regionu. Można by do niego zaprosić partnerów zewnętrznych. Jak więc widzisz, chodziło o coś znacznie większego niż samo lotnisko.

Czyli CPK jako środek pajęczyny, w którym zbiegają się niezliczone nici. Z państw bałtyckich, Białorusi, Ukrainy, Europy Środkowej, Bałkanów, Skandynawii i Niemiec. To pierwszy krąg. Ale potem kolejne: Europa Zachodnia, Chiny, Bliski Wschód. Wielki port przesiadkowy i lotnisko cargo. Miliony ludzi, towarów i usług. A na każdym bilecie lotniczym i kolejowym, na każdym kilogramie frachtu i na każdej usłudze zarabiają polskie firmy. Zielone strzałki naszej gospodarki idą w górę. Tak ja przynajmniej to sobie wyobrażałem.

Chodziło o przeorganizowanie sił wytwórczo-ekonomicznych w Polsce dzięki wielkiemu wysiłkowi finansowemu, którym byłoby zbudowanie CPK. Bo pamiętaj, że to jest wielomiliardowy projekt. To miała być platforma dalszego rozwoju, potężny impuls dla naszej gospodarki, a co za tym idzie – wzmocnienie naszej siły. To zostało bardzo szeroko zaplanowane, zajmowałem się tym, zanim zostałem prezesem, już wtedy uczestniczyłem w tym projekcie. I widocznie z tego powodu premier mnie ustanowił prezesem w akcie powołującym spółkę Centralny Port Komunikacyjny.

Minęło już pięć lat od tej nominacji. W CPK długo nie zagrzałeś miejsca. A twoi następcy nie pchają specjalnie sprawy do przodu. Wciąż czekamy na wbicie pierwszej łopaty. Dlaczego rozstałeś się z CPK?

Nie chciałbym o tym mówić. Jest za wcześnie. Sam wiesz, że brytyjskie służby utrzymują tajemnicę przez kilkadziesiąt lat.

Nie chodzi mi o szczegóły czy personalia. Raczej o problemy systemowe, z którymi tam się zderzyłeś.

CPK funkcjonuje. To jest projekt żywy, a nie martwy. Zobaczymy, jak to się ostatecznie skończy. O jednym mogę cię zapewnić: jego założenia były szlachetne i szczytne. A przechodząc z języka wartości do języka interesów – były prawidłowe. Zwłaszcza w sensie geopolitycznym, ekonomicznym. Oczywiście dziś, gdy Eurazja stała się areną zmagań mocarstw i dzieli się na dwa bloki, gdy globalizacja się kruszy, uwarunkowania dla CPK się pogorszyły. A co do mojej kadencji w CPK, to mogę powiedzieć tylko tyle, że mogłem z bliska obserwować grę sił politycznych na tym projekcie. W CPK pracują ludzie, których szanuję, i chcę być wobec nich lojalny. Kiedyś przyjdzie czas na głębszą rozmowę na ten temat. Gdy kiedyś powstanie ten Centralny Port, będą pisane o tym projekcie książki.

Nie jest tajemnicą – pisałeś o tym choćby w swojej książce o Polsce „Najlepsze miejsce na świecie" – że w naszym kraju wielkie, ambitne wizje często rozbijają się o rzeczy przyziemne. Po pierwsze, z październierzem i brakiem zmysłu organizacyjnego. A po drugie, z polityką, która sprowadza się do rywalizacji koterii o frukta: ciepłe państwowe posadki i zamówienia publiczne. Muszę ci przyznać, że zawsze miałem wątpliwość, czy tak skomplikowany, kolosalny projekt jak CPK uda się zrealizować w takich warunkach.

Słabość państwa polskiego jest porażająca, naprawdę porażająca. Słabość instytucji państwa polskiego, decyzyjności państwa polskiego jest absolutnie porażająca. Muszę ci przyznać, że nie spodziewałem się, że jest z tym aż tak źle. I nie mówię tylko o CPK. W czasie pracy nad projektem Armii Nowego Wzoru naoglądałem się tego, co wyrabia się na styku polityki i wojska. To jest po prostu szokujące. We wspomnianej przez ciebie książce pisałem o tym bardzo oględnie i oszczędnie. W rzeczywistości jest jeszcze gorzej. Z ojczyzną jest trochę jak z własnym dzieckiem – nie musi być najbardziej udane, ale i tak je kochasz.

CPK miało być tylko sercem większego systemu – sieci dróg, linii kolejowych. To byłoby wielkie przeorganizowanie przestrzeni państwa polskiego, ale nie tylko. Bo taki potężny port komunikacyjny mógłby stać się jednym z fundamentów Międzymorza

JACEK BARTOSIAK, PIOTR ZYCHOWICZ
„WOJNA O UKRAINĘ. WOJNA O ŚWIAT"
REBIS

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 45fa4c575c

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

WIOSNĄ 1656 ROKU WOJSKA SZWEDZKIE ZNAJDOWAŁY SIĘ W DEFENSYWIE. WYCOFUJĄCA SIĘ W KIERUNKU WARSZAWY ARMIA DOWODZONA PRZEZ KRÓLA SZWEDZKIEGO KAROLA GUSTAWA, ZOSTAŁA ZABLOKOWANA W WIDŁACH WISŁY I SANU PRZEZ WOJSKA POLSKIE I LITEWSKIE. Z ODSIECZĄ KAROLOWI GUSTAWOWI WYRUSZYŁO Z WARSZAWY 2,5 TYSIĄCA RAJTARÓW I DRAGONÓW PROWADZONYCH PRZEZ MARGRABIEGO FRYDERYKA BADEŃSKIEGO. INFORMACJA O TYM DOTARŁA DO JERZEGO LUBOMIRSKIEGO I STEFANA CZARNIECKIEGO.

TYMCZASEM FRYDERYK BADEŃSKI OTRZYMAŁ ROZKAZ POWROTU DO WARSZAWY. MIAŁ PO DRODZE POŁĄCZYĆ SIĘ Z WYCOFUJĄCYMI SIĘ Z RADOMIA ŻOŁNIERZAMI ROTMISTRZA RITTERA. SZWEDZI UTKNĘLI NAD PILICĄ, GDZIE PRZEZ RZEKĘ PRZEPRAWIALI OGROMNY TABOR Z ZAPASAMI I ŁUPAMI.

JEDNAK GDY 7 KWIETNIA 1656 ROKU NAD PILICĘ DOTARŁA JAZDA CZARNIECKIEGO I LUBOMIRSKIEGO, ZNALEZIONO BRÓD I PRZEPRAWIONO SIĘ NA DRUGI BRZEG, ROZBIJAJĄC POZOSTAWIONE TAM NIELICZNE STRAŻE SZWEDZKIE.

WKRÓTCE W OKOLICACH WARKI DOGONIONO TABOR I ROZBITO OSŁANIAJĄCYCH TYŁY SZWEDZKIE DRAGONÓW RITTERA. W TYM CZASIE FRYDERYK BADEŃSKI – MAJĄC ŚWIADOMOŚĆ, ŻE UCIECZKA BYŁABY SKAZANA NA PORAŻKĘ – USTAWIŁ SWOJE WOJSKA NA GRANICY LASU, ABY UNIEMOŻLIWIĆ POLAKOM OSKRZYDLENIE. DODATKOWO UKRYCI MIĘDZY DRZEWAMI DRAGONI MIELI OGNIEM MUSZKIETÓW POWSTRZYMAĆ SZARŻĘ. PIERWSZY ATAK LUBOMIRSKIEGO NIE PRZEŁAMAŁ SZYKU SZWEDÓW, JEDNAK GDY DO WALKI WĘĄCZYŁY SIĘ PUŁKI CZARNIECKIEGO, RZUCILI SIĘ ONI DO UCIECZKI.

W BITWIE ZGINĘŁO OKOŁO **1,5 TYSIĄCA SZWEDÓW** I ZALEDWIE OKOŁO **100 POLAKÓW**. CZĘŚĆ DRAGONÓW PRÓBOWAŁA UKRYĆ SIĘ W LESIE, ALE PO PODPALENIU GO, ZOSTALI WYŁAPANI PRZEZ CHŁOPÓW Z POBLISKICH WSI.

BITWA POD WARKĄ MIAŁA NIE TYLKO WAŻNE ZNACZENIE MILITARNE, ALE TAKŻE PSYCHOLOGICZNE. DODAŁA WIARY POLAKOM, ŻE POKONANIE SZWEDÓW I WYZWOLENIE CAŁEGO KRAJU JEST MOŻLIWE.

eprasa.pl 45fa4c575c

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA WIOLETTA SAWICKA: „WILCZE DZIECI"

Dziecko wobec wojny jest zawsze ofiarą, niezależnie po której stronie frontu się urodziło.

Historie i świadectwa „wilczych dzieci", czyli wojennych sierot z obecnych terenów Warmii i Mazur oraz obwodu kaliningradzkiego, które jeszcze długo po 1945 roku ukrywały się w lasach.

Upadek Trzeciej Rzeszy rozpoczął się z chwilą wkroczenia Armii Czerwonej do Prus Wschodnich, pierwszego terytorium Rzeszy, do którego dotarli sowieccy żołnierze. Rosjanie wystawili Niemcom bardzo wysoki rachunek za zbrodnie popełnione przez nazistów na froncie wschodnim. Bojowy szlak czerwonoarmistów znaczyły stosy bestialsko pomordowanych bezbronnych ludzi, masowe gwałty, grabieże, pożary i powszechna dewastacja mienia. Nikt nie był bezpieczny od żądnych zemsty sowieckich zdobywców. Śmiertelne żniwo wśród ludności cywilnej zbierał też przeraźliwy głód. Gdy umierały matki, dzieci, często kilkuletnie, zostawały same.

Według różnych źródeł w lasach i ruinach tych terenów ukrywało się około dziesięciu tysięcy sierot. Niektóre źródła podają, że nawet dwadzieścia tysięcy. By zdobyć cokolwiek do jedzenia, przemierzały pieszo wiele kilometrów. Przekradały się też na Litwę, gdzie żebrząc o żywność, miesiącami, czasem latami, tułały się od wioski do wioski. Kilka dekad później nazwano je wilczymi dziećmi.

Ktoś mógłby rzec - co to za nazwa! Ale czyż nie jesteśmy trochę, jak wilki? Razem z wilkami spędzaliśmy czas w lasach - mówi jedno z byłych „wilcząt". To jest prawdziwa opowieść o nich.

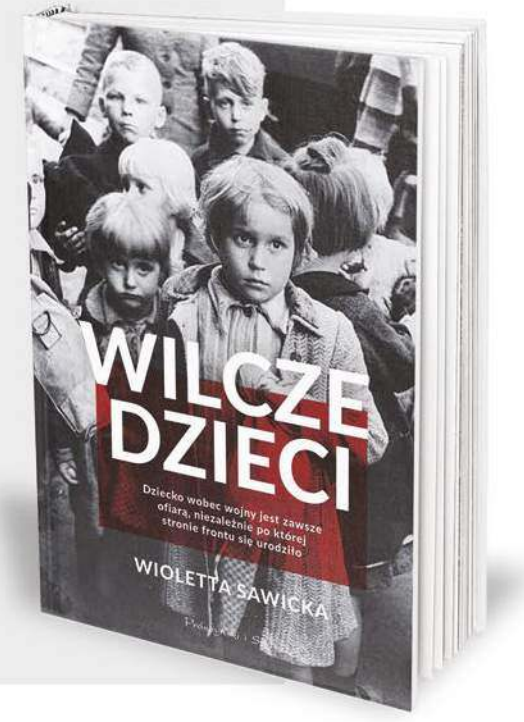

155 zł

oszczędność 42 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 45fa4c575c

KTO NAPRAWDĘ WYGRAŁ II WOJNĘ ŚWIATOWĄ?

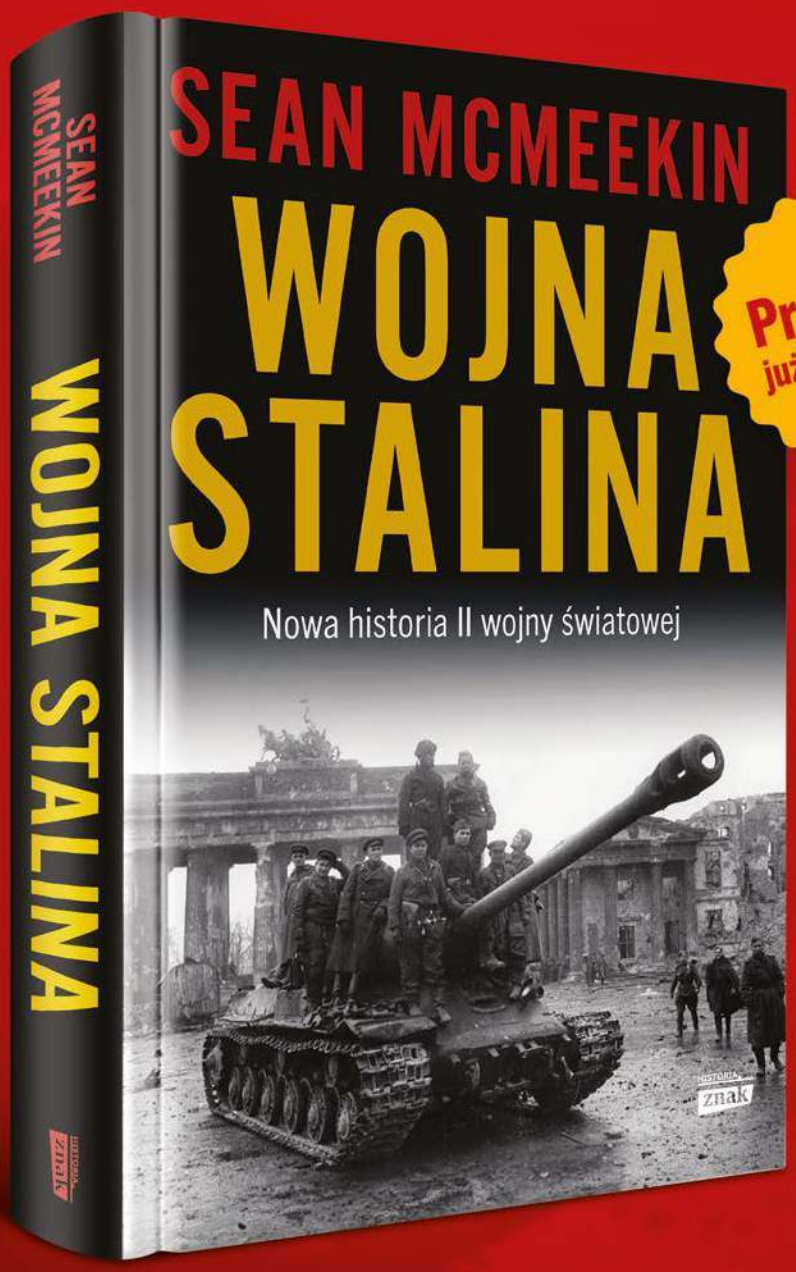

Premiera już w styczniu!

Wszystko, co myśleliśmy o II wojnie światowej, było uproszczeniem. To nie była wojna Hitlera

eprasa.pl 45fa4c575c